
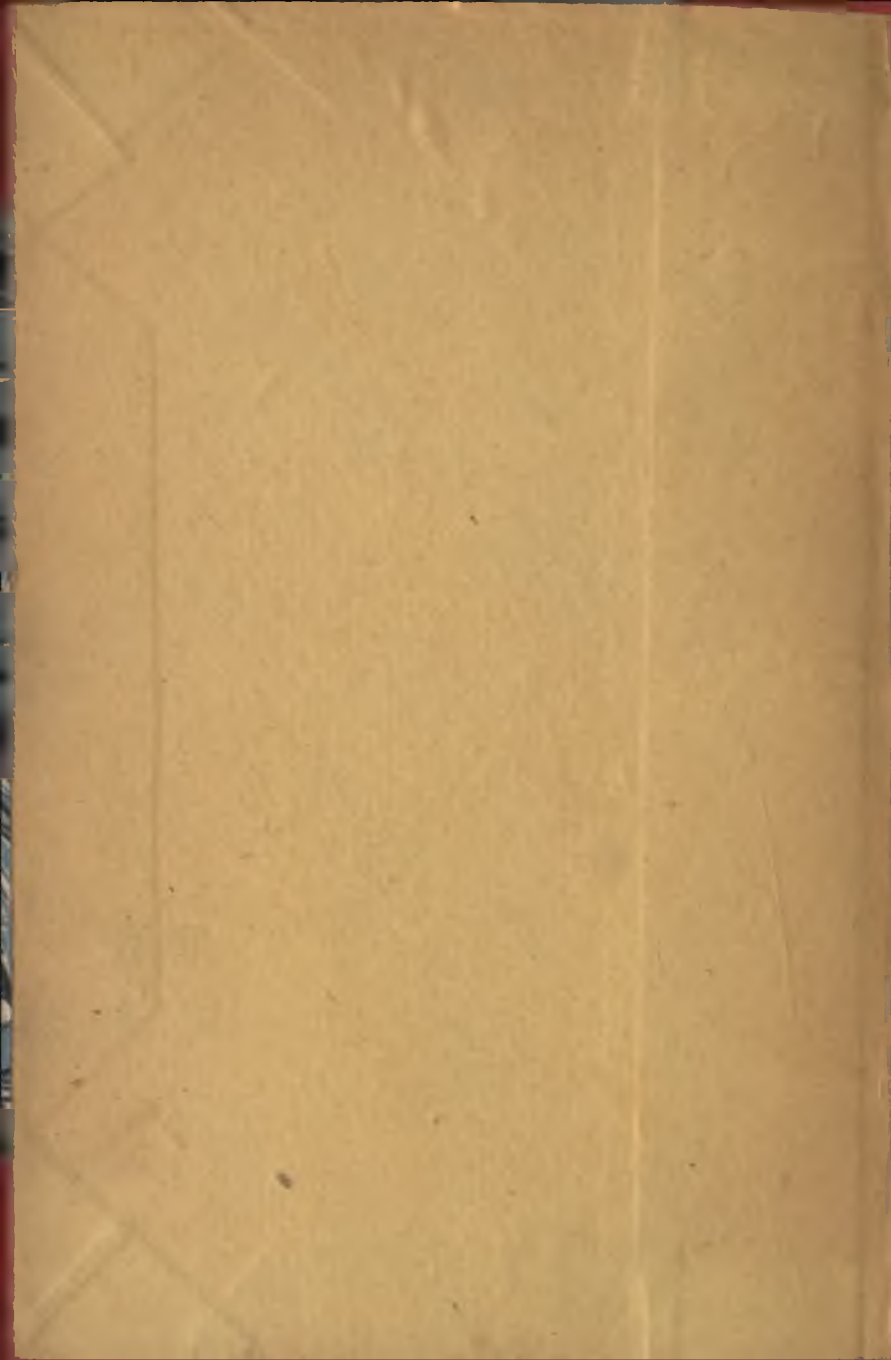
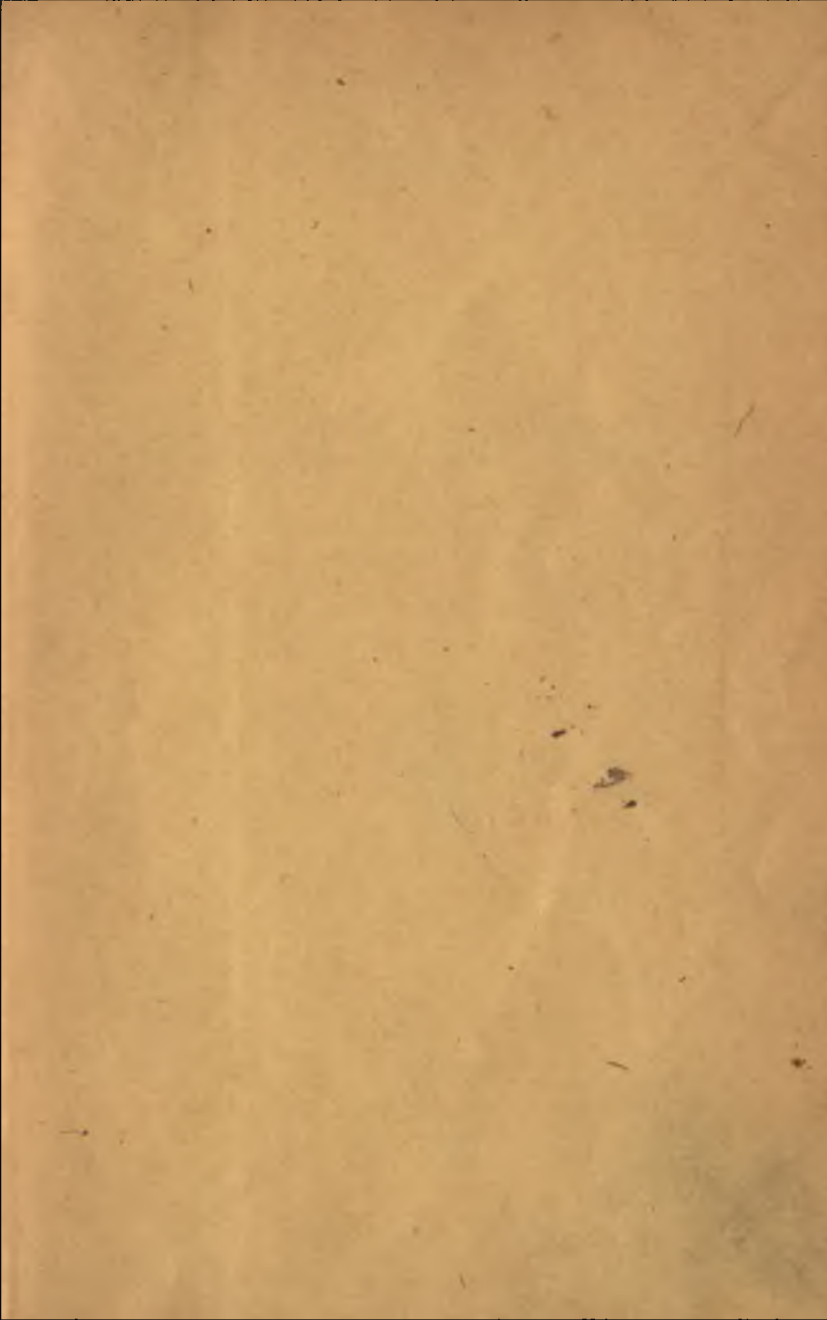


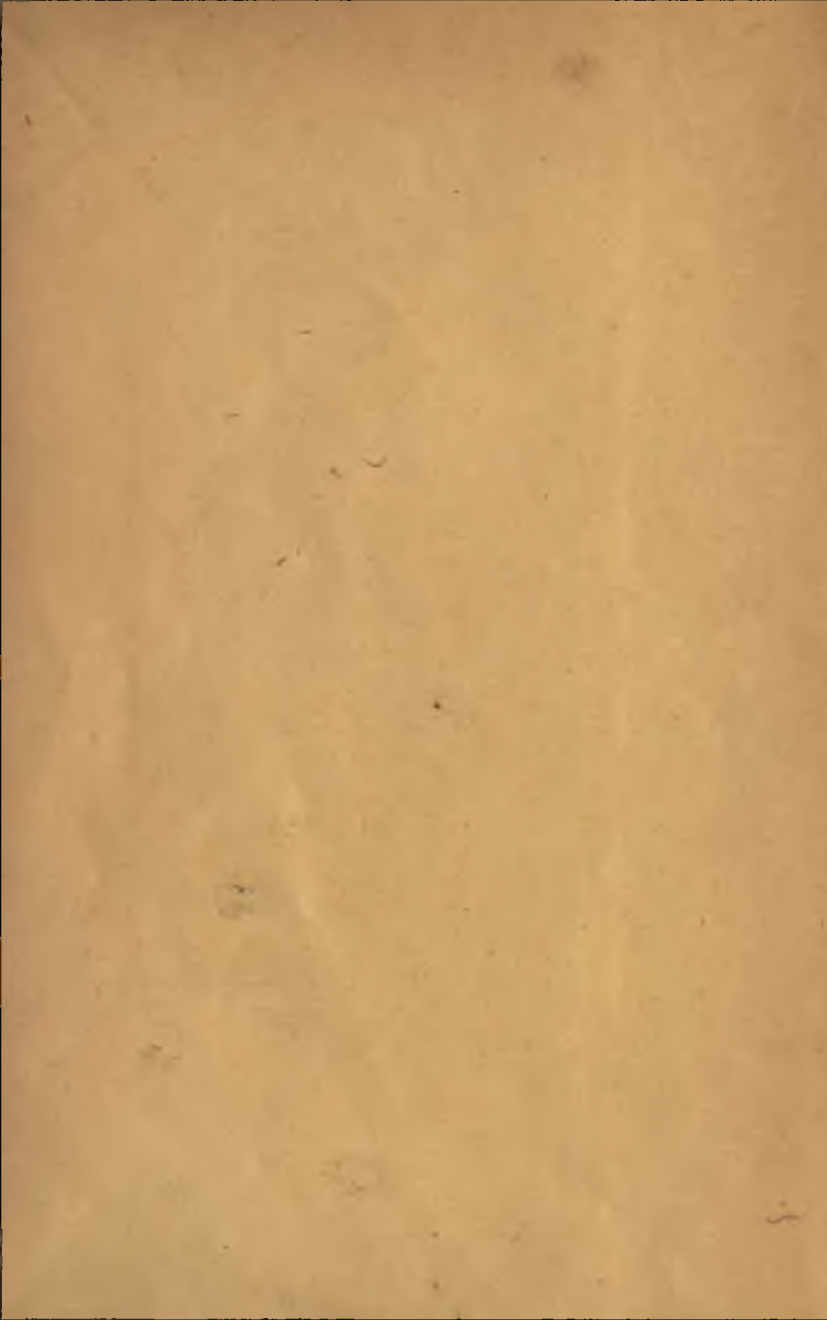
PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA
Lódź, Wzrasta,
Libermana 36

~~26909~~

The image shows the front cover of an old book. The spine is bound in a dark red material. The main cover is decorated with a marbled paper pattern in shades of blue, grey, and white, with some yellowish-brown spots. A small, rectangular, light-colored paper label is affixed to the top left corner of the cover. The label contains text identifying the library and a handwritten number that has been crossed out with a red diagonal line.











W. S. Lyndon

WŁADYSŁAW SYROKOMLA

I JEGO UTWORY

NAPISAŁ

JADEUSZ PINI



WE LWOWIE

NAKŁADEM MACIERZY POLSKIEJ

Główny skład w Administracji „Macierzy Polskiej” w Gmachu Sejmowym

1901



WYDZIAŁ W SZKOLENIA

WYDZIAŁ W SZKOLENIA

WYDZIAŁ W SZKOLENIA



WYDZIAŁ W SZKOLENIA

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Po upadku powstania listopadowego w r. 1831 nastąpiła chwila najświetniejszego rozwoju naszej literatury, a zwłaszcza naszej poezji. Wtedy pisze Mickiewicz najlepsze swe utwory, wtedy zjawiają się tacy znakomici poeci, jak Juliusz Słowacki i Zygmunt Krasiński, i tworzą dzieła tak piękne i tak podniosłe, jakich dotychczas w języku polskim nigdy nie napisano. A celem tych utworów było nie bawić ziomków, ale ich pouczać, nie zyskać sławę wielkiego poety, ale przysłużyć się sprawie ojczystej i w imię tej sprawy zachęcić rodaków do pracy dla wspólnego dobra, dla szczęścia wszystkich. To też naród patrzył na tych poetów z uwielbieniem i słuchał ich pieśni tak, jak dziecko słucha słów dobrotliwej matki — a ta pieśń szła od domu do domu, obiegała tysiące rodaków i w tysiące serc wlewała otuchę, wiarę w miłosierdzie Boże, miłość wzajemną i nadzieję lepszej przyszłości.

Ale wszystkie te dzieła powstały na tak zwaną emigracyi, to jest poza granicami kraju, na obczyźnie, dokąd znaczna część Polaków musiała się udać, aby uniknąć srożej kary, jaką rząd rosyjski

za udział w powstaniu naznaczał. W kraju tymczasem panował srogi ucisk, a słowa pociechy naszych poetów nie dochodziły tutaj, bo dzieła ich były surowo zakazane. Mówić o ostatnich wypadkach, o powstaniu, ba, choćby tylko wyrzec słowo »Polska«, »Ojczyzna« było już występkiem, za który kara spadała na winnego bardzo prędko. To też ci, którzy w kraju pozostali, byli w położeniu bardzo przykrem: czuli, że trzeba działać, aby nie dozwoić ziomkom ostygnąć w miłości Ojczyzny, a nie mogli działać tak, jakby należało i jak to można było czynić za granicami kraju. Musieli zatem obrać inną drogę: zachęcać do postępu i naprawy tego, co w naszym społeczeństwie było złe, a miłość kraju rodzinnego szerzyć przez wskazywanie na wielkie czyny przodków. Zadaniem tem podzieliły się między sobą powieść, której głównym przedstawicielem był wówczas Józef Ignacy Kraszewski, i poezya, w której największy rozgłos zjednali sobie: Wincenty Pol i Ludwik Kondratowicz, znany powszechnie pod przybranem nazwiskiem Władysława Syrokomli.

Ci dwaj poeci są twórcami nowego u nas rodzaju poezyi, zwanego »gawędą«. Właściwie jest gawęda niczem innym, jak powieścią poetyczną, taką naprzykład, jak »Grażyna« Inb »Konrad Wallenrod« Mickiewicza, ale różni się od nich tem, że jej sposób przedstawiania rzeczy jest prostszy, naturalniejszy, a język nie tak podniosły, lecz bardziej zbliżony do tego, którego używamy w codziennem życiu. W takich to gawędach kreślili Pol i Syrokomla obrazy naszej przeszłości dziejowej, ale chociaż obaj jednym

sposobem dążyli do jednego celu, to przecież zachodzi pomiędzy nimi ważna różnica. Pol kochał naszą przeszłość ze wszystkim, co w sobie zawierała, zarówno złem, jak dobrem, a raczej widział w niej tylko strony dodatnie, dobre, a na wszystkie wady i braki miał zamknięte oczy; w końcu zaś doszedł do tego, że zaczął uwielbiać i wysławiać nawet największe i najzgubniejsze przywary naszych przodków. Syrokomla patrzył na naszą przeszłość o wiele trzeźwiej. I on ją kochał całym sercem, ale za to tylko, co w niej było dobrem, szlachetnym i wielkiem — poza tem zaś dostrzegał wiele wad, wiele usterek i wskazywał je otwarcie, choć nie bez przykrości. Celem jego utworów jest wielbić cnotę, a potępiać występki — to też kiedy Pol z przyjemnością opisuje nawet pijatyki i bijatyki dawnej szlachty, on wybiera za przedmiot swych utworów ludzi dzielnych, szlachetnych, dobrze i uczciwie Ojczyźnie za służonych, albo przedstawia karę, jaką źli i nikczemni ponoszą za swe winy i zbrodnie. Najchętniej jednak kreśli postacie ludzi nieszczęśliwych, upośledzonych lub skrzywdzonych, a tak umie wnikać w ich serce, przejąć się ich nieszczęściem i odmalować je w jaskrawych barwach, jak mało kto inny.

Syrokomla nie jest wielkim poetą i sam też nigdy za takiego się nie uważał, ale w tym skromnym zakresie działania, jaki sobie za cel obrał, tworzył rzeczy prawdziwie piękne, bo pozbawione przesady, proste, a szczere, serdeczne, wprost z poczciwej na wskroś duszy płynące. Możliwość o nim powiedzieć to, co on sam mówi o Klonowiczu, że na harfie, którą

odziedziczył po wielkich naszych poetach, grał czasem może niezręcznie, słabo, ale »żadnego dźwięku jej struny nie puścił na sprzedaż« i zostawił ją taką »nieskalaną i czystą«, jaką była w ręku tamtych. I w tem właśnie leży główny powód, że ten skromny »lirnik litewski« jest nam tak miły, tak blizki i tak drogi — miłszy i droższy, niż wielu innych większych i zdolniejszych poetów. Bo jak jego utwory, tak i on sam był zawsze uczciwym i szlachetnym, a jak jego bohaterowie, tak i on był nieszczęśliwym i niezrozumianym — więc należy mu się nasza miłość i współczucie, którego serce jego zawsze było pełne dla innych. Warto zatem, a może nawet i powinno się zapoznać bliżej z jego życiem i jego dziełami.

I.

Pierwsze lata młodości.

Ludwik Władysław Kondratowicz urodził się na Litwie we wsi Smolhowie, w powiecie Bobrujskim, dnia 17 września w r. 1823. Ojciec jego, Aleksander, należał do ubogiej rodziny szlacheckiej, pieczętującej się herbem »Syrokomla« — ten herb przybrał sobie później Ludwik, wraz z drugim swym imieniem, jako zmyślane nazwisko, którem się pod swymi utworami podpisywał. Aleksander Kondratowicz był człowiekiem bardzo zacnym i wykształconym; ukończył szkołę księży Pijarów, a i później musiał pracować nad wzbogaceniem swej wiedzy, gdyż naprzykład z dziejami był bardzo gruntownie obznajomiony. Ale najrozmaitsze okoliczności, przedewszystkiem zaś brak silniejszej woli, sprawiły, że nie zajął stanowiska, któreby odpowiadało jego wykształceniu; początkowo był prywatnym komornikiem, później zaś dzierżawił jedną z wsi, należących do książąt Radziwiłłów.

Tak więc pierwsze lata dzieciństwa upłynęły Ludwikowi w domu rodziców, którzy wkrótce po jego urodzeniu przenieśli się do pobliskich Jaśkowicz,

wpóśród średnich dostatków, graniczących z ubóstwem. Nie trudno chyba domyśleć się, na czem mu czas zbiegał: dziecię biegało swobodnie wśród bujnych pól i starych lasów litewskich, ucząc się już wczesnie kochać przyrodę ojczystą, lub słuchało chciwie podań ludowych i baśni, opowiadanych przez służbę dworską. Gdy nieco podrosł, matka zaczęła go uczyć pierwszych liter na drukowanym kalendarzu — zresztą rodzice, zajęci swymi kłopotami gospodarskimi, nie mogli zbyt wiele czasu poświęcać jego wychowaniu. Ale bardziej i lepiej, niż najstaranniejsze wychowanie, działało na młodego chłopca otoczenie, wśród którego żył, głęboka i szczerą religijność rodziców i ich serdeczne przywiązanie do ziemi rodzinnej, którą własnymi rękami uprawiali; z tego też czasu pochodzi bez wątpienia to żywe przywiązanie do przeszłości narodowej, które widnieje na wszystkich jego utworach, a którem także ojciec jego wybitnie się odznaczał.

Kiedy Ludwik ukończył dziesiąty rok życia, trzeba było pomyśleć o oddaniu go do szkoły. W Jaśkowiczach jej naturalnie nie było, musiano zatem wysłać młodego chłopaka do Nieświeża, gdzie istniała dobra szkoła, utrzymywana przez księży Dominikanów. Wyprawiono do niej Ludwika na sposób staroświecki, z kobiałką, zaopatrzoną w najrozmaitsze zapasy i łakocie, na jakie tylko domek ubogiego dzierżawcy mógł się zdobyć — matka wetknęła mu przy pożegnaniu trochę pieniędzy, zawiniętych w kawałek papieru, a zebranych za sprzedaż mleka i ogrodowin — i przysły twórca »Margiera« wyruszył ze

lżami w oczach, z ciężkiem sercem ku nieznanemu miasteczku, do obcych sobie ludzi, słowem w ten cały nowy dla niego świat, którego się obawiał, a z którym miał się wkrótce żyć tak serdecznie.

Szkoła księży Dominikanów w Nieświeżu należała do tych zakładów naukowych, o których dzisiaj tylko z opowiadań i podań można mieć jakieś pojęcie, bo takie już nie istnieją. Nie była ona podobna do dawnych szkół polskich z XVII lub XVIII wieku, mniej zaś jeszcze przypominała szkoły dzisiejsze. Dziś uważa się za cel nauki wzbogacenie wiedzy ucznia i wyrobienie w nim zdolności samodzielnego sądzenia — księża Dominikanie zaś dbali przede wszystkim o to, aby swych uczniów wychować na ludzi bogobojnych, a chociaż nie zaniedbywali ćwiczenia rozumu, więcej jednak starali się o przymioty serca i gorącą, szczerą wiarę. Zresztą Syrokomla opisał później w »Szkolnych czasach Jana Dęboroga« wrażenia i przejścia swoje w Nieświeżu, pozwólmy mu więc samemu przedstawić nam te stosunki.

- »Szkola była w klasztorze a kwatery¹⁾ w mieście,
- »A w szkole wszystkich uczniów może osób dwieście,
- »A miasteczko zamożne stało przy jeziorze,
- »Przy nim zamku starego piętrzyły się wieże«.

Tak wyglądała szkoła na pierwszy rzut oka, posłuchajmy teraz, jaki był cel nauki, której tam udzielano. Starano się głównie o to,

- By rosła, jak trzeba, moralna w nas siła,
- By każdą naukę uważać za bożą,

¹⁾ Mieszkania uczniów.

- »By każda nauka o Bogu mówiła,
- »By ludziom od dziecka wyłożyć najprościej,
- »Że święty strach boży — początek mądrości«.

Sposób wychowania łączył w sobie szczerą, serdeczną łagodność z nieubłaganą surowością w wymierzaniu zasłużonej kary. Syrokomla w późnym jeszcze wieku pamiętał dobrze »twardą dyscyplinę dominikańską«, ale wspomnienie to nie było mu niemiłym:

- »Ha! niech im za te chłosty Niebiosa zapłacą!
- »Prawda, tęgo plażyli, jeśli było za co;
- »Ale kochali działwę serdecznie i szczerze,
- »Ćwiczyli po bożemu w nauce i wierze«.

Mamy też w »Czasach szkolnych« kilka obrazków księży, którzy w szkole nieświezkiej wykładali, a Syrokomla sam dodaje w przypisku, że odmalował w nich wiernie swych dawnych nauczycieli. Kilka przykładów wystarczy, aby poznać, jak poczciwi byli to ludzie i w jaki sposób spełniali swe obowiązki. Oto np. wizerunek księdza, wykładającego matematykę:

- »... spogląda surowo
- »Stary ksiądz Matematyk z rozczochraną głową,
- »Na jego białej szacie jest plama dwojaka,
- »Bo bielsza jeszcze kreda i czarna tabaka«.

Ksiądz, uczący języka francuskiego, był to człowiek

- »... ospowaty, łysy,
- »Niesie pod jedną pachą francuskie wypisy,
- »Pod drugą sarnią nóżkę, a w niej z pod kopyta
- »Czworo konopnych sznurków, jak kwiatków, wykwita;

- »Głowę na bok przechyli i przy ławce stanie,
- »A kto mu się w rozbiórze gramatycznym stropi,
- »Tak mu łapę wysmaga sznurkami z konopi!«

Książdz »Niemiec«, to

- »...człowiek drobny, szczupły, czarnowłosy,
- »Co na nas, drobną trzodę uczniów i słuchaczy,
- »Nim namyśli się gniewać — to naprzód przebaczy.«

Zakres nauk, wykładanych w szkole ks. Dominikanów, był dosyć znaczny i obejmował mniej więcej to, co nasze dzisiejsze szkoły średnie, ponadto zaś jeszcze język francuski — trudno jednakże stwierdzić, w jaki sposób to wykładano i co z każdego przedmiotu uważano za rzecz potrzebną. Czytano jednak dosyć dużo; z polskiego wypisy, obejmujące całe nasze piśmiennictwo, a ułożone przez Euzebiusza Słowackiego, ojca słynnego poety Juliusza, z niemieckiego zaś, łacińskiego i francuskiego cały szereg dzieł wzorowych pisarzy. Najważniejszym jednak i najbardziej doniosłym w życiu naszego poety był ten sposób religijnego patrzenia na cały świat i tłómaczenia wszystkich zagadnień na podstawie katechizmu. Sposób ten umocnił jeszcze wychowanie domowe, od którego się nie różnił, a dzięki temu stało się ono trwałą zasadą, której Syrokomla trzymał się przez całe życie. Było w tem wiele dobrego, a przedewszystkiem dawało to łatwy, a zawsze uczciwy, pogląd na świat i sposób rozróżniania dobrego od złego, bo człowiek tak wychowany

- »...na wszystko poglądał z pobożną,
- »I wiedział na pamięć, gdzie prawda i wiara,

- »Rozumiał co można, a czego nie można...
- »I pewny swej prawdy nie troszczył się wiele,
- »W sobotę jadł z postem, a święcił niedzielę«.

Ale oprócz nauk, dostarczał Nieśwież Kondratowiczowi innych jeszcze wrażeń. W starożytnem tem miasteczku znajdowały się ruiny zamku książąt Radziwiłłów; olbrzymia budowa z trzema wysokimi wieżami, oblana stawami, otoczona wałem, wspaniała nawet wtenczas jeszcze, pomimo upadku, przemawiała zapewne bardzo silnie do wyobraźni przyszłego poety. Bo w zamku tym można było, jak w książce, wyczytać dzieje ostatnich chwil naszej Ojczyzny. W nim przebywali niegdyś kolejno ludzie, którzy na losy Polski wywierali znaczny wpływ, zarówno dobry, jak zły i zgubny; jedni z nich oddawali ostatnie swe mienie dla dobra kraju, który własną swą pierśią umieli osłaniać — drudzy myśleli tylko o sobie i z wrogiem Ojczyzny łączyli się przeciw własnemu królowi. Tu wrzała w r. 1792 zacięta walka z Rosyanami, koło tych murów ciągnął w r. 1812 Napoleon przeciw Moskwie, a w czasie jego odwrotu potężny zamek zamienił się w ruinę. Nie trudno się domyśleć, że młody Ludwik, spoglądając na wyniosłe jeszcze, lecz już rozpadające się wieże i na oblane wodą wały zamkowe, przywodził sobie nieraz na myśl dawne czasy, odtwarzał w swej wyobraźni sceny, które się tu rozgrywały i rozmyślał, o ile też one przyczyniły się do wytworzenia tego stanu rzeczy, który młody chłopiec już wówczas musiał rozumieć i odczuwać.

Po czteroletnim pobycie w Nieświeżu i po ukoń-

czeniu szkoły ks. Dominikanów, udał się Kondratowicz do Nowogródka i tam uczęszczał jeszcze do piątej klasy szkoły powiatowej. Na tem ukończyło się całe jego wychowanie szkolne; wyższych szkół średnich nie było w pobliżu, wszechnica Wileńska już wówczas nie istniała, a na wysłanie go do innej, odległej, nie było pieniędzy. Wrócił tedy do domu rodzinnego, ale rozumiejąc dobrze potrzebę wyższego, rozleglejszego wykształcenia, zabrał się do pilnego czytania książek i za ich pomocą uzupełniał braki zbyt krótkiej i niedokładnej nauki szkolnej.

Trwało to lat siedm, od r. 1836—1842, wśród warunków tak ciężkich, tak wszelkiej pracy nieprzychylnych, że podziwiać trzeba niezwykłą wytrwałość i pilność młodego Ludwika, która pomimo to wszystko doprowadziła go tak daleko i pozwoliła zdobyć takie wiadomości, jakie w dziełach jego późniejszych widzimy. Rodzice byli ubodzy i nie tylko nie mogli aniłożyć więcej na wychowanie syna, ani sami się niem zajmować, ale potrzebowali nadto jego pomocy w gospodarstwie domowem. Przyszły poeta musiał zatem brać osobiście udział w ciężkiej doli ziemianina, doglądać ludzi pracujących w polu, a w domu pisać rachunki i sprawozdania gospodarskie. Pracy tej, zapewne nie bardzo pociągającej, nie unikał, ale każdą wolną chwilę obracał na czytanie czyto dzieł naukowych, czyto wreszcie poetycznych lub powieściowych, kryjąc się z tem przed rodzicami, którzy zajęci gospodarstwem uważali, z konieczności, zajęcia takie za marnowanie drogiego czasu. Jeden ze znajomych poety opowiada, że młody Ludwik, wysłany pewnego

razu przez ojca w pole dla dozorowania czeladzi, usiadł w kopicy siana i tak się zaczytał w jakiejś powieści słynnego, a podówczas bardzo modnego pisarza Walter Skota, że nie dostrzegł zbliżania się ojca, który go w ten sposób przychwycił na gorącym uczynku. Miało to wywołać ostrą karę, wymierzoną natychmiast ojcowską ręką na sianie, ale ani upomnienia, ani żadne kary nie zdołały wykorzenić w nim zamiłowania do nauk i poezyi.

Oprócz rozczytywania się w dziełach naukowych i poezjach było jednak w ówczesnem życiu Kondratowicza bardzo wiele innych czynników, które rozdmuchiwały iskrę poezyi, tłącą w głębi jego piersi. Oto leżała przed nim otwarta, wiecznie świeża, wiecznie pełna tajemniczych uroków księga przyrody; oto otaczał go ciągle poczciwy a biedny i uciskany lud litewski, wraz z całym skarbem swych niezwykle pięknych baśni i podań; oto wreszcie opowiadania o dawniejszych, lepszych czasach, słyszane z ust rodziców, domowników lub znajomych, przemawiały do jego wyobraźni z siłą tem większą, im większa różnica zachodziła między minionymi czasami szczęścia, świetności i swobody, a niewolą i biedą, wśród których się wychowywał. Ludwik, obcując ustawicznie z przyrodą, nauczył się ją rozumieć i cenić jej piękności, a dostrzegłszy pod ubogą siermięgą ludu gorące, poczciwe serce, pokochał go całą duszą i zachwycał się jego pięknemi podaniami. W »Janie Dęborogu« jest mały obrazek, napisany bez wątpienia pod wpływem wspomnień z dzieciństwa, który daje nam dosyć dokładne pojęcie o tem, jakie czynniki

i w jaki sposób oddziaływały wówczas na przyszłego poetę. Warto przypatrzeć mu się trochę bliżej.

»Niekiedy w nocy, gdy maj się pocznie,
Słowik wieczorną piosnkę zadzwoni,
Z wiejskimi chłopcy, z tabunem koni,
Lecim na nocleg śpiewając skocznie.

Aż za wioskę, aż za zboże,
Na wygonie lub ugorze

Konie w paszę z rąk —
I już chłopcy w jednej chwili
Stosy chróstu nanosili

I zasiedli w krag;
I ziemniaki w żarze pieką —
Płomień bucha — ej, daleko

Widać płomień nasz.
Co tam śmiechu, co tam wrzasku!
Ktoś upiorem straszy z lasku,
Człowiek ani dbasz!

Choć kto w dzień się namozoli,
Choć drugiego serce boli,
To najmniejsza rzecz.

Bo gdy ludno, pusto, gwarnie,
Smutek duszy nie ogarnie,

Wszelka bojaźń precz.

Na rosnej trawie rozścielamy suknie,
Zjemy ziemniaki i chleba po kęsie,
I chór: »Dobranoc, o Jezu!« jak huknie,
Tak aż się echo w olszniaku zatrząsie.

I daleko po równinie
Świętej pieśni echo płynie.

Czasem słowik wtór nam poda,
W sercu rzewność tak głęboka,

Ani ujrzysz, gdy ci z oka

Łzy poleją się jak woda.

Człowiek rzeźwiejszy po świętej pieśni
Do nowych śmiechów, do pogadanek;

We wsi już kury pieją poranek,
A o spoczynku żaden z nas nie śni.
Bo jakże usnąć w majowe noce?
Tu konie zarzą, tu ogień błysnie,
A tutaj ptactwo, jak naumyślnie,
Na tysiąc tonów piosnkę szczebioce.
Chróst na stosie, ogień bucha,
Księżyc świeci, — a gromada
Pieśni, skazki ¹⁾ opowiada,
Skazek, pieśni bacznie słucha.
Miłoś w kółko sieść na ziemię!
Gwarzyć w ptactwa słodkiej wrzawie!
Jeden, drugi niby zdrzemie —
Miłoś drzemać na murawie!
Ptactwo milknie po kolei,
Ogień zwolna gasnąć zacznie,
A nam sen powieki klei,
Ale czujnie, ale bacznie!
Każdy słyszy jako żywo,
Czy koń parsknie, czy podskoczy,
Brząkanie trzęzła, wstrząśnie grzywą,
Albo zarży na uboczy.

Po chwilce drzemki oko się przetrze,
Blizko poranek, znać już po wietrze,
Znać już po gwiazdach, po szumie rzeczki,
Po głosie drozda i przepióreczki;
I koń już częściej stuka w kopyta,
Zroszoną trawę pospieszniej chwytą.
Cyt, już i słowik strzela piosenką,
Już i skowronek wita się z dzionkiem;
My za słowikiem i za skowronkiem
Nucim: »Zawitaj ranna Jutrzenko!«

Ot i szaro, ot i dnieje,
Ot i gaśnie blask księżycy,
Ot i zorza jak dziewica

¹⁾ Bajki.



I już chłopcy w jednej chwili
Stosy chróstu nanosili... (str. 15.)

Miłą barwą rumienicje;
Ot i we wsi ruch niedzielny,
Kogut głosi czas świtania;
Ranny ptaszek, dziad kościelny,
Na pacierze już wydzwania.
Jakże pięknie dzwon daleki
W mgłach porannych się rozplywa!
Rzeźwy chłodek wieje z rzeki,
Z oczu resztę snu obmywa!

Słońce ognistym błysło promieniem,
Oblało ziemię światłem i cieniem,
A niebo w złocie, w różach, w błękicie,
Ziemia w zieloność strojna wesolą,
A człowiek wtedy patrząc w około
Stałby jak wryty przez całe życie.
Z pacierzem w duszy, łzami zalany,
Aniby sobie przypomniał kiedy,
Że gdzieś jest ziemia i ziemskie biedy,
Że on nic więcej — zlepek gliniany*.

Jest w tym wierszyku wiele szczerzej prostoty, chwytającej czytelnika za serce, ale jest w nim też tyle prawdy, podchwyczonej żywcem, takie przejęcie się opisywaną chwilą i takie zrozumienie wrażeń, jakich ona dostarcza, że trudno wątpić choćby na chwilę, iż to obrazek z własnego życia poety, wspomnienie z jego dzieciństwa. Wskazuje on nam wyraźnie czynniki, jakie na niego w młodości działały: przyroda, lud i jego opowiadania.

Ludwik miał już lat dwadzieścia, a ciągle jeszcze przebywał w dworku ojcowskim, nie mając żadnych widoków na przyszłość, a chociaż sam zapewne zbyttno się tem nie martwił, to martwił się ojciec jego, który widział w nim wiele zdolności

i marzył dla syna o losie lepszym, niż ten, który jemu dostał się w udziale. Dzierżawiąc folwark, należący do dóbr książąt Radziwiłłów, musiał pan Aleksander odwiedzać często zamek w Nieświeżu, w którym mieściło się biuro zarządu całego tego ogromnego majątku. Przed urzędnikami tamtejszymi chlubił się nieraz swym synem, że i on ma dosyć wiedzy i zdolności do pracy biurowej, dając równocześnie do zrozumienia, że chętnie widziałby go urzędnikiem w zarządzie dóbr książęcych. Jako dowód zdolności syna przedstawiał pan Aleksander rachunki i sprawozdania dzierżawne, pisane pięknie, wyraźnie i czystym, poprawnym językiem. Polegając na tych dowodach i na poleceniu jednego ze znajomych, przyrzekł ówczesny pełnomocnik Radziwiłłowski, Adolf Dobrowolski, posadę w zarządzie dla młodego Kondratowicza.

Tak więc nastąpiła w życiu przyszłego poety ważna zmiana: miał pożegnać się z dotychczasowem życiem wśród pól i lasów, a rozpocząć pracę wśród innych zupełnie warunków i nieznanym sobie ludzi.

II.

W Nieświeżu.

W jesieni roku 1842 mieli urzędnicy zarządu dóbr¹ Radziwiłłowskich ciekawe widowisko. Przez główną salę przechodził do pokojów pełnomocnika książęcego zgarbiony staruszek, a za nim posuwał się nieśmiało młodzieniec około dwudziestoletni. Staroświecki ich strój odbijał rażąco od otoczenia, przybranego w modne podówczas szaty, ale nadewszystko uderzały ich niezgrabne, prawdziwie wieśniacze ruchy. Staruszek postępował powoli naprzód, kłaniając się na wszystkie strony, idący zaś za nim młodzieniec starał się widocznie uniknąć badawczego wzroku obecnych, kryjąc się przed nim, jak mógł, i naśladowując przytem niewolniczo, choć mimowolnie, swego towarzysza; gdy ten się zatrzymywał, stawał i on także, gdy ten się komu uklonił, młody także powtarzał niezgrabnie to samo. Nic więc dziwnego, że urzędnicy śmiali się po cichu, patrząc na to żywe odbijanie się w młodzieńcu dziwacznych ruchów staruszka. Kiedy zaś dowiedziano się, że młodzieńcem tym jest Ludwik Kondratowicz, mający zostać wkrótce ich towarzy-

szem, upatrywano w nim już z góry przyszły przedmiot swych drwinek i żartów.

Stało się jednak inaczej. Ów nieśmiały i niezgrabny młodzieniec bardzo prędko obył się ze swem nowem otoczeniem, pozbył się nieśmiałości i zaczął dowcipem swym i żarcikami zabawiać towarzyszy, których został ulubieńcem. Przedmiotem tych żartów był przedewszystkiem jeden z kolegów biurowych, Rajmund Baranowski, człowiek pod każdym względem ciekawy i niezwykły. Były słuchacz uniwersytetu wileńskiego, na którym poświęcał się przez długie lata medycynie, ale nie zdał ani jednego egzaminu — i stąd nazywany przez towarzyszy »amatorem medycyny« — miał swój odrębny sposób mówienia, pisanania, odrębny tryb życia, a nawet pracy biurowej. Nigdy nie zamawiał dla siebie żadnego posiłku, starając się zawsze uzyskać go od drugich za pomocą żartów i dowcipów, nadzwyczaj zaś lubił herbatę, którą sam przyrządzał sobie w biurze kilka razy dziennie. Kondratowicz płatał mu rozmaite figle, a biedny Baranowski musiał się kryć przed nim z każdą czynnością, aby uniknąć drwin i prześladowania młodszego towarzysza.

Ta drobna na pozór okoliczność odegrała jednak w życiu Kondratowicza dosyć ważną rolę, bo śmieszna postać Baranowskiego utrzymywała go ciągle w wesołem, żartobliwym usposobieniu i zachęciła do pisania pierwszych wierszowanych utworów.

Wymaga to pewnego wyjaśnienia. Co do pierwszego poetycznego utworu Syrokomli nie mamy pewności; jedni utrzymują, że był nim wiersz »Dumanie

nad jeziorem«, drudzy opowiadają o wierszowanych listach do kasyera nieświezkiego Michała Kałkowskiego — ale ani »Dumania«, ani owe listy nie są nam znane. Zachowały się tylko owe żartobliwe wierszyki, odnoszące się do Baranowskiego, i te też, ażeby nie błądzić po manowcach domysłów, przyjmujemy za pierwsze.

Są to dwa listy wierszowane; pierwszy pisze niby Krysztalewicz, znany podówczas z dziwactwa i postrzelonej głowy wierszokleta wileński, do Baranowskiego, drugi jest odpowiedzią. Krysztalewicz pisze swój list z poza grobu, z Pól Elizejskich, na których, według pojęcia starożytnych Greków, przebywały dusze zmarłych. Opowiada przyjacielowi o tem, jak mu się tam powodzi, jak usługując samemu bogu poezyi, Apollinowi, przy stole, podczas zmieniania talerzy zjada mnóstwo najrozmaitszych przysmaków. Na te właśnie lakocie zaprasza przyjaciela, a sposób dostania się tam bardzo prosty: trzeba tylko umrzeć.

I gdy się nigdzie nie spotkasz z obiadem,
Niechaj ostatnia nadzieja nie znika:
Ukręć się w szopy, i moim przykładem
Rzuciwszy wszystko marsz do mogilnika.

A gdy już ciebie przez Styks ¹⁾ tam przewiozą,
Ja wraz swojego poznawszy po minie,
Powitam ciebie wierszami i prozą,
Kawką, herbatką, która rzeką płynie.

¹⁾ Rzeka w podziemiu, przez którą musiały się przeprawiać dusze zmarłych, aby dojść do miejsca przeznaczanego im na wieczysty pobyt.

Drugi wiersz stanowi, jak już wspomniałem, odpowiedź Baranowskiego. Czuje się on teraz nieszczęśliwszym jeszcze, kiedy porównywa los przyjaciela ze swoim; Krysztalewicz »oblizuje palce« w niebie, a on musi tymczasem

...pracować w uprzykrzonym tłumie,
Co nie zna się na figlach mądrego człowieka,
Ani jego pomysłów ocenić nie umie;
Pić herbatę bez cukru i kawę bez mleka.

Takie życie sprzykrzyło mu się, więc zwraca się do przyjaciela z następującą prośbą:

Krysztalewicz! bratuniu! ty nie znalazłeś zdrady,
Byłeś mi przyjacielem od gołego serca:
Chciej mi się smakowitej wystarać posady,
Jeżeli cię tam jaki nie uwiódł oszczerca.
Byle tylko łakocie, nie straszna mi praca,
Wszakże wiesz, że ja gardzę tym uprzejmym światem.
Kto tam u was na różnie pieczyście obraca?
Może jest miejsce? *dalbóg* jestem kandydatem.
Ufam, że z przyjacielską pospieszysz usługą.
Kończąc te zgłoski, jestem twym pokornym sługą.

Widzimy zatem, że pierwsze wiersze Syrokomli nie były niczem innym, jak zwykłymi, niewinnymi żarcikami, mającymi za cel wyśmiać wiecznie głodny i pragnący przysmaków żołądek towarzysza. Nie mają one wartości ani ze względu na myśli, ani ze względu na formę — bo głębszych myśli nie ma w nich wcale, a forma, ta szata zewnętrzna utworu, jest bardzo słaba — ale jako pierwsze wiersze naszego poety zasługują na chwilę uwagi.

Widzimy w nich przede wszystkim zdolność podchwytowania mniej lub więcej śmiesznych przyzwyczajęń i właściwości ludzkich i malowania ich w jaskrawych, rażących barwach, którą Syrokomla posiadał w takim wysokim stopniu, jak niewielu naszych poetów; jest więc dosyć ciekawem, że zdolność ta objawia się w samych zaraz początkach jego działalności.

A mógł ją już wówczas ćwiczyć, bo przed oczyma jego przesunęło się bardzo wiele postaci. Oprócz towarzyszków w urzędzie widywał raz po raz w domu pp. Dobrowolskich wiele osób z najbliższego sąsiedztwa, pomiędzy którymi byli zarówno obywatele starej daty, pamiętający jeszcze dawne, dobre czasy, jak młodzież, wykształcona już w duchu nowożytnym na wszechnicach krajowych lub zagranicznych. Mógł więc Kondratowicz i nauczyć się czegoś, i usłyszeć o minionych czasach i nabyć oglądy towarzyskiej, której mu życie w małym dworku ojcowskim dać nie mogło.

Tymczasem przełożeni poznali się na jego zdolnościach i uwolniwszy go od bezmyślnego przepisywania, polecili mu spisanie starych aktów zamku Kopylskiego, których zażądał sąd powiatowy w Słucku. Przyjemniejszego zajęcia nie mógłby Kondratowicz wymarzyć sobie nawet. Mógł teraz siedzieć dzień cały i wczytywać się w opisy zatargów i bójek między rodzinami szlacheckimi lub mieszczańskimi, to bowiem zajmowało całą jego uwagę, a mianowania i zapisy mijał pobieżnie. Nieraz siedział przy swym stoliku zaczytany w te stare papiery, aż nagle przerywał

ciszę głośnym wybuchem śmiechu, poczem zaczął opowiadać towarzyszom jakąś zabawną scenę, której opis właśnie przeczytał.

W ten sposób zapoznawał się Kondratowicz dokładnie z przeszłością swego kraju rodzinnego, wnikając w drobne nawet szczegóły codziennego życia, których dzieje nie mogą już przed nami odsłonić; z tych szczegółów korzystał później, kreśląc swoje »gawędy«, przedewszystkiem zaś »Zaścianek Podkowa« i »Kradziony wór«, które istnienie swe zawdzięczają wyłącznie starym papierom nieświeżkim.

Pamiętki starożytnego miasteczka zaciękawiały Kondratowicza i miały dla niego niezwykły urok; to też przez cały czas pobytu swego w niem zbierał skrętnie wszystko, co się do przeszłości Nieświeża odnosiło. Zdarzyło się tymczasem, że Michał Baliński, piszący właśnie swe głośne dzieło »Starożytną Polskę«, potrzebował dat historycznych o Nieświeżu i prosił o nie p. Dobrowolskiego. Ten, wiedząc o pracy Kondratowicza, polecił mu posłać ją Balińskiemu, który ją wydrukował w trzecim tomie swego dzieła. Była to pierwsza drukowana praca naszego poety.

Ale na zajęciach biurowych, na pisaniu wierszy i wspomnień dziejowych nie ograniczało się życie duchowe Kondratowicza — oprócz pragnień wiedzy odzywały się w nim żywo i gwałtownie pragnienia serca, które domagało się praw swoich. Oddał on je z całym zapalem na wyłączną własność pewnej młodej i pięknej panience, którą poznał w Nieświeżu — ale gdy jej miłość swą wyznał, spotkał się ze stanowczą odwową. Urażony do żywego, poszedł za pierwszym

popędem gwałtownego charakteru i chcąc pokazać, wbrew rzeczywistości, że odmowa, której doznał, nie obchodzi go zbyt wiele, oświadczył się prawie bez namysłu pierwszej pannie, którą w towarzystwie zobaczył. Była to p. Paulina Mitraszewska, krewna pełnomocnika nieświezkiego, Adolfa Dobrowolskiego. Po oświadczeniach nastąpił niedługo ślub, bo dumny i gwałtowny poeta chciał w ten sposób zemścić się na tej, która wzgardziła jego miłością i odepchnęła go od siebie.

To małżeństwo było głównym powodem późniejszych nieszczęść poety, a już samo przez się było dowodem wielkiej nierozwagi. Młody, 21-letni chłopiec, nie mający ani majątku, ani zajęcia, którego dochody mogłyby wystarczyć na wyżywienie rodziny, wiąże się na zawsze z kobietą, której nie kocha i która oprócz pocziwego serca nic więcej dać mu nie mogła, skazuje ją i siebie na życie w niedostatku — a wszystko to czyni z fałszywej dumy, dla źle zrozumianej zemsty. Przypomina to bardzo żywo postępek Jacka Soplicy w »Panu Tadeuszu«, który ożenił się z pierwszą lepszą dziewczyną, jaką napotkał, aby tylko okazać Stolnikowi, że mu ani na nim, ani na jego córce nie zależy. Podobieństwo to sięga jeszcze dalej, bo, niestety, zarówno Jacek, jak Kondratowicz musieli ten błąd swój ciężko odpokutować.

Położenie, w jakim w chwili żenienia się był nasz poeta, maluje bardzo dobrze ten drobny szczegół, że kiedy p. Dobrowolski ofiarował mu jako podarunek ślubny »Historję literatury polskiej« Wiszniewskiego, Kondratowicz nie posiadał się z radości,

jak gdyby spotkało go jakieś ogromne szczęście: środki jego pieniężne były tak szczupłe, że nie mógł marzyć o kupieniu sobie książki. Wobec takich warunków trzeba było opuścić Nieśwież i przenieść się z młodą małżonką na wieś, do Załucza, aby przy boku rodziców szukać środków do życia, których mu skromne wynagrodzenie za pracę biurową nie mogło zapewnić.

III.

W Załuczu.

W Załuczu uśmiechało się do młodego poety życie wśród pól i lasów litewskich, otoczone urokiem wspomnień dziecińczych i tak bardzo zawsze przez niego lubiane. Ale Kondratowicz nie korzystał z niego wiele; żądza wiedzy i zapal do poezji zatrzymywały go w ubogim dworku rodzicielskim nawet wtedy, kiedy obowiązek kazał mu wyjść w pole i zastąpić starego ojca w pracach gospodarczych. Zwykle zatem układały się stosunki w ten sposób, że zgarbiony pan Aleksander chodził, wspierając się na kiju, za plugiem, a syn tymczasem siedział w domu za stołem, zatopiony w czytaniu. A o książki nie było wówczas tak łatwo, jak dzisiaj, księgozbiory wiejskie były rzadkością i zbytkiem, na który nie każdy mógł sobie pozwolić. To też przyszły twórca »Margiera« nie mało musiał zwalczać trudności, aby dostać potrzebne mu dzieła, w których widział nie tylko źródło wiedzy, ale i środek dojścia do celu, o którym teraz marzył, do poświęcenia się poezji. A, rzecz dziwna, wszelkie trudy i kłopoty, na które ciągle był narażony, nie

tylko nie zniechęcały go do tej pracy umysłowej, lecz owszem, zachęcały tylko do tem zupełniejszego poświęcenia się jej i szukania w niej pociechy. Sam przyznawał, że »na nudy i zmartwienia, na tysiączne gorycze powszechnego żywota nie zna skuteczniejszego lekarstwa nad te chwile, kiedy się człek może zamknąć z książką, zaczytać się, zamarzyć i umrzeć dla świata«.

Zaczytywał się tedy Kondratowicz ile tylko mógł, a najwięcej takich chwil miłych marzeń dawała mu przedewszystkiem »Historya literatury« Wiszniewskiego. Jej zapewne należy zawdzięczać, że młody poeta powziął wielkie zamiłowanie do najdawniejszych pisarzy polskich i zaczął się w ich dziełach rozczytywać. Czekala go niespodzianka, bo nie przypuszczał, żeby te zapomniane utwory, z tak dawnych pochodzące czasów, mogły zawierać tyle prawdziwych i rzetelnych piękności; przyszło mu na myśl, iż to przecież wielka szkoda, że te piękności, ukryte pod szatą języka łacińskiego, są dla szerszych warstw publiczności niedostępne. A jakby to było dobrze, gdyby tak, jak to on czynił, rozczytywali się inni, wszyscy nawet, w tych pamiątkach ubiegłej przeszłości! — Czytając, poznaliby dawne stosunki, sławne czyny swych przodków, a porównywując ich ze sobą, możeby i oni

- Uczuli w sobie dawne serca bicie,
- Uczuli w sobie dawną wielkość duszy
- I jedną chwilę tak górnie przeżyli,
- Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.

Przyszedłszy do przekonania, że zapoznanie ro-
daków z dawnymi pisarzami mogłoby być korzyścią
dla nich i dla sprawy narodowej, postanowił Kondra-
towicz ze zwykłą sobie gorączkowością zabrać się do
przełożenia łacińskich poetów z XVI wieku na język
polski. Czuł jednak, że to zamiar wielki, praca nie-
mała i trudna — nie chciał więc brać jej na własne
barki, lecz pragnął zachęcić do współpracownictwa
drugich i wspólnemi siłami dokonać dzieła, które prze-
wyższało siły jednostki.

W tej myśli umieścił w r. 1846 w »Tygodniku
petersburskim« wezwanie do wszystkich, zajmujących
się poezją, o pomoc w przedsięwzięciu; przekłady
miałyby wychodzić zeszytami, a dochód miał być
przeznaczony na budowę kościoła w Mirze. Żeby po-
kazać, że przedsięwzięcie takie warte jest trudu, umie-
ścił na próbę w wileńskim czasopiśmie »Atheneum«,
wydawanem przez J. I. Kraszewskiego, przekład je-
dnego utworu Janickiego, i czekał wrażenia, jakie
zamiar jego wywrze na publiczności. Ale nikt nie
spieszył mu z pomocą; zaledwie kilka listów z po-
chwałą przedsięwzięcia było jedynym wynikiem ode-
zwy. Niezrażony tem, postanowił Syrokomla sam jeden
wykonać swój plan, a przełożywszy część poezyi Ja-
nickiego, zaczął szukać nakładcy pomiędzy księga-
rzami wileńskimi. Lecz ci wyrażali tylko swój żal,
że poeta tak uzdolniony marnuje czas na pracę tak
mało wdzięczną i niepopłatną, o przyjęciu zaś ko-
szków wydawnictwa nawet mówić nie chcieli. I to
jednak nie zniechęciło poety; ogłosił w »Tygodniku
petersburskim«, że zacznie wydawać w zeszytach

przekłady dzieł Janickiego i wzywał do przedpłaty na nie. W wezwaniu tem czuć już gorycz spowodowaną zawodem: »Czy zechce publiczność nasza — pytał tam poeta — przyjąć tych zmartwychwstałych z pod łaciny Janickich, Klonowiczów, Sarbiewskich, których lubo niegdyś za granicą za wzór podawano, lubo papieże wieńczyli laurem poetyckim, lecz nigdy nie przedrukował żaden księgarz brukselski? Lękamy się przewidywać, boimy się stracić naszych drogich marzeń. Wkrótce da się to widzieć«. Przypominając zaś, że dochód z tego wydawnictwa przeznaczony jest na budowę kościoła, zdawał się mówić do ziomków: jeżeli nie chcecie popierać mego przedsięwzięcia dla miłości sprawy narodowej, to popierajcie je choćby dla miłości Boga.

Mimo tych wezwań jednak, mimo pochwał, jakich znawcy nie szczędzili próbie przekładu, przedpłata szła niedobrze, pieniądze nie płynęły. Wtedy ubogi poeta własnym nakładem wydał pierwszy zeszyt tłumaczeń Janickiego, którego część zaledwie sprzedano pomiędzy znajomymi.

Pracę tę przerwała mu ciężka choroba: zapadł na tyfus i tylko pomocy znajomego sobie lekarza z Nieświeża zawdzięczał ocalenie życia. Zaledwie jednak podźwignął się z choroby, natychmiast przystąpił do dokonania dalszych przekładów w przekonaniu, że odda nimi społeczeństwu wielką przysługę. »Nie przywiązuje żadnej prawie wartości do moich prac oryginalnych — pisał wówczas do Kraszewskiego — ale przekłady poetów i historyków polsko-łacińskich i nad grobem poczytam sobie za ważną

w piśmiennictwie naszym zasługę«. Więc też nie żałował trudów dla zdobycia tej zasługi, a zadowolony, że księgarz wileński, Zawadzki, zgodził się wreszcie na wydanie swym kosztem »przekładów«, poświęcał im każdą wolną chwilę.

A praca ta odbywała się w warunkach tak uciążliwych, tak odstrasających prawie, że trzeba podziwiać wytrwałość i siłę woli Kondratowicza tem bardziej. Wyobraźmy sobie stary i mały dworeczek szlachecki w Załuczu, a w nim niewielki pokoić: to pracownia naszego poety. Z poblizkiego pokoju dolatuje tu ustawiczny krzyk i płacz dzieci, z drugiego krzątanie się służby. Rano zaś i wieczór zgiew i hałas jeszcze większy, bo w przyległej izbie zbiera się cała czeladź i gwarem swym napelnia powietrze. Ale nie dosyć na tem. Ojciec Władysława postarzał się tak, że się już gospodarstwem zajmować nie mógł, wszystkie więc kłopoty ciężą na głowie poety. Co chwila otwierają się drzwi do jego pokoiku i wchodził ktoś ze służby z zapytaniem, lub doniesieniem w jakiejś sprawie gospodarskiej — i trzeba rzucać pióro i myśl przenosić z dawnych czasów, które mu przypomniały książki, do trudów i kłopotów codziennego życia, aby znowu za chwilę zagłębić się w ulubionej książce, aż ktoś znowu nie wejdzie z interesem.

To też podziw ogarnia, gdy się zważy to wszystko i przypatrzy dziełu, jakiego Kondratowicz pośród takich stosunków dokonał. W przeciągu trzech lat przełożył on na język polski wszystkie utwory łacińskie Klemensa Janickiego, Jana Kochanowskiego, Macieja

Kazimierza Sarbiewskiego, Mikołaja Smoguleckiego, Joachima Bielskiego i Sebastjana Klonowicza (»Ziemia Czerwonej Rusi«), a w wyjątkach utwory Szymona Szymonowicza, Jana Dantyszka, Jędrzeja Krzyciego, Grzegorza z Sambora, Jana Derszniaka, Adama Świnki i wielu jeszcze innych. Razem obejmowały te tłómaczenia sześć tomików, noszących ogólny tytuł: »Przekłady poetów polsko-lacińskich«, niemają zaś drobniejszych znalazło się po śmierci poety w jego papierach, lub weszło do napisanej później »Historji literatury polskiej«.

O wiele więcej jednak niż piśmiennictwu ojczystemu zasłużył się Kondratowicz przez te tłómaczenia sobie samemu. Język jego nabrał siły i jędrności a nadto wzbogacił się wielu formami dawniejszemi. Niemają naszych poetów kształciło się z najlepszym skutkiem na pisarzach XVI wieku, tem bardziej zaś potrzebną była taka nauka Syrokomli, który nie posiadał gruntownego wykształcenia szkolnego, a zamknięty w cichej wiosce litewskiej, gdzie obcował tylko z domownikami i okoliczną szlachtą, narażony był na bardzo ujemne wpływy nie zawsze czystego języka, którym otoczenie jego władało. Wpływy te wybiły też swe piętno na jego utworach, ale właśnie temu rozczytywaniu się w dawnych pisarzach polskich należy przypisać, że, jak na warunki, w których nasz poeta żyć musiał, jest ich stosunkowo niewiele.

Przez cały czas pracy nad »przekładami« żył poeta duchowo nie w dziewiętnastym, lecz w szesnastym wieku, z Kochanowskim, Janickim, Orzechow-

skim, z nimi obcował, czuł i marzył, a ciałem tylko przebywał na Litwie. To też czasy owe poznał bardzo dokładnie, dokładniej nawet, niż te, które mu były o wiele bliższe, a nawet współczesne; kiedy później w utworach swych opisywał czyny Napoleona, który umarł prawie równocześnie z jego przyjściem na świat, popełniał w opisie tym o wiele więcej błędów historycznych, niż wówczas, kiedy kreślił obraz XVI wieku. Nie więc dziwnego, że z tych wiadomości chciał skorzystać, pisząc utwory osnute na tle tych właśnie czasów. Do takich należą przedewszystkiem: »Zgon Acerna«, »Stare wrota«, ułamek dużego utworu »Kanonik Przemyski« i wiele innych.

Ale już w pierwszych utworach opisowych występują na jaśń dwa główne źródła, z których Kondratowicz przez całe swe życie czerpał treść i natęczenie: historia i podania ludowe lub szlacheckie. I tak: »Błogosławiony Sadoch« jest opowiadaniem z czasu drugiego najazdu Tatarów na Polskę w roku 1259; »Pocztylion« i »Trzy gwiazdki« są osnute na podaniach ludowych, a następująca zaraz po nich »Dyfferencya« ma już za przedmiot opowiadania życie zaściankowej, ubogiej szlachty. Ciekawszem jeszcze jest to, że u Kondratowicza nie widać z latami wielkiego postępu ani pod względem formy, ani pod względem zasadniczej myśli, ożywiającej jego dzieła. Gawęda »Chodyka« na przykład, pochodząca z pierwszych zaraz lat jego twórczości, nie tylko nie ustępuje późniejszym, ale nawet przewyższa niektóre z nich, a sposób sądzenia uczynków ludzkich, jaki tutaj występuje, będzie się pojawiał bez zmiany we

wszystkich późniejszych pismach Kondratowicza. Dla tego warto przypatrzeć się tej gawędzie trochę bliżej.

Chodyka był ubogim leśnym, w małej swej chatce pędził jednak wraz ze starym ojcem i żoną dosyć szczęśliwe życie — ale niezwykley pociąg do gorzałki miał wkrótce zniszczyć jego szczęście rodzinne. Gdy pewnego razu Hetman wielki miał przyjechać na polowanie, zawołał łowczy Chodykę do siebie i polecił mu surowo osaczyć niedźwiedzia, którego właśnie w lesie widziano, i wypłoszyć go następnie w ten sposób, żeby wyszedł prosto na Hetmana. Ale Chodyka, zamiast pilnować niedźwiedzia, pil przez trzy dni za otrzymane od łowczego pieniądze, a gdy wskutek tego polowanie się nie udało, rozgniewany pan kazał go osmagać harapem aż do krwi. Pod wpływem bólu i gniewu Chodyka wyrwał się oprawcom, chwycił siekiere, zabił nią łowczego i uciekł w las. Przez lat trzydzieści błąkał się po lesie, cierpiąc głód i nędzę, aż wreszcie postanawia opuścić odwieczny las i oddać się w ręce sprawiedliwości. Mógłby wprawdzie pozostać spokojnie w swej kryjówce, lub wyszedłszy między ludzi, zamilczeć o występku, który popełnił — ale sumienie domaga się kary za zbrodnię:

- Bo fraszka sądy ludzkie — tam w piersiach głęboko
- Gorszy sąd... gdzie sumienie władzę rozpostarło.

I właśnie ta walka sumienia z wrodzonym każdemu człowiekowi popędem zachowania życia, stanowi treść całej gawędy — reszta, to tylko ramy, w które ujęty jest cały obraz. Walka trwa długo, bo przez trzydzieści lat — ale sumienie w końcu

zwycięża. Przypatrzmy się niektórym ustępom tego obrazka. Oto na przykład wrażenie, jakie wiosna wywiera na zbrodniarzu:

- »Dotąd bywało, gdy wieczór się zbliża
- »Nie mogłem, biedny, odważyć się dosyć,
- »Zmówić pacierza lub położyć krzyża,
- »Albo spojrzenia do niebios podnosić.
- »A wiosną, panie, samemu i w lesie,
- »Ot, nie wytrzymasz bez modlitwy bożej!
- »Tak ci zapłakać i pomodlić chce się,
- »Że krzyż na piersiach nie chcąc się położyć.
- »O, wam nie pojąć, jak się zbrodniarz modli
- »Kiedy mu w sercu odezwie się skrucza!
- »Choć szatan szepce, że się człek upodli,
- »Wzywając Ojca i Syna i Ducha,
- »Że trzeba hardo postawić się Bogu,
- »Gdy się nadziei w miłosierdzie niema —
- »Poczniesz modlitwę — jak gdyby z nałogu,
- »A skończysz płaczem, aż serce się wzdyma«.

Ale »nuda, głód, czarna rozpacz i zwątpienie ducha« dręczą mimo pojednania się z Bogiem duszę Chodyki do tego stopnia, że wreszcie postanawia zakończyć życie samobójstwem. Lecz kiedy szukając gałęzi, na której mógłby zawisnąć, podnosi oczy do góry, słyszy, że:

- »coś huczy, coś brzęczy,
- »Aż tu pszczołka lecąca uklóła mię w ramię,
- »Patrzę, aż tu na drzewo rój spuścił się pszczelny,
- »Piękny rój... krew poleska¹⁾ wzięła swoją władzę...
- »Czekajcie... nim pomyślę o drodze śmiertelnej,
- »Pierwej rój ten obiorę i w ulu osadzę.

¹⁾ Chodyka pochodził z Polesia.

- »Bo wy, państwo, nie znacie poleskiego rodu:
- »U nas pszczoła to rozkosz, to bogactwo czleka;
- »I mój dziad, i mój ojciec i ja sam za młodu
- »Znałem się na pszczelnictwie. — Ot, będzie pasieka!
- »Skoczyłem do roboty żwawo i radośnie
- »Zebrałem rój do czapki — jak powiedzieć słowo,
- »I wydrażywszy kłodę w niedalekiej sośnie,
- »Wpuściłem moje pszczołki na siedzibę nową.
- »To mi zabrało czasu cały dzień wesoly,
- »Wieczorem już do śmierci ochota nie bierze —
- »Chce się jutro obaczyć, czy przyjmą się pszczoły?
- »Więc przeżegnałem pszczoły, zmówiłem pacierze,
- »I począłem rozmyślać: Kiedy Bóg pozwoli,
- »Może się więcej rojów nadybać gdzie zdarzy;
- »Zaprowadzę pasiekę, i w mojej niedoli
- »Będę leśny gospodarz, cudo gospodarzy!
- »Nie dla siebie, bo gdzież mi? nie sprzedawać w mieście
- »Miodu z mojej pasieki; to ciekawość wzbudzi, —
- »Lecz dla pracy, pożytku — ot, tak sobie wreszcie...
- »Praca dla Pana Boga, pożytek dla ludzi.
- »Teraz człowiek bez pracy wałęsać się musi
- »I karmić brzydkie myśli, ażby serce zgniło...
- »Nad błotem krzyż postawię, to czart się spokusi,
- »A pod krzyżem niekiedy pomodlić się miło;
- »A jak głód mię pokona, albo zmrozi zima,
- »Ktoś znajdzie moje kości i zapłacze może —
- »Zapłacze, ani wąpić — bo w spadku otrzyma
- »Całą pszczelną pasiekę — dopomagaj Boże!«

Już z tych dwóch małych wyjątków można po-
wziąć pewne wyobrażenie o całości. Uderza w niej
przedewszystkiem nadzwyczajna prostota i brak
wszelkiej wyszukaności lub nadzwyczajności. Wszy-
stko jest tu zupełnie zwyczajne i łatwe do zrozumie-
nia: i to, że Chodyka mając pieniądze pije, zamiast
pilnować obowiązku, że go za to spotyka kara, że ta

kara doprowadza go do rozpaczyny a przez nią do zbrodni i że z obawy ukrywa się długo w lesie.

Ta prostota w opowiadaniu przenosi się na wszystkie drobne szczegóły, a występuje najwybitniej w sposobie kreślenia i pojęcia postaci Chodyki. Jaka to prosta i niezłożona dusza u tego przypadkowego zbrodniarza! On nawet nie próbuje usprawiedliwić się przed samym sobą, nie przytacza żadnej okoliczności, któraby mogła jego winę zmniejszyć, ale po prostu powiada sobie: jestem zbrodniarzem, zakalałam i hańbą społeczeństwa. A przecież gdyby dziś sprawę jego chciano sądzić przed ławą sędziów przysięgłych, ci uwolniliby go najprawdopodobniej — bo on uczynił wprawdzie źle, bardzo źle, ale i z nim postępowano nie wiele lepiej, katowano, bijąc aż do krwi i znęcając się nad nim; on działał w chwili, kiedy ból szalony odebrał mu przytomność, kiedy nie zdawał sobie sprawy ze swego postępowania. Rozumie to dobrze książe słucki, który zamiast zasądzić Chodykę na śmierć, każe mu prowadzić dalej pokutę w klasztorze — ale nie zdaje sobie z tego sprawy sam Chodyka. Trudno osądzić, czy Syrokomla uczynił go takim umyślnie, jako człowieka niskiego stanu i niewykształconego, czy też przypadkowo, bezwiednie. To tylko pewna, że i później pojmował i przedstawiał ludzi w ten sam sposób, każąc im w rzeczach sumienia nie rozumować, ale kierować się wyłącznie zasadami katechizmu.

Jeszcze ciekawszą jest pod tym względem mała gawęda »Kradzione«. Ubogiego szlachcica namawia syn do ukradzenia wolu sąsiadowi; ojciec, chcąc dać młodzikowi nauczkę, pozornie godzi się na jego za-

miar, lecz cichaczem idzie do sąsiada, kupuje od niego wołu i wtajemnicza go w całą sprawę. Potem kradnie wraz z synem kupionego wołu — i zaczynają się codzienne uczyty. Ale syn, dręczony obawą wykrycia się kradzieży i straszony poszukiwaniami sąsiada, nie ma ani chwili swobodnej i już nawet jeść nie chce. Wynik jest ten, że ojciec utył, syn zaś, przedtem rośły i krzepki, wysechl jak szczepka. Znaczenie gawędy określa stary szlachcic, mówiąc do syna:

»Ja zakupilem wołu, toć mi szło na zdrowie,

»Ty kradnąc, schudłeś na charta.«

A więc jedno i tosamo mięso jednemu służy, drugiemu wychodzi na szkodę, zależnie nie od czego innego, jak tylko od sumienia człowieka, który je spożywa!

Oprócz tych opowiadań powstało w czasie pobytu Kondratowicza w Załuczu jeszcze sporo drobnych wierszy uczuciowych. Były one pisane dorywczo tylko, bo właśnie zajmowała poetę ciężka, mozolna praca przekładów — ale w tem właśnie leży znaczna część ich uroku i piękności. Myśli Syrokomli błędziły w dawnych wiekach, wnikały w dzieła Kochanowskiego lub Sarbiewskiego i tak zupełnie były tem zajęte, że im nie starczyło czasu na wnikanie w sprawy bliższe, w codzienne, jednostajne życie wiejskie. Ale czasem odezwało się i serce o swoje prawa, a kiedy ono wezbrało radością lub, co częściej się zdarzało, goryczą — wtedy poeta chwycił za pióro i przelewał na papier swe uczucia proste, szczerze, niewymuszone i rzewne. Przypatrzmy się np. jak opisuje wieś i domek, w którym mieszka:

Ej, za górą, za wysoką,
Stare dęby z lewej strony —
Za dębami bawi oko
Nadniemeński brzeg zielony.
Z prawej strony bagno szlakiem,
Na bagnisku wierzba wzrasta —
A na piasku, nad chróśniakiem,
Szumi sośnina kolczasta.
W parkanową wjedź ulicę —
Stary domek w ziemię gnie się,
Krzywe ściany, a na strzesze
Mchem zakwitły już dranice;
Widać niebo z drugiej strony
Szczerbinami z między dranic:
To mój domek, pochylony,
Lecz nie oddałbym go za nic.
Tu ostrokół tuż przy ganku,
Do ogródka mego wniście —
A w ogródku, gdyby w wianku,
Bzy niewielkie, gęstoliście.
Pod oknami mych rozwalin
Pstrzeją ziółka i kwiatuszki,
A od kwiatów idą dróżki
Do agrestu i do malin.....
To mój ogród, wszystko moje,
Choć ubogo w nim i dziko;
Sam w nim chodzę, piszę, roję,
Kopię rydlem i motyką.
Domek, ogród, wszystko u mnie
Jakże rzewnie, jak wesolo!
Jak uroczo i jak dumnie
Stąd spoglądam naokoło.

Duma ta polega tylko na przekonaniu, że ta siedziba, choć uboga i ciasna, jest jednak własna, że poeta łaski niczyjej nie potrzebuje — bo mieszkanie to nie może chyba samo w nikim dumy wzbudzić, jeżeli

»... gdy zbierze się na burzę
Nie wytrzyma stary domek.
Już gdy burza, zawierucha,
Mało służy dach ochrończy;
Już przez pułap deszcz mi plucha,
A przez ściany wiatr się sący.

Tak wygląda dworek poety — przypatrzmy się
teraz jego wnętrzu:

»Ot, mój pokój, mój różowy,
Malowany w kolor cegły —
Och! w około biednej głowy
Jakież myśli tu przebiegły!
Ot, na ścianie wieniec żyta
Pamięć żniwa i dożynek.
Oto sofa pyłem kryta —
Mój po pracy wypoczynek.
Ot, mój stolik, tron potęgi,
Tam szpargałów leżą roje;
A to szafa — a w niej księgi —
Zguba moja, szczęście moje!
A nad stołem, tam, wysoko —
Buja nitka pajęczyny:
W nią wlepiąłem moje oko,
W lube dumań mych godziny.
W nią patrzałem, gdyby w tęczę,
Gdy na czole ciężar czułem
Lub gdy myśli pasmo snułem
Wątle, słabe, jak pajęcze.
Oto komin, druch wesoły,
Tu wchodziły cygar dymy,
Tu'm fajczane trząsał popioły,
Tu paliłem moje rymy.

Tyle wspomnień łączy poetę z tym domkiem,
tyle tu przeżył chwil wesołych i smutnych, że żal

ściska mu serce na myśl, iż będzie musiał miejsce to opuścić i gdzieindziej szukać przytulku:

Chatko! ściany twoje stoją,
Lecz cię wkrótce proch zagrziebie.
Jaż przyrosłem tak do ciebie,
Ty tak wrosłaś w duszę moją!
Wkrótce wnijdę w nowy kątek,
Obcy sercu i pamięci —
Nic z mych wrażeń, nic z pamiątek
Nowej strzechy nie uświęci.
Tam przeniosę me cygaro
I mój stolik i wezglowie,
Łacno wznowić chatkę starą,
Lecz już duszy nie odnowię!

A trzeba było myśleć o opuszczeniu dworku rodzicielskiego, bo gospodarstwo nie szło dobrze i zbyt wiele sprawiało trudów i kłopotów. Syrokomla nie chciał jednak zmieniać sposobu życia, nie myślał o przesiedleniu się do miasta, pragnął tylko zmniejszyć rozmiary swego gospodarstwa i na jakimś niewielkim kawalku żyć sobie skromnie, ubogo, ale spokojnie. Właśnie wówczas był do nabycia niedaleko Żalucza niewielki kawałek ziemi, zwany zaściankiem Pawłokowszczyzną; więc uradowany poeta zaczął natychmiast starać się o skuteczenie swego zamiaru kupienia tej niewielkiej posiadłości. Najbardziej zaś uśmiechało mu się to, co innych byłoby od kupna odstraszało, tj. że w Pawłokowszczyźnie nie było poddanych dworowi włościan. Trzeba bowiem pamiętać, że na Litwie, jak i we wszystkich krajach dawnej Polski zabranych przez Rosyę, była jeszcze pańszczyzna, która obowiązywała włościanina do pracowania

w pewnych dniach tygodnia na gruntach dworskich zupełnie bezpłatnie; w ten sposób płacili oni swą pracą czynsz za chatę i za kawał przydzielonego im gruntu. Panowie polscy sami prosili rząd rosyjski o zniesienie pańszczyzny; ale rząd nie chciał zgodzić się na to, aby przez to nie przywiązać włościan do panów, do dworu; owszem, żeby zgodę pomiędzy chatą wieśniaczą a dworem jak najbardziej zakłócić, przedstawiali włościanom, że panowie są przeciw zniesieniu pańszczyzny i że dlatego tylko nie można ogłosić zupełnej równości wszystkich stanów.

Pomimo to wieśniakom było po największej części dobrze: pracowali wprawdzie dla dworu, lecz za to mieli w nim zawsze opiekunów, którzy ich w żadnem nieszczęściu nie opuścili. Ale jak zawsze między ludźmi, tak też i pomiędzy panami byli tacy, którzy o lud nie dbali i patrzyli przez palce na to, jak ekonomowie wyrządzali krzywdy ich poddanym. Syrokomla widział podobne przykłady i oburzał się tem niezmiernie; już sama myśl, że włościanin nie ma własnej woli i własnego kawałka ziemi, wydała mu się krzyczącą niesprawiedliwością, którą koniecznie trzeba usunąć i dlatego wołał sam pracować na swej roli i najmować robotników, niż krzywdzić lud zaprzęganiami go do obowiązkowej pracy.

»Spytasz, co będę robił na kawałku gruntu bez włościan? — pisał do jednego z przyjaciół. — Gospodarzyć bez ucisku ludu Bożego, bez strat i kłopotów; pracować lichem piórem na grosiwo, a grosiwem najmować robotnika, budować, urabiać i ulepszać pole (co łatwo na małym), zakładać ogródek, kopać

spady, słowemłożyć nakłady, gospodarzyć z zamiłowaniem na własnym gruncie. A tam, tam musi za Bożą opieką moja siedziba takie w końcu przynosić dochody, jakie przynoszą folwarki niemieckie lub angielskie, gdzie ludu nie zaprzęgają w jarzmo. Powiesz, że ja nie umiem gospodarzyć i że mi czasu na to nie starczy. Nie umiem, to się nauczę, a co do czasu, mam jedną wadę, że kiedy nie piszę, to nie siedzę w domu. Otóż praca gospodarza uleczy mnie z tej wady. Wyobraź sobie kątek cichy, ustronny, właśnie do umysłowej pracy, ziemię niezgorszą, po 10 mórg w zmianie, ładny olsznik, co mnie zasłania od świata, strumień wyborny i dla poety i dla jego wołów roboczych, kawał pastwiska, łąkę dziś grząską i nieużyteczną, ale którą, pokopawszy rowy, łatwo upożytecznieć. Oto moje spodziewane rozkosze i dochody i to wszystko na włóce gruntu.«

Tak marzył Syrokomla o swem przyszłym życiu w Pawłokowszczyźnie, ale, niestety, marzenia te nie urzeczywistniły się. W nabyciu tego małego kawałka ziemi były trudności, których nie można było pokonać, a które polegały przedewszystkiem na braku potrzebnych pieniędzy — więc trzeba było pozostać w Załuczu i znosić coraz więcej trosk i niepowodzeń.

Ale wyrzekłszy się na razie myśli o własnej siedzibie, nie przestał zajmować się losem włościan. W wybornym wierszyku p. t. »Lalka« wyśmiewa i smaga niemiłosiernie tych, którzy surowo obchodzą się z ludem i nie dbając o jego potrzeby, uważają się za lepsze od niego stworzenia Boże. Przedstawia tam małą dziewczynkę, która nie może sobie wytló-

maczyć postępowania swego ojca z ludem — jedynym chyba powodem jest to, że »chłopi muszą być niegrzeczni«. Ale widziała, że ci ludzie są biedni, że często są głodni, więc żałuje ich i czyni takie postanowienie:

»Już ja kiedy wyrosnę i mieć będę zboże,

»Póki się cała wioska chlebem nie nasyci,

»Nigdy się spać nie położę.

»Bo proszę, jak tu zasnąć, kiedy naród blady

»I do drzwi i do okien ciśnie się z pokorą?

»Nie nakarmić ich chlebem... to przyśnią się dziady,

»Jeszcze do torby zabrają...

»Lub, co gorsza — w obrazku Pan Jezus się dowie,

»Co dla zgłodniałej rzeszy chleb i rybę łamie...

»Lalko! zmówmy pacierze o chleb i o zdrowie

»Chłopom i papie i mamie«.

Ale jeżeli panowie są czasem niesprawiedliwi dla włościan, to włościanie sami są dla siebie jeszcze niesprawiedliwsi: nie umieją ocenić serca człowieka, a cenią tylko jego pracę. Taką myśl wyraził Syromkła w małym wierszu, napisanym trzy tygodnie przed »Lalką«; opisał w nim »pogrzeb młodego rolnika« w sposób następujący:

»Wczoraj, młody Łazarzu, śledząc wzrok twój pilno

I słysząc w zeschniętych piersiach muzykę mogilną,

Tętno, co słabo kołata...

Kłamałem twej rodzinie, i tobie, i sobie,

Że cię ręka lekarza podźwignie w chorobie,

Że jeszcze wrócisz do świata.

Dzisiaj — w jodłowej trumnie leży trup młodzieńczy,
Matka, upadłszy na twarz, żałośliwie jęczy,

Głową o trumnę uderza.

Na ławie cudzy ludzie wzdychają przy czarce,
Wzdycha ojciec, że stracił pomoc w gospodarce,

A dzwonnik śpiewa z psalterza.

Promień rannej jutrzemki do chaty się wciska
I jakby dla zniewagi, dla uragowiska,

Twarz trupa oświeca jaśnie.

Stosowniejsza dla ciebie, o biedny młodzianie!

Lampa, co krwią migoce na szerniejszej ścianie,

Buchnie... to znowu przygaśnie...

Biją w dzwonek cerkiewny... to już hasło znaczy,

Że skończona przy grobie robota kopaczy,

Już robak czeka w mogile!

Już przychodzi ksiądz z krzyżem... O zaczekaj księżo,

Nim ojciec czarne woły do wozu zaprzęże,

Zostaw nam gości na chwilę...

Zakolatała w wieko wierna ręka cieśli,

Wóz słomą potrząsnęli i trumnę wynieśli,

Karawan chatę wymija.

Z żółtymi gromnicami, w uroczystej parze,

Śpiewając podchmieleni idą gospodarze,

Placz niewiast niebo przebija.

Nawet wójt, choć twarz jego tak groźna i dzika,

Uszanował pokłonem trumnę nieboszczyka.

Młodzieńcze! straszno ci w grobie?

W obumarłych żrenicach łza ci pewno stoi,

Żal sercu rzucać wioskę, gdzie cudzy i swoi

Tak rzewnie płaczą po tobie?

A jednak ja, przechodzień, co patrzę z daleka,

Czuję, jak się krew moja pod sercem zapieka,

Jak mię pot zimny oblewa.

To nie po tobie płaczą — o! im tylko szkoda,
Że zakrzepła na zawsze twoja ręka młoda
Do sianokosu i żniwa!

Bo twoja ręka z siekierą była oswojona,
Bo już sochę dźwigały twe młode ramiona,
Już zdobywałeś kęs chleba!
Cóż za dziw, że rodzina, że wójt nawet czuły?
Bo się twoje ramiona z zaprzęgu wyzuly...
To żal nie taki, jak trzeba!

Idzie młoda żniwiarka z zakwieconą głową...
Może westchnie... wyleje lezkę ukradkową,
Święte współczucie obudzi...
Gdzież tam! póki zaręczyn nie zapiją starzy,
Żadne się młode dziewczę kochać nie odważy —
Płakać po chłopcu — wstyd ludzi!

Ostrożna!... Gdyby świat ten nie był zimnym tyle,
Smutnoby ci tak młodo zakostnieć w mogile,
Nie chciałbyś rzucać nas może;
Cierpiałbyś, jakbyć serce na połowę darto...
Ale teraz, poznawszy, że i żyć nie warto,
Pokochasz grób twój, niebożę!

Przy mogile gromadki zbierają się tłumne —
Słysząc, jak garści piasku uderzają w trumnę,
Już spoczał w ziemi syn kmieci;
I kłodę położyli na jego kurhanie
I dzwonek ostateczne zagrał pożegnanie:
Niech wieczna światłość mu świeci!

Wieczorem wy, umarli, niekiedy umiecie,
Wziąwszy postać upiora, błąkać się po świecie,
Odwiedzać rodzinne sioła —
I u lubego okna podsłuchiwać z cicha,
Czy rodzina pamięta, czy kochanka wzdycha,
Czy kto twe imię zawoła?

Nie chodź, młody upiorze, do lubej, do braci,
 Bo ci się twa ciekawość boleśnie odplaci!
 Za miesiąc — obaczysz pono
 Grób twój w zielsku a imię w niepamięci ludzi.
 Spij twardo, póki Pan Bóg ze snu cię nie zbudzi,
 Zapomnij przeszłość minioną!

A więc to życie wiejskie przedstawia się Syrokomli w tak ciemnych barwach, tak bolesnem, tak przykrem, że nawet »żyć nie warto« i lepiej uciec z niego do zimnej mogiły; ale nie bieda temu winna, lecz brak serca u wieśniaków i ich wyrachowanie. Oceniają człowieka według tego, co może i umie zapracować i tę pracę jego szanują, ale serca mu nie dają. Rzecz naturalna, że tak samo w tym utworze, jak i w wierszu »Lalka«, opisywał Syrokomla tylko wypadki wyjątkowe, bo ani wszyscy włościanie nie są tak zimni i nieczuli dla swych dzieci, ani wszyscy panowie dla włościan — ale już te wyjątki drażniły i rozgoryczały poczciwe serce poety.

Powiadają — i słusznie — że, aby odczuć cudzą boleść i cudze nieszczęście, trzeba ich najpierw samemu doświadczyć, bo to jest koniecznym warunkiem zrozumienia drugich; zastosowawszy to do Syrokomli, zrozumiemy łatwo te jego utwory. Życie nauczyło go przestawać na małym i walczyć z niedostatkiem, a oswojony z tą codzienną troską o chleb, nie uważał jej za nieszczęście, byleby tylko serce i umysł były spokojne; na to zaś trzeba mu było przede wszystkim przywiązania i miłości najbliższych i — niezależności. To też widok ciężkiej pracy, zdobywania z mozolem kawałka codziennego chleba

rozzewniał go może, ale nie wzbudzał wielkiej litości, jako rzecz zwyczajna — ale gdy widział brak wzajemnej miłości, brak serca dla tych, którym je zupełnie powinniśmy poświęcić, dla rodziny i dla Ojczyzny, wtedy czuł, że w takim stanie i z takimi ludźmi żyćby nie mógł i przypuszczał, że i drugim życie takie musi być tylko ciężarem. Niezależność zaś od niczyjej laski była zawsze jego najgorętszym pragnieniem, a posiadanie jej największym skarbem; sam nazywał siebie skromym spiewakiem, »lirnikiem wioskowym«, którego jedynym celem jest »grać od serca, Panu Bogu w kościele i dobrym ludziom w gospodarstwie«, ale na tem skromnem stanowisku podnosił hardo głowę i przed nikim jej nie chciał »zniżyć« — wolałby raczej umrzeć. Z takich zapatrywań pochodzą wierszyki przytoczone powyżej i wyrażone w nich myśli — jest w nich tylko żal i współczucie dla ludzi, którzy nie posiadają tego, co on uważał za konieczny, niezbędny warunek już nie szczęśliwego, ale choćby tylko znośnego życia.

Wyrazem tej szlachetnej dumy poety, który »ani pieśni ni głowy« nie chce zniżyć przed nikim jest także piękny wiersz p. t. »Lirnik wioskowy«, w którym Syrokomla przedstawia samego siebie.

I.

Liró ty moja spiewna! z czarodziejskiego drewna
Snać ciebie wyrobiono!
Skoro wezmę cię w ręce, gdy twą rączką zakreczę,
Zaraz mi kipi łono.
Czuję radość nieznaną, jakby na sercu grano
I smutno i wesoło;

Jam szczęśliwy, bogaty, gdy od chaty do chaty
Przechodzę całe siolo!
Z tobą się nie napieszczę: i noc i dzień i jeszcze...
Jeszcze grałbym bez końca;
Aż mi się w piersiach warzy, aż mi do bladej twarzy
Uderza krew gorąca.
Niech sobie boli ręka, niech sobie serce pęka,
Przecię tonów nie zniżę;
Nie żaluję mej głowy, wszak ja lirnik wioskowy
Skonam grając na lirze!

II.

Liro ty moja spiewna, z czarodziejskiego drewna!
Niebezpieczeńś narzędzie!
Jakby w piekle, jak w niebie, kto się dotknął do ciebie,
Wiecznie pamiętać będzie!
Wnet go dumka uniesie, wnet sercu kochać chce się
I tęsknota ogarnie.
Tyś pokaraniem bożem, z tobą jak z ostrym nożem
Nie żartować bezkarnie.
Bo noże ciało bodą, a piosnka duszę młodą
Jakby ostrzem przenika;
A gorsza jeszcze bieda, że świat i wiary nie da:
Co tam w duszy lirnika?
Co oni wiedzieć mogą, że mi tak w piersiach błogo,
Że mnie tak chętka bodzie:
Grać od serca, grać wiele, Panu Bogu w kościele,
Dobrym ludziom w gospodzie;
Grać przed moją jedyną, niech ją piosnki obwiną,
Niech ją dźwiękiem otoczą,
Czy pracuje we żniwa, czy po pracy spoczywa,
Czy się bawi ochoczo.
Patrzcie na dziewę moją, przy niej chłopcy się roją,
Śmieszne, śmieszne ludziska!
Jeden wąsem się chwali, drugi mieczem ze stali,
Trzeci srebrem połyska.



Nie żałuję mej głowy, wszak jak lirnik wioskowy
Skonam grając na lirze... (str. 50.)

Mnie Bóg więcej przeznacza: znaj, co hardość spiewacza!
Ja przed nikim nie zniżę
Ani pieśni, ni głowy — hardy lirnik wioskowy
Skonam grając na lirze!

III.

Liro ty moja spiewna, z czarodziejskiego drewna!
Wątle z tobą nadzieje,
Snać twe piosnki niepiękne: czy przed Bogiem ukłękne,
Czy dla ludzi zapieję,
Tylko rozgwar twój znudzi Pana Boga i ludzi,
Serc braterskich nie zjedna;
Bo każdy z towarzyszy słyszy, jakby nie słyszy,
O doło moja biedna!
Kiedy czasem się zdarza, że u stopni ołtarza
Ku Bogu głos wyteżę,
Ksiądz na mnie patrzy gniewno, że muzykę cerkiewną
Smutnym głosem mitreżę.
Kiedy pójdę we święta, gdzie się bawią dziewczęta,
Młodzież i starcy w domu,
Klną, że w piersi mi wrosło pieśnio-twórcze rzemiosło,
Lub płaczą pokryjomu.
Dziewczę słuca lirnika, ale duszę zamyka,
Mnie się serce rozpada —
Ja pieśnią serca proszę, ona rzuca trzy grosze
I z innym płąsa rada.
Starzec westchnie i powie: »Za mych czasów grajkowie
»Toć to grali dla duszy!
»Dzisiaj idzie w zawody jakiś młodzik bezbrody;
»Trąbić mu w róg pastuszy!
I tak wszyscy zebrani, jeden chwali, ten gani —
Kłaniam, kłaniam uprzejmie!
Otóż wielka mi łaska, że ktoś w dłonie zakłaska,
Ale serce odejmie!
Liro! próżnaś przynęty, strzaskaćby cię na szczęty,
Z ciebie ciernie i krzyże!

Lecz tyś promień mej głowy, wszak ja lirnik wioskowy
Skonam grając na lirze!

IV.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna,
Ludzie łzami mnie poją!
Tyś dla mnie ulgą bożą, a gdy mnie w grób położą,
Ty będziesz chlubą moją.
Ej, rozgłośnie, rozgłośnie twoje echo urośnie,
Zolbrzymieją me słowa;
Pójdą z kraju do kraju, do samego Dunaju,
Do samego Kijowa.
Kiedyś w okno sąsiada cudzych ludzi gromada
Ciekawie zakolatała:
»Przyszliśmy patrzeć dziwa, gdzie wasz lirnik spoczywa,
»Lirnik głośny u świata«.
Wtedy z całego siola ciekawość lud wywoła,
I będą czynić wnioski,
Szeptać ściskając plecy: »Skąd ci ludzie dalecy
»Znają pieśni tej wioski?«
Wiosce chluba urasta; młodzian, dziewczę, niewiasta,
Przed ludźmi cudzej ziemi
Westchnieniem i gawędą słać lirnika będą,
Co śpiewał i żył z niemi.
I powiodą przybyszy do cmentarnej zaciszy,
Gdzie przy sośnie trzy krzyże;
I rzekną wznosząc głowy: »Tu nasz lirnik wioskowy
»Skonał grając na lirze«.

Nie trudno chyba domyśleć się, że ów »lirnik wioskowy« przedstawia samego poetę, Syrokomlę. Nieraz jeszcze później mówi on o sobie w ten sposób, dając przez to do poznania, że nie dla bogatych panów, ale jedynie dla ubogich prostaczków dobywa ze swej liry proste, rzewne piosenki. Jest jeszcze

drugi, podobny do tego wierszyk p. t. »Grajek wioskowy«, w którym Syrokomla przedstawia starego lirnika, przemawiającego w ten sposób do małego wnuczka:

... Niech raczej z pieśniami zaniemieć ci przyjdzie,
Niż o drzwi bogaczów tłuc pięści.
Gdy nędzarz w tej wiosce wyprawia biesiadę,
To serce grajkowi życzliwe i rade,
Gospodarz najwyżej go mieści;
I grajka obsiedą, słuchają z rozkoszą
I czarkę najpierwszą ku niemu przynoszą,
Tu pieśń jest w pożytku i cześci.
Na uczcie bogacza nie szukaj dusz bratnich,
Ty będziesz tam gościem ostatnim z ostatnich,
U progu ci chyba grać każą.
Czy rzewne piosenki, czy święte graj hymny,
Westchnienia nie wzbudzisz, bo duch u nich zimny,
Z szyderczą słuchają cię twarzą.

A więc tylko dla biednych, tylko dla nędzarzy warto jeszcze nucić piosenki, bo choć oni »niewiele grajkowi zapłacą«, ale przyjmą go całym sercem i święty jego zawód potrafią uszanować. Tak pisał Syrokomla w swych utworach, tak też, co większa i trudniejsza, postępował w życiu, bo nie znajdziemy u niego w poezji zasad, którychby sam w czyn nie wprowadzał lub wprowadzić nie chciał. W okolicy Żalucza było wiele możliwych domów, ale żaden z nich nie mógł się poszczycić, żeby znanego już wówczas »lirnika litewskiego« gościł w swych murach. Bogatych sąsiadów Kondratowicz nie znalazł i znać nie chciał, natomiast całym sercem oddał się ubogiej okolicznej ludności, składającej się przeważnie z tak

zwanej szlachty zaściankowej: z nimi przyjaźnił się najchętniej, z nimi było mu najlepiej. To też bardzo często wybierał się do pobliskich »zaścianków«, jakby wsi, zamieszkałych przez ubogą szlachtę, do Zacierzewia lub Paździerzyc, i tam był już szczęśliwy, swobodny, kiedy zgromadziwszy około siebie »braci w kapocie i braci w siermiędze«, mógł z nimi szczerze i serdecznie rozmawiać. Tam umiano go zrozumieć i ocenić, a co najważniejsze i co Syrokomlę najbardziej ujmowało, kochano go całym sercem. Sąsiedzi i znajomi, bliżsi i dalsi, nie zapominali też o nim i odwzajemniali te odwiedziny; kto tylko przejeżdżał przez tamtejszą okolicę, nigdy nie żałował nałożyć nawet kilka mil drogi, aby wstąpić do Zaluca i zobaczyć ukochanego lirnika. Wtedy, jak powiada nasze przysłowie, szczuple ściany ubogiego dworku same rozszerzały się na przyjęcie upragnionych gości, a choćby ich pojęcia były jak najprostsze, gospodarz tak umiał się do nich zniżyć, tak umiał przemawiać do każdego zrozumiale i jasno, a tak serdecznie, że mogłoby się zdawać, iż pomiędzy nimi niema żadnej różnicy ani co do stanu, ani co do wykształcenia. O chwilach takich odwiedzin i do takich właśnie gości wołał poeta:

Będziem wzajemnie radzi, tak mi właśnie!
Niechże kto teraz drzwi na klucz zatrzaśnie,
Aby snadź jaki panek czy półpanek
Nie przyszedł wyśmiać naszych pogadanek.

Ale oprócz »pogadanek«, raczył Syrokomla swych gości wszystkim, w co tylko »chata była

bogata«, a nawet ofiarowywał im często więcej, niż dać mógł i był powinien. Nieraz, kiedy się goście niespodziewanie zebrali, a w spiżarni zabrakło potrzebnych zapasów, kazał zbyt gościnny poeta wystarać się o nie w jakikolwiek sposób, byleby tylko goście nie odjechali głodni: więc brano naprędce, gdy zabrakło pieniędzy, zboża ze stodoly, naladowywano niem wóz, wieziono do poblizkiego miasteczka, a za otrzymane w ten sposób pieniądze kupowano kawy lub cukru na »uczte« dla sąsiadów. Nie potrzeba chyba wspominać, że taka gospodarka nie była bardzo dobrą i że skutki jej w smutny sposób dawały się uczuć pocie.

W czasie takich przyjęć opowiadał zwykle Syrokomla o swoich planach na przyszłość, o tem, co pisze lub pisać zamysła, a wreszcie odczytywał swoje utwory. Razu pewnego, kiedy zebrano się u niego wielu znajomych, on zaczął im czytać swój świeżo napisany i jeszcze nie poprawiony utwór, pod tytułem: »Urodzony Jan Dęboróg«. Pisał go był tak szybko, że nie chcąc tracić czasu na ułożenie porządnego zeszytu, chwytął jakikolwiek kawałek czystego papieru, wrywając go nawet z okładek lub ksiąg gospodarskich, i na te najrozmaitszego rodzaju kartki przelewał wezbrane w duszy uczucia i myśli; ale podczas czytania utwór wydawał mu się coraz bardziej słabym i lichym, aż wreszcie znudzony i niezadowolony poeta chwycił cały rękopis i rzucił go w ogień, mówiąc, że poemat ten na nic lepszego nie zasłużył. Wtedy jeden z obecnych przyskoczył do kominka, wyratował rękopis z płomieni i wraz

z towarzyszami tak długo nalegał na Syrokomlę, aż ten przyrzekł poprawić go i ogłosić drukiem.

Tak więc tym ubogim sąsiadom Kondratowicza zawdzięcza nasze piśmiennictwo zachowanie i ocalenie jednego z najpiękniejszych utworów »lirnika litewskiego« i wogóle jednej z najpiękniejszych gawęd polskich. Syrokomla bowiem dotrzymał słowa, zachował »Dęboroga«, poprawił go i wydał w kilka lat później (w r. 1853, zdarzenie zaś, o którym opowiadamy, zaszło w roku 1848), a zapewne musiał bardzo być wdzięcznym tym, którzy mu go nie pozwolili zniszczyć, bo »Dęboróg« tak podobał się publiczności, że po dwóch latach trzeba było zrobić drugie wydanie.

Chociaż ostateczne wykończenie i wydanie drukiem »Urodzonego Jana Dęboroga« przypada na czasy późniejsze, to jednak już tu należy o nim pomówić, bo już w Załuczu, jak wiemy, powstały główne jego zarysy. Później wykończył tylko Syrokomla i wygładził starannie swój utwór, ale cała osnowa treści, cała myśl przewodnia — bo i ją można w »Dęborogu« wysledzić — pozostała niezmienną. Przypatrzmy się zatem już teraz temu najlepszemu może utworowi »lirnika litewskiego«.

Przedewszystkiem trzeba wiedzieć, że treść »Dęboroga« nie jest tak jasną i przejrzystą, jak w innych gawędach Syrokomli, choć nie można powiedzieć, żeby wogóle była zbyt zagmatwaną. Czytelnicy nasi znają zapewne bardzo dobrze »Pana Tadeusza« Mickiewicza i przypominają sobie, że w tem precudownem dziele nie wszystko jest odrazu

zrozumiałem. Żeby np. zrozumieć postępowanie księdza Robaka, trzeba naprzód poznać jego dzieje, opisane dopiero w dziewiątej księdze, a sięgające czasów o dwadzieścia prawie lat wcześniejszych od tych, w których odbywa się historia »ostatniego zajazdu na Litwie«. W »Janie Dęborogu« jest także taki ustęp, umieszczony dopiero przy końcu opowiadania, a będący jakby kluczem do zrozumienia całego utworu: jestto historia sporu dwóch rodzin szlacheckich, Dęborogów i Brochwiczów, której początek sięga jeszcze czasów wojen szwedzkich, wyprzedzając wskutek tego o sto kilkadziesiąt lat zdarzenia opowiedziane we właściwej gawędzie. Od tego więc sporu musimy rozpocząć nasze opowiadanie.

W połowie XVII. wieku, a zatem mniej więcej około roku 1650, żył na Litwie rotmistrz Dęboróg, człowiek próżny i zawadyaka, ale że był dzielny, zgrabny i wesoly, więc też rej wodził w całej okolicy. Oto jak on sam określał na łożu śmiertelnem swoje wady i przymioty, jakimi się w młodości odznaczał:

- »Nie było psiarni nad moją psiarnię,
- »Nie było konia jak mój cisawy;
- »Nie było miodu jako mój lipiec;
- »Nikt w koło nie miał takiego wasa,
- »A przy odgłosie rzęsistych skrzypiec
- »Nikt tak polotnie w tanku nie płaśa.
- »A biada temu, kto mi zawczasu
- »Nie umknął z drogi — młodzi, czy starzy,
- »A trzykroć biada kto mi do lasu,
- »Kto mi do pola wdrzeć się waży,
- »Kto mi wśród tanka parę odbija,
- »Albo mi mruknie słówko sromotnie:

- »Bo wnet, jak zimówić *Zdrowaś Marya*,
- »Wyzwę na rękę i uszy otnę«.

Tuż obok niego, w najbliższem sąsiedztwie, mieszkał pan Maciej Brochwicz, człowiek równie dzielny, jak Dęboróg, a o wiele od niego zacniejszy. Brochwicz nie bardzo dbał o swego sąsiada i nie myślał wcale ustępować mu z drogi, to też wadzili się ze sobą bardzo często, aż wreszcie wybuchła między nimi jawna nieprzyjaźń. Ale gdy Szwedzi najechali Polskę i gdy po cudownej obronie Częstochowy każdy, kto mógł broń dźwignąć, spieszył walczyć z wrogiem w obronie Ojczyzny, wtedy Dęboróg i Brochwicz podali sobie ręce i zapomniawszy klótni, pospieszyli w szeregi wojsk ojczystych. Pod koniec wojny Dęboróg wrócił pierwszy do domu i zaraz zaczął myśleć o tem, jaki figiel możnaby też wypłatać nieobecnemu sąsiadowi. I wtedy przyszła mu myśl brzydka, niegodna uczciwego człowieka: postanowił zabrać Brochwiczowi kawał gruntu.

- »Pod ciemną nockę zbieram gromadę,
- »W kije i w rydle uzbrajam chłopcy,
- »I w dziesięć koni na pole jadę,
- »Tam, gdzie graniczne stały okopy.
- »Nuż burzyć kopce, przenosić wiechy
- »Na grunt sąsiada z pracą, z mozołem;
- »Boże mój, Boże! odpuść mi grzechy,
- »Za morg zabrany — dziesięć odjąłem;
- »I nowe kopce (piekielna rada!)
- »Tuż się przymknęły pod dwór sąsiada.
- »Nazajutrz tedy o rannym świcie
- »W sto moich pługów ruszyłem żywo,
- »Orze się skiba na cudzem życie,
- »Krusząc z korzeńmi dojrzałe żniwo.

- »Kopiec graniczny gdzieindziej stoi,
- »Miedzę i zboże zorali chłopi,
- »Już ani znaku dawniejszej Troi¹⁾,
- »Starej granicy nikt nie wytropi«.

Ale występek chodzi zawsze w parze, bo jedna zbrodnia pociąga za sobą drugą; to też Dębóróg nie poprzestał na tem, lecz w obawie, że sąsiad odda sprawę do sądu, postanowił to uniemożliwić, pozbawiwszy Brochwicza dowodów, że grunt zabrany rzeczywiście do niego należał. Wszystkie papiery sąsiada znajdowały się w starym, dębowym budynku, zwanym »lamusem«, stojącym w środku zagrody — z namowy Dęboroga zakradł się tam stary żebrak i wszystkie tak drogie dla każdego papiery rodowe stały się pastwą płomieni. Potem trudno już było udowodnić prawa swe do zabranego gruntu, więc sprawa nie trwała długo:

- »Powraca sąsiad — załamal ręce,
- »I mnie obwinia sprawcą pożogi;
- »Ale ja pewien, że się wykreję,
- »Hardo stawilem beczelne rogi.
- »Kopce zniesione, ślad jeszcze świeży,
- »Lecz jakże dowieść nocnej kradzieży?
- »Jednak zapozwał przed trybunałem,
- »Żem sprawcą gwałtu i konflagraty²⁾;
- »Ale ja w sądzie sprawę wygrałem —
- »On bez dowodów, a ja bogaty;
- »Kopce granicą z obojej strony,
- »Więc cały zabór miue przysądzony.

¹⁾ Troja, starożytne miasto na wybrzeżu Azyi Mniejszej, zburzone w czasach bajecznych przez Greków.

²⁾ podpalenia.

- »Czulem zgryzoty w sercu i w głowie,
- »Alem sumienie skałą zawalił —
- »Powrócić krzywdę — toć każdy powie,
- »Żem zabrał grunta i lamus spalił!
- »A on bez chleba, z proga do proga
- »Pełzał po sędziach dziesięć lat prawie,
- »W końcu zdał pomstę na Pana Boga,
- »I tak mi uszło moje bezprawie«.

Bezprawie uszło, ale sumienie nie dawało Dębrogowi ani chwili spokoju; przez całe życie dręczyła go myśl, że jest sprawcą nieszczęścia sąsiada, że siebie okrył hańbą i naraził na pomstę Bożą. Ze wstydu nie śmiał naprawić wyrządzonej krzywdy, i dopiero na łożu śmiertelnem przykazał swemu synowi, aby oddał Brochwiczowi zabrane nieprawnie grunta, a jego ciało pochował na właściwej, prawdziwej granicy, pod gruszą. Ale syn, skąpy niesłychanie, nie spełnił woli umierającego ojca: gruntu nie oddał, trupa zaś pochował przy kopcach granicznych, oddzielających własność Brochwiczów od owych skradzionych dziesięciu morgów. Odtąd sprawa cała poszła powoli w zapomnienie, i tylko nieubłagana nienawiść dwóch żyjących obok siebie rodzin była świadectwem dawnego bezprawia.

W półtora blisko wieku po opisanych wypadkach zaczyna się opowiadanie młodego Dęboroga. Już dzieckiem będąc zwracał uwagę na to, że ojciec jego nigdy nie zachodził do domu sąsiadów, że nawet o nich wspominać nie pozwolił, że kiedy sąsiad po długiej chorobie umarł, ojciec wzdychał, dawał na mszę świętą, ale wdowy nie poszedł odwiedzić. A kiedy młody Janek pytał ojca o przyczynę takiego

postępowania, ten ofuknął go tylko, a w końcu tyle mu powiedział:

- Młokos jesteś i kwita, wścibiasz nosa wszędzie,
- Jak ci z laty rozumu do głowy przybędzie,
- Jak na skórze zużyjesz różek całą puszcę,
- Wtenczas, proszę aspana, całą rzecz wyłuszcę.
- A tymczasem wiedz, błaznie, i zapisz to w głowie,
- Że nie ja, ani sąsiad, lecz nasi przodkowie,
- Może to prapradziady, mieli z sobą waśnię
- I wnukom przekazali gniew, co nie wygaśnie
- Póty z naszego serca — dopóki wystarczy
- Naszych imion szlacheckich i herbów na tarczy.
- Wiele wody upłynie, długie przejdą lata,
- Nim się w końcu Dęboróg z Brochwiczem pobrata;
- A o tamtych zatargach pamięć i nauka
- Z ojca pójdzie na syna, a z syna na wnuka.

Tyle więc tylko dowiedział się Janek o sąsiadach i nieprzyjaźni, jaka zachodziła między nimi a ojcem. Tymczasem upływały lata i stary Dęboróg musiał pomyśleć o daniu swemu jedynemu synowi należytego wykształcenia. Sprawa to jednak była trudna. Dęborogowie byli ubodzy, a wychowywanie syna w mieście bardzo kosztowne; była wprawdzie w wiosce szkoła przy parafii, ale dumny szlachcic nie chciał pozwolić na to, aby jego jedyne dziecko i jedyny potomek rodu Dęborogów uczył się razem z chłopskimi dziećmi. Pozostawał więc jedyny jeszcze sposób: poprosić mieszkającego o milę plebana, człowieka nader zacnego i rozumnego, aby zajął się wykształceniem Janka. I to nie przyszło bez trudności, bo stary Dęboróg nie lubił księdza, chociaż szanował go bardzo, i nigdy nie mógł zgodzić się z jego

poglądami; »ksiądz definitor« bowiem, jak powszechnie nazywano zacnego kapłana, głosił zawsze śmiało i odważnie, że wieśniak jest takim samym człowiekiem, jak szlachcic i że nikt nie ma powodu chlubić się swoim stanem, nadto zaś, znając tajemnicę sporu z Brochwiczami, żądał zawsze od Dęboroga, aby wynagrodził krzywdę, wyrządzoną sąsiadom przez przodków. Wreszcie, po długiej walce wewnętrznej, postanowił Dęboróg powierzyć syna opiece plebana i udał się do jego dworku.

Postać zacnego księdza odmalował Syrokomla tak pięknie, że trudno powstrzymać się od przytoczenia owego ustępu.

O miłą w wiosce był dom plebana:
Mała świetlica w ziemię schowana,
Krzyżyk się wznosił na facyacie
I człowiek boży mieszkał w tej chacie.
Ksiądz definitor, święty, wymowny,
Poważny wiekiem szlachcic herbowny,
Przybył z klasztoru w wioskowe progi,
I wziął w opiekę kościół ubogi,
Wziął półwłocz gruntu — i na tej ziemi
Pracował równo z owieczki swemi.
Czy raz bywało widzieć się zdarza,
Jak święty starzec w porannej porze,
Czytając hymny z kart brewiarza,
Bronuje zagon lub sieje zboże.
Dwa chromiejące kościelne dziady —
To była jego cała posługa.
Ksiądz definitor, ojciec gromady,
Jedzie do lasu, kółków nastruga,
Ogrodzi smentarz, przywlecze drzewa,
Nosi wiadrami wodę ze strugi,

A idąc pacieź laciński śpiewa.
Gdy chcesz mu oddać jakie posługi,
Nigdy nie przyjmie — uchyli głowę:
»Za dobre chęci zapłać ci, Chryste,
»Masz waszeć, bratku, prace domowe,
»Ja sam chcę orać pole ojczyste!
I tak modlitwę szepcąc pobożnie,
Sam sobie zorze, zasieje, późnie.

Na jego sznurach najlepiej rodzi,
Jego przekosów nie znosi woda;
Gdy on na łąkę z kosą wychodzi,
Pewno dni kilka będzie pogoda.
Z długich doświadczeń jego żywota
Jakby wyrocznie mieli kmiotkowie:
Drożyzna, pomór, pogoda, ślota,
Ksiądz definjtor zawsze przepowie.
I cóż dziwnego? wszak jego oko
Na firmamencie tkwiło zwyczajnie,
Myślami w niebo wsiąknął głęboko,
Podpatrzył, przecztał niebieskie tajnie;
Może mu nawet w samotnej celi
I święci Pańscy coś poszepnęli.
Kiedy śpiew starca zabrzmiał w kościele,
Jakoś cię zawsze skrucha ogarnie,
Rzekłbyś: aposto! — kiedy w niedzielę
Prostemi słowy uczył owczarnię,
Kiedy tłómaczył ze świętej księgi:
»Jak to pokorny Zbawiciel świata
»Skląda majestat bożej potęgi,
»I w ciele ludzkim z człkiem się brata!
»Bóg z nędzarzami żyje pospołu,
»Między grzeszniki siada do stołu,
»I daje siebie przybić do krzyża,
»I składa ciało w człowieczym grobie...
»Bóg się do ludzkiej postaci zniża,
»By nas uzacnić, podnieść ku sobie.

»A u nas szlachcie — jasne wielmoże,
»Rad, że mu herby dała ojczyzna,
»Bóg został czlekiem, a on nie może,
»Kmiotków za bliźnich swoich nie przyzna;
»Wstyd mu z wieśniaki bawić pospołu,
»Hańba z rolnikiem siadać do stołu«...
Tak to, bywało, głośno i śmieie
Ksiądz definitor gadał w kościele.
Słów jego świętych nigdy nie zaćmi
Żadna nienawiść lub dzikość sroga,
W oczach — do braci prośba za braćmi,
Albo za ludźmi prośba do Boga.
Ani przeklina ani się dąsa,
Lecz z płaczem przyszłość stawia przed oczy —
Szlachta coś mruczy, najeża wąsa,
Lecz do spowiedzi hurmem się tłoczy.
A spowiedź jego — wieczna nauka!
Nim rozgrzeszenia krzyżyk zakreśli,
Nim w trybunału kratkę zapuka,
Wynajdzie nitkę najskrytszych myśli,
I tak przekona i tak poruszy,
Tak wpoi miłość, wiarę i nadzieję,
Że choćby grzesznik miał skałę w duszy,
Łzami z pod serca trzykroć się zleje.
A po spowiedzi długo, ach długo!
Będzie spokojne sumienie twoje —
Będziesz skwapliwy z bratnią usługą,
Krzywdę bliźniemu wrócisz we troje;
Wesołe serce... och, popamięta,
Że w niem złożona Hostya święta!

Kiedy wieczorna szarzeje pora,
On pieszo zwiedzał pobliskie domy,
Zdała poznałeś definitora
Po kapeluszu z zielonej słomy;
Za cieniem wzniosłej, świętej postawy,
Szło zawsze wierne, pieszczone psisko,

Jak owca biały i kędzierzawy,
Pamiętam, *Servus* jego nazwisko;
A ksiądz czeczotką kroki podpiera,
Idzie powoli i kwiatki zbiera.
On i w pałacu i w prostej chacie
Pomagał, radził, krzepił na duchu,
Z panem i z chłopem za panie-bracie,
Jakby ogniwo w bratnim łańcuchu.

Takiemu to kapłanowi oddał stary Dęboróg syna swego na wychowanie. Nauka polegała nie na ślęczeniu nad książkami, ale na rozmowie, w której zacny pleban tłumaczył wychowankowi każdy objaw życia, jaki go zaciekawiał, i opowiadał o sławnych ludziach wszystkich czasów. Nie zaniedbywano też łaciny, w której Janek doprowadził wkrótce do znacznej biegłości. Ale Dęboróg nie był zadowolony z tego sposobu wychowywania; przyznawał wprawdzie, że syn jego wielkie czynił postępy w rozwoju umysłowym, ale drażniło go niezmiernie, że pleban ucząc Janka, wprowadzał równocześnie w czyn swoje zapatrywania na równość wszystkich ludzi i kazał wychowankowi swemu przebywać razem z wieśniakami przy żniwach na polu lub pasać konie na pastwisku. Aby syna uwolnić od takiego »poniżania się«, postanowił za ostatnie, z trudem zebrane pieniądze, wysłać go do szkoły klasztornej w poblizkiem miasteczku. Nie pomogły łzy i prośby: ojciec był nieugięty, i Janek musiał opuścić ukochanego wychowawcę i ruszyć do szkoły, z której po sześciu latach, ukończywszy ją chlubnie, powracał jako dorosły już »pan Jan«. Otrzymawszy od uradowanego ojca strzelbę i charty w podarunku, zaczął młody Dęboróg oddawać się po-

lowaniu z niezwykłą namiętnością, a błądząc po okolicy, przechodził często obok ubogiego lecz schludnego domku, w którym mieszkała wdowa po Brochwiczu z młodą, jedyną swą córką. Zwyczajną rzeczą koleją młodzi poznali się, a Jan przekonał się wkrótce, że piękna Zosia nie jest mu obojętna. Posłuchajmy, jak sam opowiada o swoich uczuciach, zamąconych myślą, że ojciec nigdy się na podobny związek nie zgodzi.

Codzień w pole — ej, nie w pole,
Lecz do dworku pod topole:
Już znajomość — cóż za dziwy?
Blizki sąsiad i myśliwy,
Że zajedzie niedaleko
Na poziomki i na mleko,
Że zwierzyne mamie nosi
I zagląda w oczka Zosi?
Ej poziomki, ej to mleko!
Ej ten dworek niedaleko!
Ej te oczka! — mówiąc krótko
Poglądały tak słodziutko,
Tak miluchno — zwolna... zwolna...
Już w nas chęćka zobopólna
Spojrzyć razem, westchnąć razem,
Poszczebiotać półwyrazem,
Przyjacielsko ścisnąć dłonie,
Razem wybiedz na ustronie,
Pisać kartki potajemnie
I o sobie śnić wzajemnie.

Cicho, zwolna, niewidomie
Gore dusza, gdy spodoba;
Z małej iskry bucha płomień
I zażęga serca oba.
Mgnienie oka, śmiech, swawole,
Zadumanie, gniew i zgoda,

Zda się fraszki — daj im wolę,
A zgubiona dusza młoda!
Taka biedna, tak szczęśliwa
Gdy w tych fraszkach się rozplywa!
Już dla świata żyć nie może —
Jedną myślą się otoczy,
By wciąż patrzeć w lube oczy,
By żyć w lubym rozhoworze,
Wieki wieków — czas przeleci
Stokroć chyżej od motyla:
Bo szczęśliwi to jak dzieci,
Dni ich lecą jako chwila.
Precz godziny! gdy słodyczą
Młoda dusza się rozmarzy;
Jedna bieda — że ci starzy
Na zegarach czas swój liczą.
Ani śni się ojcu matce
Co ci miło? co cię bodzie?
Dusza rwie się jak ptak w klatce,
A tu gadaj o pogodzie.
Dobra matka karty kładnie
Na los dziecka, lecz nie zgadnie
Co tam dziecka myśl kołycha,
Czego dziewczę ciągle wzdycha,
Czego młodzian smutny bladnie?
Na niepokój snu twojego
Dają leki, warzą ziela,
A broń Boże gdy spostrzegą,
Gdzie najczęściej oko strzela;
Wnet witają chmurną twarzą,
Dają rady i przestrogi
I zachmurzą dzień twój blogi
I uczuciom zmilknąć każą,
Zimnem okiem wrzące łono
Chcą przemierzyć aż do głębi,
Przyzwoitym chłodem wioną,
Aż ci serce się wyziębi.

Matka Zosi — święta dusza!
Polubiła mię jak syna,
Jednak czasem głową rusza:
Częsta moja tam gościna
Snać się matce nie podoba.
Gdzie tam częsta? — trudno w drogę!
Czasem przejdzie cała doba
A ja wymknąć się nie mogę.

.

Dzisiaj szczęśno!

Lecz niestety!

Jaka przyszłość, serce boli:
Upór starca lub kobiety
Na nasz związek nie pozwoli;
Bo mój ojciec nigdy zgoła
O Brochwiczach ani gada,
Matka Zosi nie wesola,
Bo żal czuje do sąsiada.
Jakieś klótnie tajemnicze
Dzierżą starych pod swą władzą:
Dęborogi i Brochwicze
Ręki sobie nie podadzą.
A cóż dla mnie? — śmierć z rozpaczny!
Precz te mary zapaleńcze!
Choć przecierpię, choć się zdreczę,
Lecz zapomnę... nieinaczej.

.

Ale zamiary takie pelzły zawsze na niczem, bo pan Jan mimowolnie zachodził zawsze do domku Brochwiczów, a patrząc w oczy Zosi, zapominał o swych postanowieniach.

Tymczasem pewnego dnia Zosia sama oświadczyła mu, że muszą przerwać te częste odwiedziny, bo matka jej, choć im się nie dziwi i szczerze pragnie ich szczęścia, ale nie może pozwolić, aby niedo-

świadczone dzieci ludziły się dłużej nadzieją, która się nigdy nie urzeczywistni. Ojciec Jana nigdy nie zezwoliłby na to, aby jedyny potomek jego rodu ożenił się z córką odwiecznych wrogów, Brochwiczów, a bez wiedzy ojca Jan w domu ich bywać nie powinien. Zosia nie rozpaczała jednak, bo była pewną, że stary Dęboróg, kochający tak szczerze swego jedynaka, poświęci swą dumę dla jego szczęścia i przyjdzie do ich domku poprosić dla Jana o rękę Zosi.

Przygnębiony tym strasznym dla niego wyrokiem, wracał młody Dęboróg chwiejnym krokiem do domu. Noc już była ciemna i tylko księżyc oświecał słabo drogę; wtem, kiedy Jan przechodził koło grobu rotmistrza, ukazała mu się jakaś straszna postać w bieli. Posłuchajmy znowu jego opowiadania, bo to wypadek, który rozstrzygnął losy dwóch rodzin:

Ide jak martwy — wbiegam na pole,
Pod rotmistrzowy kurhan przychodzę.
Wśród czarnej nocy brnę nieprzytomny —
Wtem coś jęknęło — dreszcz przebiegł po mnie:
Spojrzę... dziad jakiś... biały, wysoki,
Stoi odemnie tuż o dwa kroki.
— »Kto tu i po co?« krzyknę na dziada,
A w trwożnych piersiach zamiera słowo.
Starzec jak martwy, nie odpowiada,
Lecz tylko głośniej jęknął grobowo.
Wzrostem jak olbrzym — jak leśna jodła,
Ubrany w białej grubej oponczy;
Snadź, że mu czoło kula przebodła,
Po białych włosach krew mu się sączy;
Na piersiach stalna błyszczy się łuska,
Szeroką ręką po wąsach muska,



Snadź, że mu czoło kula przebodła,
Po białych włosach krew mu się sączy. (Str. 70).

A taki straszny wyraz oblicza,
Że gdy go przyśnię i dziś mi trwożno —
Wskazał prawicą na dwór Brochwicza,
Potem na naszą miedzę przydrożną,
Otworzył usta, wlepił wzrok we mnie,
I trzy wyrazy jęknął podziemnie:
Redde, quod debes!!¹⁾

— »Kto tu?!« krzyknąłem,
Choć pierś zamarła ledwie kolata,
Czuję pot zimny leje się czołem —
Wtem zniknął upiór z innego świata,
Lecz wyobraźnia strachem nabita
Jeszcze go widzi na ciemnej bloni!
Ucieka polem, ot zda się goni
I trupa ręką za szyję chwyta.
Wbiegłem do domu — wszyscy już spali,
Więc bez pamięci na łożę padłem...

Tydzień blisko leżał tak trawiony gorączką, nie wiedząc nawet o bożym świecie. Gdy przyszedł do przytomności i opowiedział ojcu swą przygodę, stary Dęboróg zbladł jak płótno i popadł w głęboką zadumę. Bo i jemu nie było obcem to straszne widmo zmarłego już tak dawno rotmistrza, i jemu ukazywało się ono kilkakrotnie, a zawsze wróżyło jakieś nieszczęście. W każdej ważniejszej chwili życia przesuwiała się przed jego oczyma skrwawiona postać przodka, wołająca grobowym głosem: »Oddaj, coś winien!« Z początku śmiał się Dęboróg z tego, myśląc, że to jakieś figle ludzkie, ale z czasem przekonał się, że jest w tem palec Boży i że nieusłuchanie rozkazu okropnego widma sprowadza na dom jego nieszczę-

¹⁾ Oddaj, coś winien.

ścia, jakby karę za jakieś grzechy. Bo żona umarła mu w kwiecie wieku, a wkrótce potem gospodarstwo zaczęło coraz bardziej upadać, tak, że z majątnego stał się ubogim i ledwie miał tyle, ile potrzeba było na najniezbędniejsze środki do życia. I oto teraz zaczyna znowu upiór rotmistrza ukazywać się jego ukochanemu synowi, jedynej latorośli rodu Dęborogów, i nad nim zaczyna rozciągać swą straszłą, nieszczęsną opiekę! Jak temu zaradzić? myślał z rozpaczą, a nie znajdując sposobu na to w swej skołataniej głowie, udał się po radę do mądrego księdza plebana.

Zacny pleban, który z całym poświęceniem czuwał przy łożu swego dawnego wychowanka, nie namyślał się długo nad sposobem uspokojenia stroskanego ojca. Użył do tego podstęp. Znając dokładnie dzieje sporów obu rodzin, zrozumiał, o co chodzi, tembardziej, że młody Dęboróg zdradził się w gorączce ze swoją miłością ku pięknej Brochwiczówniej. Pleban opowiedział zatem staremu Dęborogowi swój sen, jaki rzekomo miał przed kilku dniami, a w którym widział, jak umierający rotmistrz spowiadał się synowi ze swych występków i jak mu kazał krzywdę, wyrządzoną sąsiadom, naprawić. Ponieważ ani syn, ani dalsi potomkowie nie spełnili jego żądania, więc — tłumaczył pleban — duch zmarłego rotmistrza nie ma spokoju i domaga się, aby przez oddanie zabranej nieprawnie ziemi uwolniono go od kary, jaką musi ponosić. Krzywdę tę naprawić teraz łatwo, bo nie potrzeba nawet przyznawać się do niej: wystarczy, aby Jan ożenił się z Zosią, którą tak bardzo kocha,

a oba majątki połączą się zgodnie w jedną całość, Dęborogowie nie tylko pogodzą się wreszcie z Brochwiczami, ale będą stanowili jedną rodzinę, a w rodzinie rachunki i wynagrodzenia są już niepotrzebne.

Po długim oporze ze strony starego Dęboroga stało się wreszcie tak, jak radził pleban. Małżeństwo Jana i Zosi pogodziło poważnione rodziny, na grobie zaś rotmistrza zbudowano kaplicę — i odtąd widmo nikomu się nie ukazywało.

Na początku »Dęboroga« umieścił nasz poeta wstęp, czyli, jak on go nazywa, »przedspiewek«, w którym opisał swój kraj ojczysty, Litwę. Ustęp to tak ładny, że trudno oprzeć się pokusie przytoczenia z niego choćby niewielkiej części.

Cicho Niemen przebiega rodzinne siedziby,
Nie straszny dla żeglarza i spokojny niby,
Pozwala siebie łodziom deptać całe lato,
Zimą da się w ciemnicę zakuć lodowatą;
Nie stawi groźno czoła — nie rwie się, nie ryczy,
Taki zda się pokorny, taki niewolniczy!
O! nie wierz tej pokorze — i patrz, kiedy łaska,
Gdy się na wiosnę wzburzy i lód poroztrzaska —
Biada: ocknął się olbrzym — wie, kto go znieważa:
Gruchoce dom rybaka i statek żeglarza;
Fala zalewa błonie, echem grzmi po borze,
A gdyby jeszcze chwila — świat zniszczyłby może.
Lecz gniew jego przekipiał, już krzywd zapomina...
Ot, tak samo jak Niemen i serce Litwina;
Tu, gdzie niebo posępne, gdzie chłodnawe klima,
Zda się żadna namiętność wrząca nie wytrzyma,
Zda się ludzie drzemali, a całe ich życie
Upływało powoli i nierozmaicie;

Tak Litwin niepoczesny, tak zwiesił coś głowę...
Ho! ho! zapytaj dziejów, zbierz wieści domowe,
I co mędrzec zapisał, i co prządka gwarzy,
A poznasz, jak na zimnej i spokojnej twarzy
Odkryć gorącej myśli tajemnicze piętno.
O! i poważna Litwa umie być namiętą:
Tutaj chrobrym zapalem pierś męża oddycha —
Tutaj miłość dziewicza gorąca, choć cicha,
Tutaj znać burze życia na obliczu starem...
Kolejno z pługiem, z krzyżem, z mieczem lub z puharem,
To rąbiąc się wzajemnie, jak rozkazują starszy,
To wiodąc w gronie dziatwy żywot patryarszy,
To w modlitwie — to doma, to między cudzymi,
Ruchawę pędził chwile mieszkaniec tej ziemi.
A ile doznał przygód! — i sam nie spamięta;
Czasem bywa ich powieść serdeczna i święta,
Czasem wypadek krwawy lub teńący swawolą...
Niekiedy taki śmieszny, że aż boki bola.
A pamiątkę tych przygód — co krok to znachodzę!
Každy kopiec na gruncie, każdy krzyż przy drodze
Stos łomów na gościńcu, kaplica, gospoda,
Wszystko tu jest pamiątką — i wszystko ci poda
Jakąś ciekawą powieść o życiu Litwina.
A ileż się tych podań codzien zapomina;
Albo widząc nie widzi, a słysząc nie słucha,
Kto rodzimem powietrzem nie napoił ducha?!

Zatrzymaliśmy się tak długo przy »Dęborogu«
dlatego, że jest to dzieło uważane za najlepsze ze
wszystkich, jakie wyszły z pod pióra naszego poety.
I rzeczywiście, »Dęboróg« ma niemało zalet; jest
jasnym i przejrzystym w treści, a mimo to dosyć
sztucznie zbudowanym, postacie są wykończone, a tak
prawdziwe, że po przeczytaniu książki wydają nam
się już znanymi, już gdzieś widzianymi. Ale pomimo
to nie śmiałybym powiedzieć, że »Dęboróg« stoi wyżej

jako poezya, niż np. »Kęs chleba«. Syrokomla jest wtedy najmilszym i wznosi się najwyżej, kiedy mówi prosto z serca, nie obmyślając wiele treści i nie siląc się na kreślenie niezwykłych scen lub obrazów, a »Dęboróg« bądź co bądź wypłynął raczej z jego głowy, niż z serca. Ale nie każdy lubi to samo, jednemu może się bardziej podobać to, drugiemu coś innego, a trudno spierać się o to. Dlatego możemy przyjąć, że »Urodzony Jan Dęboróg« jest najlepszą gawędą Syrokomli.

Na »Dęborogu« nie skończył się jednak szereg utworów, pisanych w Zaluczu. Oprócz kilku mniejszych gawęd, jak: »Żebrak-Fundator«, »O skarbcu zaklętym«, »Hetman polny«, »Wieś Lubraniec« i t. d. powstały wówczas jeszcze dwie większe: »Zaścianek Podkowa« i niedokończony, znany tylko z urywków »Kanonik Przemyski«.

»Zaścianek Podkowa« to opowieść o miejscowości pięknej i żyznej niegdys, a potem opustoszałej zupełnie, omijanej bojaźliwie przez ludzi i jakby przeklętej. Tylko zielsko i chwasty rosną na tych miejscach, na których niegdys zieleniły się bujne lany zbóż. Jest to kara, jaką Bóg zesłał na pana tej włości za to, że poddanych swoich, ubogą szlachtę, zamieszkującą ten zaścianek, kazał niemilosiernie wypędzić, aby na zajętych przez nią gruntach zaprowadzić nowe, postępowe gospodarstwo. Warto posłuchać słów końcowych, wypowiedzianych przez podróźnego, któremu dziad kościelny, a niegdys mieszkawiec zaścianka, opowiada tę dziwną historję:

»Wy będziecie na świecie potrzebni na nowo
Nie na sejmik z pałaszem, lecz z piórem, lecz z głową.
Świat — to szerokie pole, pełno na nim chleba —
Tylko uczyć się trzeba i pracować trzeba,
Wydobywać hart duszy, co śpi w poniewierce,
A herbem szlachetności wypiętnować serce«.

Najwybitniejszym z tych utworów jest bez wątpienia »Kanonik Przemyski«, niestety, niedokończony. Główną postacią opowiadania jest tu sławny w dziejach naszego piśmiennictwa Stanisław Orzechowski, bardzo zdolny pisarz, żyjący współcześnie z Rejem i Kochanowskim (um. w r. 1566). Człowiek to był tak dziwny, a jego postęпки tak na pozór sprzeczne, że do dnia dzisiejszego pozostał prawie nierozwiązaną zagadką. Przeznaczony przez ojca do stanu duchownego, choć nie miał do tego powołania, został księdzem i szybko zyskiwał coraz wyższe godności — wtem ożenił się, nie zważając na swą duchowną sukienkę. Kiedy biskupi, oburzeni tym postępkim, wystąpili przeciw niemu i wytoczyli mu śledztwo, on nie uznał ich władzy, odwołał się do sejmu i żądał wyroku samego papieża. Zdawałoby się zatem, że występuje przeciw Kościołowi katolickiemu i przyłącza się do licznego wówczas grona różnowierców polskich — stało się przeciwnie. Orzechowski, podeptawszy w rzeczywistości przepisy Kościoła, występował w swych pismach jako najżarliwszy jego obrońca, a nawet dowodził, że władza kościelna jest wyższą, niż świecka i że król powinien jej podlegać.

Taką to zagadkową, pełną sprzeczności osobistość obrał Syrokomla za przedmiot powieści poety-

cznej. Powieść to miała być obszerna, bo same urywki, które po niej pozostały, dorównywu ją prawie swą objętością całemu »Dęborogowi«. Ale dlaczego nie dokończył jej poeta? Najprawdopodobniej przyczyna tego była następująca: W tym właśnie czasie, kiedy Syrokomla pracował nad wykończeniem »Kanonika Przemyskiego«, ogłosił jeden z jego znajomych, poeta, Edward Żeligowski, utwór pod tytułem »On, Ona i Oni«, w którym wysmiewał zakonników i występował otwarcie przeciw bezżenności księży. Na Syrokomli wywarło to przykre wrażenie, pod którego wpływem postanowił zaprzestać pracy nad ulubionym utworem; obawiał się bowiem, aby ogłoszenie opowiadania o Orzechowskim, zaraz po utworze Żeligowskiego, nie wydawało się pochwalaniem czynów tego dziwnego człowieka i występowaniem przeciw przepisom kościelnym. Już zaczynając swoje opowiadanie myślał o tem poeta, że może się narazić na jakieś zarzuty, i dlatego zastrzegal się wyraźnie we wstępie:

Pobożny czytelniku! jeśli ci się zdało,
Że kanonik przemyski targa się za śmiało
Na kościelną powagę...
Przepuść mu, bośmy ludzie ułomni, niestety!
I nie rzucaj kamieniami na głowę poety,
Co przytacza wyrazy, lecz ich sam nie chwali.

Lecz teraz takie usprawiedliwienie wydało mu się zbyt blahem — więc wolal zaprzestać pracy zupełnie. A szkoda, bo w »Kanoniku Przemyskim« są ustępy tak piękne, jak w mało którym utworze »lirnika litewskiego«.

Na takich pracach upływało naszemu poecie życie w Żaluczu. Z ubogiego swego dworku wypuszczał, jakby ptaki, utwory swoje w świat daleki, a one wszędzie jednały mu przyjaciół i wielbicieli. Cała Litwa czytywała z zapalem jego poezye, po czasopismach oceniano je bardzo życzliwie i zachęcano ich twórcę do dalszej pracy nad sobą, wróżąc mu wielką przyszłość. To też nie dziwnego, że Syrokomli, który zawsze kochał ludzi całym swym poczciwym sercem, zaczęło nie wystarczać szczupłe grono wiejskich przyjaciół, że rwał się pomiędzy szersze warstwy ludzi, w świat inny, gdzie mu się uśmiechało życie z tymi, którzy z daleka tak serdecznie wyciągali ku niemu przyjazne dłonie. Teraz wieś zaczęła mu się wydawać zbyt nudną, zbyt szczupłą, drobne przykrości zaczęły mu dokuczać bardziej, niż zwykle, bo zdawało mu się, że byleby tylko znalazł się w innych warunkach, w mieście, byleby poznał z bliska wszystkich życzliwych sobie ludzi, to oni będą go tak kochali, jak on ich kochał — a wtedy wszystkie troski znikną, bo na wszystkie znajdzie się jakieś lekarstwo, podane życzliwą dłonią ziomków. Niedoświadczony, naiwny poeta nie wiedział i nie przeczuwał, że jak wszystko na świecie, tak też i ludzie i ich życzliwość inaczej wygląda z daleka, że gdy się jej przypatrzemy dokładnie, straci swe ponętne barwy i okaże się w świetle zupełnie odmiennem.

Zaczęły się tedy marzenia o przesiedleniu się do miasta, podniecane jeszcze kłopotami codziennego życia. W Żaluczu zapanowała ciężka słabość żołądkowa, na którą zapadła najpierw matka poety, a potem

inni członkowie rodziny. Wydatki zwiększały się ciągle, dochody z roli były bardzo szczupłe, więc trzeba było pracować piórem nie dla przyjemności, nie idąc za wewnętrznym pociągami i natchnieniem, ale licząc się z tem, za co księgarze więcej placili. Zaczął więc pisać historię literatury polskiej, za którą dostał od księgarza wileńskiego, Zawadzkiego 150 rubli (około 400 kor.) i sakiewkę na pieniądze!... a sądził przytem, że zrobił w ten sposób »piękny interes«. Dla księgarza warszawskiego Wolffa pisał tłumaczenia poetów łacińsko-polskich i »Wędrowki po moich niegdyś okolicach«, w których prozą opisywał sławniejsze miejscowości Litwy — a podczas tego rwała mu się dusza do mnóstwa pomysłów poetyckich, które uważał za piękne i których wykonanie sprawiłoby mu prawdziwą przyjemność i powiększyło jego sławę. Ale brak pieniędzy nie pozwalał iść za popędem serca — więc trzeba było pracować rzemieślniczo — na zamówienie.

Wśród takich warunków życia przeniósł się nasz poeta w r. 1852 do Wilna, stolicy Litwy, w nadziei, że tu będzie mu lepiej i swobodniej. Zobaczymy wkrótce, jak te nadzieje go zawiodły i jaki wpływ wywarł pobyt w stolicy na dalsze losy Syrokomli.

IV.

Pierwszy pobyt w Wilnie i jego skutki.

Wilno ówczesne nie było już tem samem miastem, w którym niegdyś największy z naszych poetów, Mickiewicz, uczęszczał na uniwersytet. Wtedy było to siedlisko potężnego ruchu umysłowego, który ogarniał wszystkie warstwy ludności nietylko stolicy, nietylko kraju, ale całej Polski, która, chociaż rozdarta, choć rozdzielona słupami granicznymi na trzy części, stamtąd czerpała otuchę, nowe siły żywotne i miłość ku wszystkiemu, co wzniosłe, szlachetne i piękne. Za czasów Syrokomli stosunki te istniały już tylko we wspomnieniach. Wszechnica, która wydała tylu znakomitych ludzi, i która w gronie swych profesorów miała tylu uczonych, była już dawno przez rząd moskiewski zniesiona; wkrótce potem odebrano Litwinom resztki swobód, i srogi ucisk zapanował w całej pełni. Ale pomimo najsroższego ucisku może krzewić się przeciw duch narodowy, którego nikt i nic nie zdoła zgnieść i zgnębić wbrew woli narodu; można zakazać mówić po polsku, ale myśleć po polsku nikt nie może zabronić.

W Wilnie jednak duch narodowy utrzymywał się tylko słabo. Żywiły go w sobie tylko niektóre jednostki, ogół był już znużony ustawiczną, wyężdżającą walką i zniechęcony. Zamiast połączyć się i w zgodzie, wspólnymi siłami dążyć do wspólnego celu, dzielono się na mnóstwo stronnictw, nawzajem ze sobą walczących i osłabiających się przez to wtedy, kiedy powinny się były o ile możności wzmacniać.

Syrokomla, który już przedtem niejednokrotnie przebywał w Wilnie, znał trochę te stosunki, ale to go nie zrażało, owszem, zachęcało do przebywania w stolicy. Marzyciel, który zawsze, jak powiada Mickiewicz, «mierzył siłę na zamiary, nie zamiar wedle sił», wyobrażał sobie, że mieszkańcy stolicy jego kraju rodzinnego dlatego tylko żyją w niezgodzie, że niema pomiędzy nimi nikogo, ktoby ich pociągnął ku sobie, przedstawił złe skutki takiego postępowania i pogodził. Zdawało mu się, że aby to skutecznie, trzeba mieć tylko wiele miłości bliźniego, a że tej miał zawsze w swem sercu aż nadto, więc był pewny, że zamiar musi się udać. Więc z pogodnym czołem, z nadzieją w piersiach wchodził w ten tłum ludzi, pośród którego spotyka się naturalnie więcej obludy, fałszu i pozorów, niż w cichem wiejskiem ustroniu. Sądząc jednak wszystkich według siebie, nie przestawał wierzyć ludziom nawet wtedy, kiedy się kilkakrotnie już zawiódł bardzo boleśnie, a przez to narażał się na coraz cięższe zawody; był on podobny do ryby, która nosząc w sobie jeszcze dopiero

co połknięty haczyk, spieszy znowu bez obawy do zarzuconej na nią wędki.

Aby poznać, co nasz poeta myślał o nowych stosunkach, pośród których się znalazł i jakie pędził życie, zagłębmy do jego listów, pisanych wówczas do Kraszewskiego. «Ciekawy może jesteś — pisze do niego w marcu r. 1853 — mego tutaj pobytu i czy dobrze wyszedłem na zamianie miejsca. Nie mam się czem chlubić: z deszczu wpadłem pod rynnę. Tam (w Załuczu) wioskowe nudy, a w ostatnich czasach bolesne wspomnienia, wbijały mnie na krzyż, czułem tęsknotę do ludzi, bez ich towarzystwa książka ani przyroda nie smakowały mi; tu druga ostateczność: gwar, ciżba, trudność urzędzenia się z czasem; słowem, życie to dręczy mnie, rozprasza ducha. Tęsknię do książki, ale tak mało mam chwil do oddania się pracy i nauce, tak trudno znowu, aby zapal i natchnienie trafiły się jak raz w tę godzinę, która wedle rozkładu czasu do pracy przypada. Nie umiem żyć w mieście, uczyć się tej trudnej sztuki. Samolubne zamknięcie się w sobie nie jest w mojej naturze, a wyrobić je sztuką tem trudniej w Wilnie, pośród serdecznych (jeśli ich pamiętasz) Litwinów, którzy ci bratnią swą uprzejmością dadzą zapomnieć, skąd przybywasz i dokąd dążysz. Nad moje zasługi otacza mnie tu przyjaźń i współczucie; wszystkie znakomitości tutejsze, jak w literaturze: Odyniec, Malinowski, Tyszkiewicz; w malarstwie: Dmochowski, Moraczyński; w muzyce: Moniuszko, Kossowski, nie licząc dobrej młodzieży, która mnie otacza, łaskawie przyglnęli do mnie. Podolać tym stosunkom, nie dać

się uwikłać w kółko stronnictw, których tu co nie-miara, i co najglówniejsza, nie zwrócić wszystko widzącego oka, nie narazić się jak najniewinniej na pomówiska, to jest sztuka trudna, w której się ćwiczę. Gdyby nie noc, nie miałbym ani chwili czasu na pracę poetycką; prace więcej mechaniczne, poszukiwania historyczne i t. p. lepiej mi się wiodą, bo też tu większa obfitość źródeł historycznych.

«Czuwam wciąż nad sobą i kolejno staram się usuwać od gwaru, a małych mych wpływów i czasu, który tracę, staram się używać na wyniszczenie stronnictw, na zaszczerpienie zgody pomiędzy tymi, którzy stojąc na wznioślejszem stanowisku, powinni dawać dobry przykład innym».

Widzimy zatem, jak Syrokomla ludził się nadzieją, że potrafi przywrócić zgodę pomiędzy ziomkami, i jak usilnie o to się starał. Utwierdziło go w myślach o możliwości dokonania tego to także, że całe Wilno, bez względu na stronnictwa, przyjmowało go z otwartemi ramionami, że witano go uroczyście, wydawano na jego cześć uczty, wielbiono zasługi i t. d. Powody takiego serdecznego przyjęcia leżały oprócz rzeczywistego przywiązania Litwinów do swego lirnika, w tem, że każde stronnictwo starało się pozyskać tak sławną osobistość dla siebie, aby przez to powiększyć swe znaczenie — gdy zaś spostrzeżono, że takie zamiary się nie udadzą, że Syrokomla chce pozostać na stanowisku odrębnem i nie mieszać się do walki stronnictw, lecz owszem, chce ją łagodzić, zapal osłabl znacznie i zaczęto powoli

rozsiewać o szlachetnym lecz niedoświadczonym marzycielu złośliwe plotki.

Poeta nie zważał na nie początkowo, lecz starał się o ile możności wyzyskać swój pobyt w mieście dla pracy nad swem wykształceniem. Była ona naturalnie o wiele łatwiejszą w stolicy kraju, niż w odległym wiejskim zakątku; już sama obecność ludzi wykształconych, z którymi obcował, jak np. znanego poety i przyjaciela Mickiewicza Antoniego Edwarda Odyńca, najznakomitszego muzyka polskiego Stanisława Moniuszki i wybornego znawcy języków starożytnych Malinowskiego, była mu bardzo dogodną i pożyteczną, bo u nich mógł w wielu wypadkach zasięgać rady. Nadto było tu łatwo o książki, tak bardzo potrzebne zawsze Syrokomli — a to wszystko wzięte razem było korzyścią niemalą.

Najbardziej jednak pociągały go zebrania towarzyskie, za któremi tęsknił zawsze w Załuczu. Widzieliśmy już z jego listu, że one zajmowały mu wiele czasu i odrywały od pracy i że poeta obawiał się, aby «wszystko widzące oko» policji moskiewskiej nie chciało w tych niewinnych zebraniach dostrzedz jakiej zbrodni, bo podobne posądzenie jest dla Moskali już wystarczającym dowodem i może ściągnąć na najniewinniejszego nawet straszną karę. A obawy poety nie były bezpodstawne, bo nieraz zapewne mówiono na tych zebraniach o nieszczęściach Ojczyzny, o Jej dawnej świetności i o sposobach poprawienia Jej losu; Odyniec odczytywał zapewne lub mówił z pamięci — bo miał pamięć wyborną — utwory swego wielkiego przyjaciela, a największego naszego

poety, które były tak surowo zakazane, że za ich posiadanie mogło spotkać więzienie lub Sybir. Zbierano się na te pogadanki co tygodnia w domu Syrokomli, a chociaż ubogi poeta nie bardzo sute wydawał kolacje, cóż dziwnego, że przy takich rozmowach czas spływał «lepiej, uczciwiej i umysłowiej», niż w domach wielkich panów, którzy na podobne przyjęcia wydawali ogromne sumy.

Mimo to wszystko jednak Syrokomla tęsknił za dawnym życiem wiejskim, jak o tem może świadczyć napisany wówczas wiersz, pod tytułem «Pielgrzym»:

Oto z kijem pielgrzymskim, jako ślub mój każe,
Przewędrowałem miasta, wioski i cmentarze,
W macierzystych kościołach rozpatrzyłem z blizka,
Nadpowietrzne wieżyce, podziemne sklepiska.
I aby się przed ludźmi pochwalić zdobyczą,
Wziąłem nieco pamiątek w sakwę wędrowniczą.
Garstkę wody niemnowej i gruz starej wieży,
Z grobowca kość nadgniłą, z pola kwiatek świeży.

Wzdłuż i wszerek zwędrowawszy nadniemeńskie strony,
Pod gruszą pól domowych odetchnę znużony;
A nim k'dalszej pielgrzymce na siły się wzmogę,
Rzucę wzrok pożegnalny na przebytą drogę.
Tam nad sinem jeziorem stary zamek stoi,
Tam na pagórkach dworek, gdzie rodzice moi,
Tam chatka, gdzie mię szczęścia zawiodła rachuba,
Tutaj cmentarz na piasku, gdzie śpi dziatwa luba,
Tutaj boże świątynie, tutaj bratnie domy.
Śpiewa znajome ptactwo, huczy wiatr znajomy;
I wspominam splakany, rozmarzony cały,
Uczucia, co mi niegdyś piersi zalegały,
I myśli, które niegdyś paliły mi głowę...

O strony mego serca! o strony domowe!
Kiedy wicher mię życia daleko wyrzuca,

Niech na zapas powietrza zagarnę stąd w płuca,
Niechaj mi wzdyma piersi, niech je w głębi noszę,
Na westchnienia rzewniejsze, by użyć potrosze.
W zamian cóż wam zostawię, czem pamięć oznaczę?
Chyba błogosławieństwo pielgrzymie, żebracze
Ze wzgórza puszczę z wiatrem po waszym obszarze,
A Pan Bóg je przeżegna i spełnić się każe.
Nad wioskami, nad Niemnem, nad lasem, nad błonią,
W lepszy czas, pieśń głośniejszą ptaszkowie zadzwonią
I rosa Łaski Pańskiej niech użyźnić raczy
Wasze niwy piaszczyste i serca oraczy.
A na wiosnę na błoni, przy Niemna zatoce,
Gdy bocian zmartwychwstanie, piosnkę zaklekoce,
Duch pielgrzyma pospieszy, by cieszyć się z wami,
Polatać nad wioskami, ponad cmentarzami,
Gdzie pił wodę niemnową, gdzie miał chleba kawał,
Gdzie lży bolesne sączył, gdzie szczęścia doznawał,
Skąd odszedł rozpaczliwie załamawszy ręce
I zostawił pamiątkę w znikomej piosence.

Nietrudno chyba odróżnić w tym wierszu to, co zmyślane, od tego, co było rzeczywistym uczuciem samego poety. Ten «zamek nad sinem jeziorem», dworek rodzicielski, chatka, w której «rachuba szczęścia zawiodła pielgrzyma», to wszystko znane nam już dobrze z życia poety. To też możemy do niego samego odnieść także to, co o sobie mówi pielgrzym, że z rozmarzonemi i zapłakanemi oczyma wspominał dawne czasy i wznawiał uczucia, «co mu niegdyś piersi zalegały».

Przypuścić to można tem pewniej, że Syrokomli poczęło być wkrótce ciasno i duszno w obszernej stolicy Litwy. Gdy po niejakiem czasie zaczął spoglądać trzeźwiej na świat i obliczać, ilu też z otaczających

go ludzi jest mu rzeczywiście i szczerze oddanych, a ilu pochlebia mu tylko w oczy, aby później poza oczyma wyśmiewać i obmawiać, przekonał się ze smutkiem, że zastęp prawdziwych przyjaciół jest bardzo nieliczny. A więc prawdą jest to, w co nigdy nie chciał wierzyć, na co szlachetne jego serce zawsze się oburzało, że ludziom nie można wierzyć, a nie warto kochać, że pomiędzy nimi jest więcej złych, niż dobrych i że lepiej jest być samolubem, niż myśleć o szczęściu drugich — bo oto teraz nie chcieli zrozumieć jego najszlachetniejszych zamiarów, a zamiast podać mu przyjazną dłoń i użyzyć poparcia, uczynili z niego tylko cel swych żartów, śmiechów i plotek.

Biedny poeta tak bardzo wziął ten zawód do serca i tak się nim przejął, że postanowił opuścić Wilno, które mu już obrzydło. Wyszukał sobie na prędcie dzierżawę w pobliżu stolicy, zgodził się o warunki i już w połowie roku 1853, a zatem po kilkumiesięcznym zaledwie pobycie w mieście przebywał znowu w ciszy wiejskiej, zdala od miejskiego gwaru.

Nową siedzibą Syrokomli był niewielki folwark, zwany Borejkwoszczyzną, odległy o dwie mile od Wilna. Ale zdawało się, że jakiś gniew Boży zawisł nad poetą i nad jego domem, bo u wstępu zaraz do nowego gospodarstwa spotkał go smutny wypadek. Oto ciotka Syrokomli, dowiedziawszy się o nowem jego mieszkaniu, przyjechała do Borejkwoszczyzny w odwiedziny — ale natychmiast po przyjeździe zachorowała i wkrótce umarła. Pogrzeb na sam początek gospodarstwa, to wypadek bardzo niemiły, ale zbolali już ostatniemi przejściami poeta uważał go

za wróżbę na przyszłość, za oznakę gniewu Bożego i ostrzegał przyjaciół, aby nie zbliżali się do niego, jeżeli miłem im jest szczęście i życie, bo kto tylko do niego się zbliży, musi być nieszczęśliwym.

W liście do Kraszewskiego tłumaczy się, dlaczego opuścił Wilno i przeniósł się znowu na wieś. «Opuściłem miasto — powiada — gdzie, jakem się przechwalał, miałem grać rolę pojednawczą, gdzie chlubiłem się, że mnie nikt w żadne stronnnicze kółko wciągnąć nie potrafi. Skończyło się bardzo prozaicznie: upadłem pod komarowemi żądlami plotek, obmowy ludzi, co mnie zrozumieć nie chcieli, czy nie mogli. Wyjechałem o dwie mile od miasta, wziąłem dzierżawę, pomimo, że gospodarzyć nie umiem i nie lubię.

«Nie mogę i nie chcę zrywać z ludźmi, ale znajduję, że chcąc kochać ludzkość, potrzeba na nią patrzeć z pewnej oddali. Lękam się brać to za zasadę życia, ale uważam to zdanie za tymczasowe prawidło, dobre dla zbolalego, rozkapryszonego, drażliwego serca, jak moje».

Zniechęcenie poety musiało być rzeczywiście bardzo wielkie, kiedy sam powiada, że mu «ręce opadają i pierś usycha ze zbawczej wiary». A widać je nie tylko w słowach, ale i w czynach; kiedy księgarz Wolff zapraszał Syrokomlę do objęcia kierownictwa «Biblioteki Warszawskiej», znanego wydawnictwa miesięcznego, poeta odmówił mu bez namysłu, chociaż przyznawał, że obowiązki, połączone z tem stanowiskiem, nie są ciężkie, a warunki dobre. «Karyery nie potrzebuję — odpowiedział — a mam już do syta przenosić i marzeń o poprawie losu». Do przyjaciela

zaś pisał, iż cieszy się, że nie przyjął tego zaszczytnego obowiązku, bo jeżeli «obecny stan jego duszy potrwa dłużej», mógłby zawieść tych, którzy mu ufali, a jeżeli odżyje, to woli czas swój obrócić na inną pracę. W tym samym liście znajdujemy ustęp, który nam bardzo dokładnie maluje jego ówczesny stan. «Przyjaciele tu mi piszą, że przeżył siebie, a cóż mówić o niechętnych. Wiary dajcie mi, wiary w ludzkość, wiary w najświętsze uczucia, a czuję, czem jeszcze być mogę, a spełnię, co spełnić powinienem».

Takie chwile zwątpienia, jakie przechodził Syrokomla z początkiem pobytu w Borejkowszczyźnie, nie są niczem nadzwyczajnem w życiu poetów i bodaj czy nie każdy z nich miewał także podobne. Wszakże Mickiewicz nakreślił w trzeciej części «Dziadów» tę wspaniałą scenę, w której Konrad, doprowadzony nieszczęściami Ojczyzny do rozpacz i prawie do szału, nie chce wierzyć w istnienie Boga tak okrutnego, żeby zezwalał na podobny los niewinnego narodu i posuwa się aż do bluźnierstwa; chwile zwątpienia miał nawet Krasiński, najbardziej chrześcijański z naszych poetów, nie mówiąc już o Słowackim, Garczyńskim i o tym całym szeregu współczesnych nam ich następców, którzy często udają nawet zwątpienie lub wmawiają je w siebie, aby wywrzeć na czytelnikach większe wrażenie. Ale u tych mistrzów naszych jest zawsze jeden i ten sam powód ich zwątpienia i ich niewiary; jak Konrad w «Dziadach», tak i oni spoglądają z boleścią na nieszczęścia swej Ojczyzny, szukają w myślach ich powodu, a gdy go

znaleźć nie mogą, zaczynają wątpić w sprawiedliwość Bożą i dopiero później odzyskują wiarę wraz z niezłomną pewnością, że obecne nieszczęścia to tylko chwilowa próba, jaką Stwórca zesłał na nas i że z tej próby wyjdziemy lepsi, szlachetniejsi — i szczęśliwsi.

Zdawałoby się, że innym było źródło zmartwień i zwątpień Syrokomli. Wszak on żył w czasie, w którym pogodzone się już z myślą utraty niepodległości a na nieszczęścia Ojczyzny patrzył od pierwszych lat młodości, więc one go już tak silnie nie mogły poruszyć. Takby się zdawało, a jednak było inaczej. Przecież to nie osobiste sprawy, nie plotki wypędziły go z Wilna i zniechęciły do ludzi, ale myśl, że nasz naród tak bardzo upadł, iż niczem innym, oprócz plotek, zając się nie potrafi. Oto on opuścił swoje ciche ustroenie wiejskie i podążył do braci rodaków, myśląc, że w nich znajdzie taką samą miłość Ojczyzny, jaka go rzała w jego sercu, że w imię tej świętej miłości połączą się ich dłonie i będzie można rozpocząć pracę nad wyplenieniem wad, wydobyciem się z ciemnoty a zaszczepieniem w całym narodzie dążeń, które muszą doprowadzić do odrodzenia i wolności. A tymczasem te wszystkie jego marzenia znikły, jak znika śnieg pod wpływem promieni słonecznych i, jak po nim, pozostały tylko kałuże błota. Bo jakże inaczej miał nazwać tę niezwykłą obojętność na to wszystko, co dla człowieka jest najdroższem i najświętszem, ten brak łączności wtedy się nawet objawiający, kiedy wróg zaprzęgał ich w ciężkie jarzmo niewoli? Czyż widząc to można było nie zwątpić w możliwość podniesienia się z upadku i odzyskania utraconej wolno-

ści, a zwątpiwszy nie stracić chęci do wszelkiej pracy, której głównym celem było dla niego zawsze rozbudzanie miłości Ojczyzny? I jego więc rozpacz i jego zwątpienie miało to samo źródło, z którego wypłynęły «Dziady» Mickiewicza.

Tak więc wśród niezbyt szczęśliwych i sprzyjających pracy warunków rozpoczął się pobyt Syrokomli w Borejkowszczyźnie. Ale poeta nie przestał jednak pracować; jakie zaś były te ówczesne utwory, możemy zobaczyć na napisanym właśnie wówczas wierszu «Niepiśmienny», który tu cały przytaczamy.

I.

Ja nie zazdroszczę, chowaj mię Boże,
 Nic i nikomu na Bożym świecie;
 Jednego tylko zazdroszczę może,
 Że wy, panowie, pisać umiecie.
 Dajcie mi pióro i kartę białą,
 Nauczcie piórem wodzić w potrzebie!
 Tożby latało, tożby latało,
 Jak błyskawica po ciemnym niebie!
 Wszystko co boli, co cieszy szczerze,
 Co sam obaczę, co mi kto powie,
 Wszystkobym wiernie kładł na papierze,
 Dumkę po dumce, słowo po słowie.
 Spisałbym widok Bożego świata,
 Każdy tak piękny, każdy odmienny;
 A teraz wszystko marnie ulata,
 Bom nieuczony, bom niepiśmienny.

II.

Spisałbym najprzód piękne sny moje,
 Bo czasem cudnie przyśnić się zdarzy:

Kiedy zobaczę śliczną dziewoję,
Albo aniołów o jasnej twarzy.
Spisałbym potem ptasząt słoweczka,
Ranne skowronka «Zdrowaś Marya»;
Wydałbym pismem, co mówi rzeczka,
Gdy się w kamykach pianą rozbija?
Co mówi z wiatrem kłosisista niwa?
Co ryczą woły, jak beczą stada?
Jak dzwon kościelny ludzi przyzywa,
A potem mrucząc sam z sobą gada?
Jak kowal młotem bije w kowadło?
Jak młynarz grzmoce w rozszczep kamienny?
Wszystkoby wiernie spisać wypadło —
Pożal się Boże! jam niepiśmienny!

III.

Jakie rozkosze, jakie rozkosze!
Umieć wypisać słowo po słowie,
Co marzę w myślach, co w sercu noszę,
Karta zrozumie, piórko wypowie!
Ludzie gotowi wyśmiać biedaka,
Nie rozumieją, serce ci zranią;
A czasem dumka przychodzi taka,
Że i słów żadnych nie znaleźć na nią.
Jabym po prostu jak serce puka,
Takbym i pisał na białej karcie:
Pukania serca złowić nie sztuka,
Ludziom nie można mówić otwarcie.
Pióro wyskrzypi z pod serca mowę,
A papier milczy, jakby mur ścienny...
Dumki — gołąbki, bywajcie zdrowe!
Ja was nie schwycę — jam niepiśmienny!

IV.

Łatwiejże panom, łatwiej żydowi,
Szczęśliwi w sądach biegli pisarze:

On swoje dumki na papier złowi,
A potem z ludźmi co chce dokaże.
Ja — daj mi piórko, naucz niem władać,
Kiedy na kartę wszystko wyłożę,
Gdy moją nędzę poczną powiadać,
To twarde serca skruszyłbym może.
Spisałbym z tego bez żadnej zmiany
Książkę modlitew, taką jak kramną,
A tam i Chrystus ukrzyżowany
Możeby leżkę wyronił za mną.
Gąsko, ty gąsko! ja latem paszę,
Ja ciebie karmię w porze jesiennej!
Daj mi twe piórko! daj skrzydło wasze! —
Toż to polecę, człek niepiśmienny!

Jest to bezwątpienia wierszyk ładny — ale przecież uważny czytelnik zauważył zapewne, że brak tu czegoś, co było w poprzednich utworach Syrokomi, że tam drgała jakaś nuta, której tu dostrzedz nie można. I rzeczywiście, brak tu tego szczerego uczucia, tej serdeczności, tak zwykłej zawsze we wszystkim, co pisał «lirnik litewski». Aby to poznać i zrozumieć, wystarczy przypomnieć sobie «Pogrzeb rolnika» lub «Lirnika wioskowego». Wszak prawda, że tam można było odczuć w każdym wierszu, iż poeta nietylko patrzył na pogrzeb młodego wieśniaka i nietylko go opisywał, ale cierpiał razem z jego rodziną, a nawet cierpiał więcej niż rodzina, bo jego bolało nawet to, czego oni nie rozumieli, co dla nich było obojętnem? W «Lirniku» znowu widać wielkie zamiłowanie do wsi rodzinnej i szlachetną dumę, która przed nikim nie chce się uniżyć, bo czuje, że sama sobie wystarcza i nie potrzebuje niczyjej łaski. W «Nie-

piśmiennym» niema ani śladu podobnych uczuć: ani żalu, że ten człowiek pozbawiony jest tego, czego tak gorąco pragnie i co mu tak bardzo jest potrzebnem, ani serdeczności, któraby sprawiała, że te skargi biednego człowieka wzruszyłyby czytelnika i wywołały współczucie dla «niepiśmiennego» pastuszka.

Nie trzeba nawet tłumaczyć, co jest przyczyną tego braku zwykłych przymiotów utworów naszego poety. Syrokomla tak był zrażony do ludzi, że go ich cierpienia i braki nie wzruszały w tym stopniu, jak niegdyś, a udawać wzruszonego nie chciał i nie umiał. Zdawało mu się, że jeżeli ludzie sami tak obojętnie patrzą na swe nieszczęścia, to on nie ma obowiązku boleć nad nimi więcej, niż oni sami.

Dla lepszego jeszcze wyjaśnienia tego chwilowego stanu duchowego poety, przytaczam tu utwór jego, pochodzący z późniejszych czasów, a odnoszący się także do ludu wiejskiego. Tytuł jego: «Garść pszena», a jest on tak piękny, że warto mu się bliżej przypatrzeć.

I.

Stary Szczepan, wójt od wieka
Był jedynym wójtem w świecie,
A takiego jak on czleka
I ze świecą nie znajdziecie.
Głowa tęga, dusza prawa,
Tak za swoją stał gromadę,
Że najkrętsza przyjdzie sprawa,
On najlepszą dawał radę:
I co w świecie rzecz nieznaną
Lub należy do rzadkości,
Że lubiony był od pana

I lubiony w całej włości.
Tak wszystkiemu czyniąc zadość,
Był jak ojcem swojej wioski;
Ale starość, to nie radość,
Przyszedł w końcu wiek dziadowski;
Już o kiju suwa kroki,
Oko blaskiem już nie pała,
W plecach urósł garb szeroki,
Mądra broda pobielala.
Więc przed swymi tak się biedzi:
— «Czas odpocząć mi nareszcie!
«Rada w radę — i, sąsiedzi,
«Już innego wójta weźcie!
«Moja głowa trzech nie zliczy,
«Bo zwyczajnie stara, siwa».
A gromada jak zakrzyczy:
«Dolaż nasza nieszczęśliwa!
«Cóżto? waści, panie bracie,
«Przykro ojczyc w swej chudobie?
«Czy nam zguby pożądacie?
«Z taką mową idźcie sobie!
«A dopóki ręka boska
«Trzyma waści w równej mierze,
«Póty cała nasza wioska
«Wójta sobie nie wybierze».

W prośby, w groźby on i oni,
Rzeczy wzięły rzewną postać —
I dowiedli jak na dłoni,
Że on wójtem musi zostać.
Lecz starości gdy dogonim,
Życie ludzkie jak na włosku:
Więc im radził po ojcowsku,
By następcę wybrać po nim, —
Bo się potem swar obudzi,
Walka pocznie się złowroga,
I zgorwienie dobrych ludzi,

I obraza Pana Boga.

— «Na to zgoda!» — zawołali —

«Szczepan mówi święte słowa!

«Ale na co szukać dalej?

«Jest tu dziatwa Szczepanowa.

«Ma trzech synów — dzielne chłopcy,

«Każdy wart być na urzędzie,

«Im wioskowy lud nie obcy,

«Niech z nich jeden wójtem będzie.

«Ale który??» — Ot i spory,

Już się teraz poważnili.

Jeden mówi, że Hrehory,

Drugi mówi, że Wasili,

Insi znowu z włości grona

Piszą karby na Szymona.

Ojciec widzi, że mozoła,

Że do gwarnej przyjdzie zwady;

Siwe włosy zgarnął z czoła

I tak mówi do gromady:

— «Jest tu lepszych gospodarzy

«I w wyborze ciężka bieda, —

«Lecz jeżeli wam się marzy,

«Że się który syn mój przyda,

«Wasza łaska w tem widocznie.

«Lecz do wójta droga długa!

«Nim gromadzie służyć pocznie,

«Niech pokaże co za sługa.

«Ot widzicie! właśnie pora

«Poznać, jakie w którym czyny: —

«Pan na wiosnę szle Hrehora

«Do Królewca na wiciny;

«Wasil rusza w pańskiej sprawie

«Aż w Krakowskie, panie bracie!

«Szymon został przy mnie w chacie,

«W Ukrainę szlę Szymona,

«Niechaj soli nam przystawi,

«Bo w miasteczku nazbyt droga;
«Wiem, że każdy z nich się sprawi,
«W tem już łaska Pana Boga.
«Ale który z cudzej strony
«Więszą korzyść nam przyniesie,
«Będzie wójtem postawiony
«Będzie ojczyć w naszej strzesie.
«Za rok może o tej porze
«Bóg mi życia nie odbierze,
«Wszystkich trzech zbadamy szczerze,
«Nie omylim się w wyborze!»

I gromada w serce bierze
Pana wójta złote słowa.
Nie wiesz dziatwo Szymonowa,
Żeć gromadzkie oko strzeże!

II.

Jak raz za rok teje pory
Już z Królewca statki płyną
I najstarszy syn Hrehory
Już powrócił z swą wiciną.
I zebrała się gromada,
Dano miodu, dano piwa;
I Hrehory opowiada
Troje cudów, troje dziwa:
Jaki byt u Niemców miły,
Jaki przepych niesłychany,
A najbardziej mu się wbiły
Kapelusze i kaftany.
— «Co tu mówić o siermiędze!
«Krój dziwaczny, niesłychany,
«Zaraz po niej znacznie nędzę!
«Skrojmyż świty na kaftany;
«A słomiane kapelusze,
«Pańszczyźniany ubiór chłopa!
«Już u Niemców, przyznać muszę,

«Zaraz znaczna — Europa!»
Stary ojciec słucha skromnie,
Na kominku popiół grzebie,
I z westchnieniem rzekł do siebie:
— «Ten nie będzie wójtem po mnie!»

III.

Wraca Wasil zpod Krakowa:
Opowiada tonem zucha,
A gromada wszystkie słowa
Najuważniej zdala słucha.
— «Co to!» — mówi — «mowa jaka!
«Proszę pana, jakie pieśnię!
«Každy nuci krakowiaka,
«Gdy my piejem tak boleśnie.
«Gdzież tu piosnka brzmi swobodniej?
«Kaźde słowo, kaźda nuta
«Tak goryczy lżą zatruta,
«Że aż echo wzdycha od niej!
«Wiecie bracia, co poradzę?
«Rzućmy nasze piosnki stare,
«W Krakowiaka tańczmy miarę,
«A ja rej wam poprowadzę».

Stary ojciec słucha skromnie,
Na kominku popiół grzebie
I z westchnieniem rzekł do siebie:
— «Ten nie będzie wójtem po mnie!»

IV.

Wraca Szymon z Ukrainy
Opowiada dziwne dziwy!
Lecz ze swymi tak szczęśliwy!
Ukraińca nie znać z miny.
— «Dobrze» — mówi — «w tamtej stronie,
«Milę dojrzy choćby ślepy,



Wraca Szymon z Ukrainy
Opowiada dziwne dziwy (str. 99).

«Ciągłe stepy, ciągłe stepy,
«Niedojrzane okiem błonic!
«A jak spojrzę w kraj daleki,
«Aż zatęskni się wędrowiec
«Do swych sosen, do swej rzeki,
«Do swych wzgórków, gdzie jałowiec,
«Że chociażby w Ukrainie
«Nasypano góry złota,
«Popędziłaby tęsknota
«Do swej wioski — ku rodzinie.
«Jedna tylko rzecz nielada,
«Czego sobie stamtąd życzę,
«To pszenica! — z niebem gada!
«A kłosiska, gdyby bicze!
«Więc tamecznych plonów cuda
«Uzbierałem mieszek spory;
«Ej, spróbujmy! nuż się uda
«Ukraińskie mieć nam zbiory!
«A każdemu z was, sąsiedzi,
«Dam po garści na początku»...

Ojciec słuchał w swym zakątku,
Westchnął zamiast odpowiedzi:
W tem westchnieniu zamiast słowa
Wrzała chlubna myśl wójtowa,
Myśl ojcowska — znać ją z twarzy:
Syn mej wiosce korzyść zdarzy.

V.

I zawołał z uniesieniem:
— «Z głupich ust głupia nowina!
«Kto niemieckiem chce odzieniem
«Pokryć ciało Słowianina;
«Kto ku obcym skłonił duszę,
«O pilśnianej czapce marzy,
«Kto słomiane kapelusze
«Znalazł sobie nie do twarzy,

«W obce stroje niech się stroi,
«Niechaj zdrów zakrywa oczy, —
«Latem czoło skwar uznoi,
«A w jesieni deszcz przemoczy!
«Głupi! jeszcze więcej głupi,
«Kto rozumie, że szczęśliwy,
«Że swojskiego ducha skupi
«W jakiejś piosnce z cudzej niwy,
«Kto pogardza grunt ojcowski,
«Kto ku cudzym rzeczom skory!
«Nie przyniosą nic dla wioski
«Ni Wasili, ni Hrehory!
«Lecz kto w obcej będąc ziemi,
«Miał ku swoim chęć niemarną;
«Kto pszeniczne zebrał ziarno,
«By je krzewić między swemi;
«Kto o świecie mówi skromnie,
«Kto zatęsknił po swej stronie, —
«Ten zostanie wójtem po mnie:
«Będziesz wójtem ty, Szymonie!»

A gromada ze słów rada,
Daje okrzyk, bije w dłonie,
Plon z pszenicy przepowiada:
«Będziesz wójtem ty, Szymonie!»

Główna myśl «Garści pszennej» jest jasna zupełnie: ten tylko wart jest zaszczytu przewodzenia rodakom, ten wart zostać wójtem w rodzinnej wiosce, kto ją kocha serdecznie i myśli o tem, aby jej przysporzyć jak najwięcej prawdziwego pożytku. Po za tem jednak ileż w tej powieści, prostej i niewymuszonej, zrozumienia potrzeb włościanina, jakie zamilowanie do wszystkiego, co swojskie, a wstręt do obcych zwyczajów i strojów. Tu z pewnością odnajdzie czytelnik tę serdeczną nutę, której mu brakło w «Nie-

piśmiennym»; nie potrzeba też wielkiej bystrości, aby poznać, że te dwa utwory nie powstały w tym samym czasie i nie w tem samym usposobieniu.

Zniechęcenie do świata, w jakie Syrokomla popadł w Wilnie i w którym pozostawał w pierwszym roku swego pobytu w Borejkwoszczyźnie, odbiło się na wszystkich utworach, pisanych podówczas, tak samo jak na «Niepiśmiennym». Wszystkie one są jakieś wymuszone i nieszczerze, a wskutek tego wartość ich wszystkich jest bardzo mała. Poznamy to bliżej na dwóch najważniejszych ówczesnych gawędach: «O Zabłockim i mydle» i «Opowiedzi pana Korsaka».

«O Zabłockim i mydle» jest to gawęda, rozpoczynająca szereg utworów, do których myśli zaczerpnął poeta z przysłów ludowych; za nią poszły inne: «Pan Marek w Piekło» (por. przysłowie: «kręci się jak Marek w piekło»), «Filip z Konopi» («wyrwał się, jak Filip z Konopi»), «Matysek» («przyszła kreska na Matyska»), «Natura wilka wyciąga z lasu» (przysłowie powiada: «ciągnie do lasu») — i inne, o których Syrokomla myślał, ale ich nie wykończył.

Gawędę «O Zabłockim» uważał poeta za jeden z lepszych swych utworów: «lubię ją, więc musi być niezła» pisał do Kraszewskiego — my jednak nie możemy dzisiaj podzielać tego zdania. Sam pomysł jest rzeczywiście dowcipny: Szlachcic Zabłocki przyjeżdża do Warszawy i rozmyśla nad tem, jaki podarek zawieść swej żonie? Wreszcie postanawia kupić jej pachnące mydelko i wstępuje do sklepu jakiegoś Niemca; tu za funt mydła kazano mu zapłacić talara (przeszło trzy korony). Zabłockiego zastanowiło to, że

Niemcy tak świetne interesa robią na takim handlu i postanawia założyć fabrykę mydła. «Wszak to ogromny zysk — myślał — dlaczegóżbym ja nie miał pokusić się o to? Mydło warzy się z tłuszczu, a z jednego wołu zrobi się go tyle, że dostanę ze sto talarów». Jak pomyślał, tak uczynił, ale szczęście mu nie służyło. Fabryka spłonęła, na mydło nie było odbiorców, a pieniędzy tymczasem zabrakło, bo wszystko, co miał, włożył w przedsiębiorstwo. Sąsiedzi śmieli się z niego, więc postanowił z mydłem swem pojechać do Kijowa i tam je sprzedać. Tymczasem kiedy przeprawiał się przez zamarznięty Dniepr — była to bowiem zima — lód pękł, wóz z całym dobytkiem utonął, a Zabłocki ledwie życie ocalił. Stracił więc cały majątek i zeszedł na dziada, a nazwisko jego stało się przedmiotem urągowiska.

Taka jest treść gawędy, na końcu zaś umieścił Syrokomla wynikającą z niej naukę:

Otóż i zysk i sława,
Kto się z Niemcy zadawa,
Kto na Litwie lub Rusi
Ich się zyskiem spokusi.
Lecz cóż? i gadać szkoda!
Obcy zwyczaj i moda
W większym u nas honorze,
Niż przykazanie Boże.
Doma chwast i pokrzywa,
Choć grunt niezgorszy bywa,
A my ze swym lemieszem
Na cudzą niwę spieszym.
Tylko zmęczym się pracą,
A zarobek ladaco.

A więc według tej gawędy Polacy powinni tylko pilnować swej roli, pozostawiając przemysł Niemcom. Zasada taka była u nas, niestety, nie tylko uważana za słuszną, ale nawet ściśle wykonywana — i jej też musimy zawdzięczać w znacznej części nasze ubóstwo. Ileż to naszych ciężko zapracowanych pieniędzy szło zawsze i dziś jeszcze przechodzi do obcej kieszeni, zamiast pozostać w kraju, a to tylko dlatego, że przemysł uważaliśmy za coś hańbiącego. Zabłocki, gdyby historia ta była prawdziwa, byłby raczej godny pochwały, że ośmielił się zerwać z przesądem, politowania, że mu się w przedsiębiorstwo nie powodziło, ale nigdy szyderstwa, bo na nie nie zasłużył. Syrokomla patrzył na te sprawy widocznie nie bardzo trzeźwo, jeżeli mógł głosić tak fałszywe zasady. I znowu zestawmy tę gawędę z «Garścią pszenną», przypomnijmy sobie, jaka tam jasna, jaka piękna myśl jest wyrażona, a zrozumiemy, że «Zabłocki» mógł powstać tylko pod wpływem wielkiego przygnębienia.

Lepszą już jest gawęda pod tytułem «Spowiedź pana Korsaka». Treścią jej jest pokuta, jaką spełniał młody, bogaty Korsak za to, że w czasie polowania zastrzelił wieśniaka. Na rozkaz spowiednika zrzuca z siebie bogatą zbroję, przywdziewa chlopską sukmanę, idzie do chaty rodziców owego nieszczęsnego parobczaka, a przyjęty przez nich, spełnia najcięższe prace, wyręcza ich jak może, chcąc w ten sposób zastąpić im zamordowanego syna. Udało mu się to zupełnie: staruszkowie przywiązali się do niego, jak do własnego dziecka, a gdy z trudów zapadł ciężko na zdrowiu, oplakują go rzewnie. To też przejeżdżający

tamtędy przypadkowo kapłan daje mu rozgrzeszenie, a młody Korsak umiera spokojnie w przekonaniu, że ciężką pokutą zmazał swoje winy. W to opowiadanie wtrącone są jeszcze inne mniej ważne szczegóły, jak np. o miłości Maryi, córki leśnika Hrehorego, która chciała zatrzymać przy sobie młodego Korsaka, a gdy ten, pomimo, iż czuł dla niej gorącą miłość, opuścił ją potajemnie, aby spełnić przepisaną pokutę, biedna dziewczyna dostała pomieszania zmysłów.

«Spowiedź pana Korsaka» przypomina żywo jedną z pierwszych gawęd Syrokomli, mianowicie «Chodykę»; w jednej i w drugiej jest treścią odowiadania pokuta zbrodniarza, tylko że w «Chodyce» wieśniak zabija pana, w «Spowiedzi» zaś rzecz ma się odwrotnie. Ale gdybyśmy porównali już nie treść, ale sposób jej opracowania w obu gawędach, przekonalibyśmy się, że «Spowiedź Korsaka» nie tylko nie wykazuje postępu, ale owszem pewne cofnięcie się wstecz. «Chodyka» przy całej prostocie opowiadania jest tak zajmujący, tak rzewny, że czyta się go z zajęciem jednym tchem — «Korsak» ma już mnóstwo szczegółów, mnóstwo postaci, a wskutek tego większą różnorodność, a jednak nie wywiera ani w części tak silnego wrażenia, raczej nudzi, niż zajmuje. Powód jest ten sam, jaki widzieliśmy już w poprzednich utworach, pisanych w roku 1853: zniechęcony, przygnębiony poeta nie umiał wlać w swe dzieła tego serdecznego ciepła i współczucia dla ludzi, których opisywał, bo nie czuł go w sercu własnym, tak dotkliwie zranionem i zranionem do świata.

Szczęściem stan ten nie trwał zbyt długo. Kiedy

nastala jesień, poeta, zajęty pracami gospodarskimi, zaczął powoli zapominać o doznanych niedawno przykrościach, a gdy znowu powrócił do ulubionych książek, spokój zaczął wracać i nastąpiła dawna pogoda umysłu. «Cierpiałem niemało — pisze do Kraszewskiego w listopadzie 1853 r. — że mnie dobrzy ludzie pojąć nie chcieli, że moim dobrym chęciom i pocziwym dążeniom Bóg wie jakie naznaczali powody; cierpiałem za to, że się kochanemu Wilnu podobało było czcić mnie przyjęciami, o które nie prosiłem, a których ekliwość czułem od pierwszej chwili. Za rozgwar chwały okrzyknęli mnie obmową, za dym kadzidel napoili żółcią, a ja, co do pierwszych nie przywiązywałem wagi, nie umiałem znieść drugich... Teraz postanowiwszy przyjąć ludzi takimi, jakimi są, otoczywszy się kółkiem tylko prawdziwych przyjaciół i postanowiwszy nie czynić z siebie żadnych ustępstw, lecz być takim, jakim jestem, zresztą z piórem i książką — czuję, że mi lepiej».

Ale było mu tylko lepiej, a nie zupełnie dobrze; wracała niekiedy weselość, ale nie ta dawna, swobodna i swawolna, tylko jakaś gorzka, jakby zaprawiona piołunem. Widać to naprzykład w wierszyku, w którym opisuje swe ówczesne życie:

...Czuję, że łeb mój za niski,
By miał sprowadzać pociski,
I zresztą twardszy od skały,
By mnie pociski bolały.
A kiedy pomrok nad głową
I oczom wyplakać chce się,

To wspomnę na Czarnolesie
I czytam pieśnię Janową;¹⁾
A potem coś się gryzmoli
«Dobrym towarzyszom gwoli».
Gdy w *taszce*²⁾ nie masz mamony,
Na pniu sprzedaję me plony.
Myśl młodą, dziewiczą, świętą,
Co mi się do głowy garnie,
Niosę na targ do księgarnie,
To mi i grosze wyliczą.
Księgarska mądrość coś warta,
Oni wyliczą za chwilę:
«Funt mózgu albo lez kwarta
«Placi się tyle a tyle».
A kiedy mózg się wysuszy
I lza przed czasem wypłynie,
Toć wezmę należność z duszy
Na Józafata dolinie...

Ale i ta gorycz, widoczna w tym wierszyku, ustępowała powoli i poeta znowu stawał się dawnym marzycielem. Należał on do tych ludzi, którzy wmawiają w siebie, że ziemia jest niebem, ludzie aniołami i że złego niema na świecie — a gdy wreszcie życie przekona ich, że to była złuda, ogarnia ich żal i tęsknota, która ich dręczy i niszczy, jak długa posucha kwiaty. Nie znalazłszy ich w szerokim świecie, zaczął szukać blisko siebie i był już zadowolonym, gdy mógł sobie powiedzieć, że jego rodzina i przyjaciele są takimi właśnie ludźmi, jakich pragnął; oni mogli mu

¹⁾ Jan Kochanowski, sławny poeta polski (żył od roku 1530—1584), mieszkał długo w wiosce swej Czarnolesiu.

²⁾ torebce, sakiewce.

teraz zastąpić tych wszystkich innych, na których się zawiódł.

Z przyjaciółmi zatem przepędzał Syrokomla czas wolny od pracy i goił rany, jakie mu zadała obojętność i złośliwość ludzi. Tymczasem, kiedy z niezwykłą gościnnością przyjmował w swym dworcu znajomych z Warszawy, Pan Bóg dał mu syna. Poeta tak był tem uradowany, że już zupełnie pogodził się ze światem i sam przyznawał, że «jest to jeden powód więcej do odżycia jego zbolalym piersiom».

Był to wypadek, który położył kres jego przygnębieniu, a dając nową ochotę do życia, rozpoczął najświetniejsze chwile twórczości «lirnika litewskiego».

V.

W Borejkowszczyźnie.

W przeciągu niecałych czterech lat, jakie Syrokomla przeżył w Borejkowszczyźnie, powstały prawie wszystkie te dzieła, którym zawdzięcza swą sławę, a oprócz tego takie mnóstwo innych, zarówno obszernych, jak drobniejszych że aż podziw zbiera, jak w tak krótkim stosunkowo czasie można było tyle napisać. Widocznie wszystko sprzyjało twórczości, a poeta miał prawdziwe natchnienie.

Bo przejdźmy tylko tytuły najważniejszych utworów, wydanych pomiędzy rokiem 1854—1857. Należą tu «Margier», «Kęs chleba», «Filip z Konopi», «Żebrak z rzemiosła», «Matysek», «Terefera i Szerpentyna», «Córa Piastów», «Zgon Acerna», «Trędzłowe», «Wielki Czwartek», «Garść pszenna», «Cieśla», «Rycerz na czatach», «Stare Wrota», «Janko Cmentarnik», «Królewscy Lutniści», «Najmłodszy z Toporezyków», «Nocleg hetmański» i «Starosta Kopanicki». Jeżeli się zważy, że znaczna ilość tych gawęd odznacza się wielkimi rozmiarami i doda do tego ogromną ilość drobnych utworów uczuciowych, to będzieli mieli wyo-

brażenie o tem, jak gorliwie pracował Syrokomla w Bo-rejkowszczyźnie i jak mu ta praca szła szybko.

Mówiąc o tych utworach, musimy na pierwszym miejscu postawić «Margiera», już to dlatego, że on z pomiędzy nich powstał najprędzej, już to wreszcie z powodu jego odrębnych cech.

«Margier» zajmuje rzeczywiście wyjątkowe miejsce pomiędzy wszystkimi utworami «lirnika litewskiego». Zachęchony powodzeniem, jakie jego poezye miały pomiędzy publicznością, zepsuty trochę pochwałami czasopism, gdzie, nie poznawszy się na rodzaju zdolności Syrokomli, wmawiano w niego ogromny talent poetycki, postanowił nasz poeta zejść z drogi, którą dotychczas kroczył, porzucić ten szczery, swobodny gawędziarski sposób opowiadania, który się wszystkim tak bardzo podobał, a nastroić swą lirę na wyższe już dźwięki i wyśpiewać na niej już nie gawędę, ale wielkie, poważne dzieło w rodzaju «Pana Tadeusza» Mickiewicza.

Rozkochanemu w dziejach kraju rodzinnego poecie nie trudno było o treść do takiego utworu: wystarczyło przegłądnąć dawne podania lub zdarzenia historyczne, ażeby w nich znaleźć aż nadto wiele przydatnego materiału. Ułatwiła mu jeszcze tę pracę p. Paulina Wilkońska, powieściopisarka, która zwróciła jego uwagę na wypadek, który dawni dziejopisowie litewscy zapisali pod rokiem 1336. Oto opowiadają oni, że w tym roku napadli Krzyżacy, ci nieubłagani wrogowie Litwy, na zamek Pullen, którego na czele garstki dzielnego wojska bronił długo, z rozpaczliwem męstwem wódz litewski Margier. Kiedy

zaś znikła wszelka nadzieja ratunku, wtedy Litwini, nie chcąc dostać się żywcem w ręce znienawidzonych wrogów, pozabijali się sami na płonącym stosie.

Mając tak poetyczną, pociągającą treść do poematu, nie mógł się Syrokomla oprzeć pokusie i postanowił na tle tego wypadku odtworzyć obraz starodawnej Litwy, jej zwyczajów, obyczajów, wierzeń religijnych, rozpaczliwych walk z Krzyżakami — słowem, przedstawić starożytną Litwę w ten sposób, jak Mickiewicz w «Panu Tadeuszu» przedstawił nowoczesną, już będącą pod zaborem moskiewskim.

Do pracy zabrał się nasz poeta tak gorączkowo, że wykończył ją już po kilku miesiącach, a był z niej tak zadowolony, że nie wahał się nazwać jej w przedmowie «najlepszym z dzieci swego ducha». Ale, niestety, omylił się bardzo, i my dziś nie możemy zdania tego potwierdzić, owszem, trzeba przyznać, że pomimo wielu zalet, pomimo ładnych ustępów, nie dorównywa «Margier» np. «Janowi Dęborogowi» lub «Kęsowi chleba».

Przypatrzmy się jego treści.

W czasie utarczki z Krzyżakami dostaje się do niewoli litewskiej młody Niemiec Ransdorf. Litwini chcą go zamordować, ale wódz ich Margier ocala mu życie i każe zawieść na swój zamek Pullen, gdzie zranionego Krzyżaka leczy i pielęgnuje. Polubił go do tego stopnia, że kiedy kapłani litewscy zażądali Ransdorfa na ofiarę dla boga Poklusa, odmówił ich żądaniu, i w ten sposób po raz wtóry uratował życie swemu jeńcowi. Ale bardziej jeszcze, niż Margier polubiła pięknego Niemca córka wodza litewskiego,

Egle; kiedy więc na natarczywe żądania kapłanów, aby Krzyżaka wydać na ofiarę bogom, Margier zgodził się wreszcie, Egle uwolniła Ransdorfa z więzienia, a przy pomocy starego Litwina Lutasa, wypuściła go z zamku przez tajemne przejście podziemne, zażądawszy tylko przysięgi, że nigdy nie powie o niem Krzyżakom.

Ransdorf wraca więc do swoich, marząc ciągle o pięknej Litwinie, której zawdzięczał ocalenie życia. Tymczasem Krzyżacy ciągną na nową wojnę z Litwinami, chcąc przedewszystkiem zdobyć zamek Pulen, który im najbardziej przeszkadzał w wyprawach i dlatego był im solą w oku. Ransdorfa, jako obeznanego już z miejscowością, biorą ze sobą i oddają mu dowództwo jednego oddziału; on jednak przysięga w duszy, że nie zdradzi powierzonej sobie tajemnicy i nie wyda nieznanego przejścia.

Tymczasem w zamku wieść o ucieczce Krzyżaka wywarła ogromne wrażenie. Margier domyślił się, kto był winnym i przebaczył córce, lecz kapłani grozili straszną zemstą bożka i żądali zadośćuczynienia: zamiast Niemca, musi Egle splanąć na stosie ofiarnym, bo inaczej spadnie na Litwę straszne nieszczęście. Margier chcąc ocalić Ojczyznę, poświęca córkę i Egle idzie do więzienia, oczekując chwili stracenia. Dowiaduje się o tem Ransdorf od Lutasa, którego Krzyżacy rannego wzięli do niewoli i postanawia ocalić tę, której zawdzięczał swe życie. Teraz nie chciał już krępować się przysięgą, bo miłość owładnęła nim tak silnie, że przemogła wszelkie względy, wszystkie wyrzuty sumienia — więc zbiera swój od-

dział, i podczas kiedy Krzyżacy ze wszystkich stron otaczają zamek i wdzierają się na mury, on tajemną podziemną drogą przeprowadza swe wojsko i za chwilę zjawia się w samym środku zamku. Zaczyna się rozpaczliwa walka Litwinów, napadniętych z dwóch stron równocześnie; Ransdorf zaś biegnie do płonącego już więzienia, wynosi z niego omdlałą Eglę i ucieka z nią do obozu Krzyżackiego.

Litwini, widząc niepodobieństwo dalszej walki, postanawiają odebrać sobie życie, aby Niemcy zdobyli tylko ich trupy. Jeden po drugim giną na stosie zapalonym w środku podwórza zamkowego — ostatnim jest Margier. Lecz w chwili, kiedy już chciał utopić miecz w swej piersi, spostrzega u podnóża zamku płynącą Niemnem łódkę, a w niej Ransdorfa ze swoją córką, Eglą; ostatkiem sił chwyta za łuk, wypuszcza z niego dwie strzały, i trupy wiarołomnego Niemca i jego zdobyczy spadają w rzekę. Dokonawszy tego, Margier spokojnie wymierza cios we własne piersi — i pada martwy na stos, pomiędzy martwe ciała swych rodaków.

Taka jest treść Margiera. Już z niej można poznać, że w tym utworze niema tej naturalności, tej prostoty, która sprawia, że jeden wypadek wypływa z drugiego jasno i dokładnie. Tu cała opowieść opiera się tylko na przypadkowych zdarzeniach. Jakiż to nieostrożny wódz, który pozwala nieprzyjacielowi przechadzać się spokojnie po swoim zamku, nie mając zamiaru odebrać mu życie, a zatem przypuszczając, że on wydestanie się na wolność! Jak lekkomyślnym jest stary Lutas, który Ransdosfowi pokazuje tajemne

przejście, wypuszcza go na wolność, a potem zupełnie już niepotrzebnie mówi mu o uwięzieniu Egli, jak gdyby pragnął, aby Niemiec złamał przysięgę i zrozpaczony podążył na pomoc ukochanej, niosąc równocześnie zgubę Litwinom.

Niema tu zatem tej niewymuszonej swobody, jaką widzieliśmy w poprzednich gawędach Syrokomli, gdzie postacie są tak prawdziwe, tak wiernie nakreślone, jakby były portretami znanych nam dobrze osób. Ich uczynki wynikały tak jasno z właściwości ich duszy, a tak były niewyszukane, takie zwyczajne, że czytając opowiadanie, trudnoby było wyobrazić sobie, aby ci ludzie mogli inaczej postępować. Tu dzieje się przeciwnie — postępowanie Margera, Lutasa, Egli i innych osób jest czasem takie dziwaczne, że mimowoli zadajemy sobie pytanie: po co ci ludzie to robią? czy nie widzą, że to źle i że im to zgubę przyniesie?

Kiedy zaś Syrokomla chciał opisać życie starożytnych Litwinów i szukał za odpowiednimi wiadomościami, pokazało się, że było ich bardzo niewiele, a i te, co były, były niepewne. Czasy te same opisywał już przedtem Mickiewicz w swych powieściach poetycznych: «Grażynie» i «Konradzie Wallenrodzie», więc Syrokomla poszedł jego śladem i podał w «Margierze» prawie tylko te szczegóły, które już Mickiewicz przytoczył. Stąd wynika, że ten, kto czytał przytoczone powyżej utwory Mickiewicza, nie dowie się z «Margiera» nic nowego o obyczajach starożytnych Litwinów, z wyjątkiem ich religii, którą Syrokomla przedstawił dokładniej; ale obraz ofiar, skła-

danych bożkom litewskim nie jest wcale prawdziwym, a jest tak przykrym, że aż wstręt bierze przy czytaniu.

Poza tem jednak jest w «Margierze», jak we wszystkich zresztą dziełach Syrokomli, wiele ustępów prawdziwie pięknych. One właśnie sprawiają, że utwór ten czyta się z przyjemnością. Ażeby czytelnicy nasi mieli choć przybliżone pojęcie o tym poemacie, przytaczamy z niego kilka urywków.

Oto naprzykład sam początek, który radzimy porównać z przytoczonym powyżej ustępem z «Urodzonego Jana Dęboroga», bo treść ich jest zupełnie prawie ta sama, różnicę zaś, jaka między nimi zachodzi, poznają czytelnicy sami bez trudności.

Gdzieś ty, święta przeszłości macierzystej ziemi?
Z twojemi bohaterami, z bogami twojemi,
Z pieśnią dzielnych lirników, synów twego łona,
Przeminęłaś na świecie, jakby snem prześniona.
Któż cię potrafi dzisiaj wyczytywać biegle
Na staroświeckiej książce, lub na starej cegle?
Kiedy twoją pamiątkę znajdzie w polu chłopię
Albo ciekawy rydel w kurhanie odkopie,
Ze szkieletu, z okruchów żelaza lub gliny
Któż zdoła wypowiedzieć los całej krainy?
Kto wyssać świętą prawdę z podaniowych baśni?
Kto w literze zamknięte życie nam objaśni?
Kto mrok zapadłych czasów odświecili choć trochę?
Chyba serce pobożne, co praojców kocha,
Chyba dusza pieśniarska odgadnie, wyśpiewa
Przy harfie wyciosanej z litewskiego drzewa,
Na czas wywoła z grobu cmentarzowe rzesze
I z gruzów rumowiska skreć życia wykrzesze.
O! w jakim cię kurhanie zagrzebali starzy,
Stara, a święta harfo litewskich pieśniarzy?

Poważnym, głuchym szmerem zabrząknij z mogiły,
Aby się nasze piersi w twój takt dostroiły,
Zrodzony w nowych czasach i w inszej nauce.
O twoich dawnych bogach oto pieśń zanuce,
Nie świętokradzką ręką, lecz w dobrej otusze
Święty popiół praojców z mogiły porusze.
Drużyną zakrwawioną, w niedźwiedzie przybraną,
Przed oczami potomków praojcowie staną,
Dzicy, jak dzikie puszcze, w których Litwa żyje,
Czyści, jak czyste rzeki, z których wodę pije,
Rzewni, jak wiatr jesienny, co huczy po lesie,
Jak piosenka żniwiarska, którą echo niesie —
Lud co się przeniewierstwem nie zhańbi, nie skazi,
A szanuje swych bogów, kapłanów i kniazi:
A bogi, przed którymi na twarze się ściele,
Srodzy, dobrzy i prości, jako ich czciciele; —
A książęta, co Litwę trzymają pod władzą,
Za jej zdrowie swój żywot, swoją krew oddadzą,
A podziela się z ludem i serca połową,
I chlebem, i zdobyczą, i sławą bojową,
I śmiercią bohaterską, gdy idzie o życie: —
O takim to plemieniu powieść usłyszycie.

Syrokomla umieścił przed swym poematem ten wstęp dlatego, aby mu dodać powagi; tak bowiem czynili od najdawniejszych czasów wszyscy poeci, kiedy opisywali jakieś ważne zdarzenie; tak uczynił też Mickiewicz w »Panu Tadeuszu«. Ale w ustępie tym widać, że Syrokomla miał przed oczyma podobny wstęp do powieści poetycznej «Dziewica z Jeziora», napisanej przez angielskiego poetę Walter Skota, o którym mówiliśmy już przedtem, że jego dzieła poeta nasz chętnie czytywał w młodości.

A oto drugi ustęp z czwartej pieśni «Margiera»,
opisujący modlitwę wojsk Krzyżackich:

Margier z wysokich wałów gniewnem okiem ciska,
Liczy chorągwie Niemców i obozowiska.
Widzi szereg pancerny nad Niemnem rozwity,
A tam ciosają kłody, uwiązują płyty,
By ułatwić przeprawę. Po tratwach, po moście
Wkrótce przyjdą do Pullen nieproszeni goście.
Gotowe im przyjęcie — już się ukrop pieni,
A na polach litewskich nie braknie kamieni.
Daremnie w helm uzbrajać i głowę i szyję,
Wrzątek oczy zaleje, kamień łeb rozbije;
A topory, z krzemienia wyciosane świeżo,
Bohaterskim zamachem w ich serca uderzą.
Z napiętymi lukami, celując z daleka,
Ciżba Litwy na wale hasła tylko czeka.
Margier zmierzył szerz Niemna i obozowisko.
— «Ha! złoczyńcy! namioty rozpieli za blisko,
«Nasze strzały doleczą, jeszcze pędu stanie —
«Hej! puścić chmurę żądał na ich powitanie!»
I już luk swój dębowy napiął do wystrzału,
Kiedy dzwonek za Niemnem ozwał się pomalu.
U Krzyżaków ucichła wrzawa obozowa,
A chorągiew nadbrzeżna do boju gotowa
Uklękła — śnać się modła. Margier luk natęży.
Oto mistrz ze starszyzną i z orszakiem księży
Idzie zwolna pod namiot, gdzie kościół ubrali;
Poznał go wódz litewski pomimo oddali,
Wziął na oko — wycelił — już go ma pod strzałą,
Chciał już strzałę wypuścić, lecz serce zadrzało;
— «Nie! — zawołał — niech żaden nie strzela, nie mierzy
«Dopóki Niemcy swoich nie skończą pacierzy:
«Oni modlą zajęci poklękli na ziemi,
«My nie walczym z ich bogiem, jak oni z naszymi.
«Oni ufni w odległość i w swój zastęp krzepki
«Nie mogą się w tej chwili spodziewać zaczepki.



Margier z wysokich walów gniewnem okiem ciska,
Liczy chorągwie Niemców i obozowiska: (str. 118).

«Uderzyć niespodzianie — to byłoby zdradnie».
Rzekł, opuścił cięciwę, łuk na ziemi kładnie,
A sam upadłszy na twarz przed obliczem Litwy,
Do swych bogów błagalne posyła modlitwy.
I z obu brzegów Niemna była chwila ciszy,
Że się brzękot polnego konika posłyszysz.
A z za chmurnych obłoków, jak dobra otucha
Słońce się uśmiechnęło — Pan modlitwy słucha.

W następującym ustępie «Margiera» opisany jest pierwszy napad Krzyżaków na zamek litewski:

Trwa cisza uroczysta — wtem z lasu z nienacka
Odezwała się trąba miedziana krzyżacka,
Zagrał potem głos drugi i sto głosów za nim,
Aż zabrzękło powietrze chrapliwem zgrzytaniem.
I wali się na brzegi niezliczona tłuszcza,
Na Niemen dziesięć płytów, dziesięć tratw spuszcza.
Tłum się ciśnie na pomost, aż zatapia drzewa,
A na każdej z tych tratw chorągiew powiewa.
Zadrgał Niemen — wioślarze uderzyli w wiosła,
Połowa wojsk krzyżackich żwawo się poniosła.
Margier skinął, wycelił, i z tratw, co płyną,
Krew bryzgnęła ruczajem nad Niemna głębina
I zajękło sto piersi wyziewając ducha
I sto trupów krzyżackich do głębiny plucha.
Wioślarze przyspieszają i wiosła i drąga,
Kipi Niemen — rząd tratw pod wały nadciąga.
Z przekleństwem wystrzeliły krzyżackie łuczniczki,
Na wałach okrzyk Litwy odezwał się dziki
I kilka mężnych trupów od strony Puniały
Stoczyło się z okopów przez urwiste wały,
Aż w niemnowej topieli drgnął łoskot ponury,
Jak gdyby stos kamieni zawalił się z góry.

W trzy miesiące po «Margierze» napisał Syrokomla gawędę p. t. «Kes chleba». Jest to obrazek tak

śliczny, tak miły, jakich mało w całej naszej literaturze. Chciałoby się przytoczyć go w całości, bo żal poprostu nie dać czytelnikom sposobności poznania tego prawdziwego cacka, ale że miejsca nie starczy, więc przytoczymy tutaj przynajmniej większy ustęp, zaczynając od samego początku, a opuszczając tylko mały wierszyk, umieszczony jako wstęp «do czytelnika».

I.

Dziwno mi nieraz, gdy w myślach rozważę,
Jako skrybowie¹⁾ i pańscy pieśniarze,
Z silnemi pierśmi i z sercem ochoczem,
Skarżą się nieraz na brak żywej treści:
Że w pięknej Liwie spiewać niema o czym,
Że im nie staje wątku do powieści.
O bracia moi! równiennicy mili!
Za cóż swej matce bluźnicie zuchwali?
Czyście już całą przyrodę zgłębili?
Czyście już całą głęb duszy zbadali?
O! jeśli waszą unużyło lutnię
Łowić brzęk wiatru, co w zaroślach gwarzy,
Śpiewać niebiosa zachmurzone smutnie,
Lub z Symonidem²⁾ wtóżyć pieśń żniwiarzy,
Albo powtarzać szczebiotanie ptasze
I jęki nasze i radości nasze —
Jeśli już dla was nie nowa nauka
Słuchać, jak serce waszych braci puka,
To weźcie wszystko przeglądać na nowo
Przez drobne szkiełko, co mikroskop zowają.

¹⁾ Pisarze.

²⁾ Sławny poeta grecki. Tak nazywano też naszego poetę z XVI w., Szymonowicza, który w «Sielankach» swych opisywał życie wiejskie.

Położcie pod niem, co łaska i wola,
Główkę motyla lub serce człowiecze,
Łezkę, co z oczu splakanych wyciecze,
Lub kwiat urwany z litewskiego pola; —
I odpowiedźcie sumiennie a święcie
Blask każdej barwy, każde serca drgnięcie,
Każde ruszenie drobnego atomu,¹⁾
A pieśń już sama utworzy się snadnie —
A dobrzy ludzie zbiorą się gromadnie
Posłuchać pieśni, westchnąć pokryjomu;
A gdy się słuchacz rozezuli, rozmarzy,
O! wtenczas dobre żniwo dla pieśniarzy.

II.)

Bez szkieł, lecz z duszą, co kocha i wierzy,
Patrzę na kawał chleba mej wiecerzy:
W tym drobnym zlepku wszak może się chowa
Cała treść pieśni żywotna i czuła;
Drobna okrucho! o gdyby ci mowa,
Jakżebyś rzewne dzieje nam wysnuła!
O twojej doli, o rodzinnej roli,
O twojej siejbie, kwitnieniu i wzroście,
Jako się rolnik na żniwie mozoli?
Jakie tam ptastwo przylatało w goście?
Jak na twój kielek czerwonawo-błady
Działało słońce i rosa i cienie?
Czy ciężkie grady, czy chciwe owady
Spadały z niebios na twe spustoszenie?
Czy sute były dożynki po żniwie?
Czy pan był wesół, żeć zebrał szczęśliwie?
Za ile ziarenek ile dostał groszy,
Gdy przybył kupiec w wioskowe zacisze?
Czy grosz wydano dla serca rozkoszy?

¹⁾ Najmniejsza cząstka, na jaką można jakieś ciało podzielić.

Czyli na oltarz zbytkowi i pysze? —
I jak wyrobnik zakupione ziarna
Kruszy w kamieniach, na chleby wypieka?
O zlepku żytni! okruszyno marna!
Jakże twe dzieje ciekawe dla człeka —
Z twojemi losy tak ściśle się splata
I jasny pałac i chróściana chata!

III.

Chleb — święte słowo w niebie i na ziemi.
W nim Bóg sam siebie między ludzi dzieli,
Przed chlebem życia truchleją anieli,
Człek go przyjmuje usta pobożnemi;
W chlebie sakrament odkupienia bierze,
W chlebie jest Boga z ludzkością przynierze,
A gdzie Bóg zsyła swojego anioła
I dzikich ludzi ku światłu powoła,
Tam zaraz zbożem zasiewa się niwa,
Srogi syn lasu zaraz chleb pożywa;
A skoro spożył, wnet się uszlachetni,
Wnet się w ogniwa społeczne kojarzy,
Chleb jego przyszłość dziejową uświetni
I piętno Boże wyciśnie na twarzy;
W marnej okrusze, barbarzyńcy prości
Przyjęli święty sakrament ludzkości.

IV.

O wyobraźnio, święty niebios darze!
Jako chleb ciało, ty nakarmiasz duszę.
Dzięki twym cudom, kiedy się rozmarzę
W ziemskiego chleba malutkiej okrusze,
Całą jej przyszłość już wysnuwam snadnie,
Dusza przeczuje, a serce ją zgadnie.

V.

Chlebie! po twoim smaku i zapachu
 Czuję z nad Niemna polankę borową,
 Widzę kaplicę o słomianym dachu,
 Słyszę jej dzwonek jak brzęczy nad głową,
 To brzęk znajomy: bywało po lesie
 Z sosny na sosnę jak wiewiórka pnie się,
 Z góry na górę błyskawicą biega,
 Lub się po łące jak powódź rozlega.
 Och! pomnę, pomnę jego brzęk poranny,
 Kiedy bywało przy końcu już żniwa
 W dzień przemienienia lub Najświętszej Panny,
 Z pobliskich wiosek lud Boży zwoltywa:
 Spieszy w kaplicę ciżba pracowita
 Świecić owoce albo kłosa żyta.
 Tam, gdy swe snopki na ołtarzu złożą
 A ksiądz modlitwę poświęcalną pocznie,
 Pokłękły naród widzi rękę Bożą,
 Jak błogosławi ich plonom widocznie,
 Już wie, że polna nie przepadnie praca.

Świecone snopki na siejbie wymłaca,
 Świecone ziarno po zoranej roli
 Sypnie garściami na każdej rozorze,
 I mówi w duchu: «Kiedy Bóg pozwoli,
 «Jak gaj wyrośnie, zaszumi jak morze;
 «Daj Bóg doczekać do przyszłego lata,
 «Toż to się wianki kłosiane posplata!»
 Świecone ziarno mieszając z umłotem
 Na dwornym morgu siał kmiotek sędziwy;
 Przywykł za własne uważać te niwy,
 Bo zdawna własnym użyźniał je potem;
 Więc szczerem sercem odmawiał pacierze;
 «Niech urunieje, niech bujny wzrost bierze!»
 Na skrzydłach wiatru jesiennego ranka

Poszła modlitwa wysoko... wysoko...
Bóg rzucił k'niwom miłosierne oko,
I zaruniała usiana polanka
Krzewistą runią, — a całe pól łono
Jakby ktoś szatą przyrodził zieloną...

Tymczasem na niwie
Wicher ze śniegiem swawoli burzliwie;
A chleborodnem obdarzona życiem
Spi trawka żytnia pod białem przykryciem;
Mróz, co ją zwarzył i zakował w bryłę,
Żywotnej treści wyssać z niej nie może:
Z zimnem słowiańskiem obeznane zboże,
Nabiera hartu i krzepnie na sile,
A słońce wyżej, wyżej się pomyka,
Wytryska ciepłem z każdego promyka.
Choć mróz i wicher srożą się okropnie,
Codzień po trosze śniegowisko topnie;
Aż ocieplone wiatry marcowemi
Puściły śniegi na polach, na łące.
Zwija się wężem strumyków tysiące,
Potok z potokiem kojarzy się, zlewa;
Lecą ze szmerem wyzwoleńcy młodzi;
I szumią gwarem wiosennej powodzi
Nadbrzeżne błonie, zarośle i drzewa.
Słońce promieńmi, jak olbrzymim grotem,
Rozbija lody, łamie i rozpryska,
Fala wyzuta z cieśni grobowiska
Płąsa po nurtach wirowym obrotem.
Rybacy czólnem już po Niemnie płyną
I śmiały sternik puszcza się z wiciną.
A z ponad czarnej, pooranej roli
Ostatnia wilgoć kłębami wybucha,
Wiosenny wietrzyk po niwach swawoli,
A rolnik, pełen wesołego ducha,
Wychodzi czekać i słuchać co rana
Pieśni skowronka, klekotu bociana,

I z sercem pełnem wiosennej radości
Wita przybycie pożądaných gości,
A ze skowronkiem myśl jego skrzydłata
Z rzewną modlitwą ku Niebu ulata.

W ten sposób snuje Syrokomla dalej ten prześliczny poemacik, lekko i nieznacznie wplatając w takie rozmyślania historię o starym Łagodzie. A historia to tak prosta, tak zwyczajna, że prostszej i zwyczajniejszej nie opisywano chyba nigdy. Łagoda od lat długich dzierżawił wioskę niewielką i przywiązał się do niej, jakby do swojej własnej, pokochał lud okoliczny, a lud i jego nawzajem pokochał szczerze i serdecznie. Tymczasem pan wioski, namówiony przez Zaborę, postanowił wymówić dzierżawę Łagodzie, a oddać ją swemu pochlebcy. Tak się też stało: Łagoda ze łzami opuszcza ubogi domek, do którego się przywiązał, żegnany przez wieśniaków, oczekujących ze strachem nowego pana; o Łagodzie nie slyszało się już więcej, ale i Zaborze nie szczęściło się w wydartej podstępem biedakowi wiosce, bo zboże, jakie mu ziemia rodziła było tak gorzkim, że nikt w całej okolicy nie chciał go kupować.

I oto już cała treść! Widzimy, że niema tu żadnego sztucznego zakończenia, nawet żadnego zawiązania, tylko mały, skromniutki obrazek żywcem przejęty z codziennego życia. A zdaje się, że treści do niego dostarczyło Syrokomli jego własne życie; wiemy, że zarówno on sam, jak i jego ojciec, byli ubogimi dzierżawcami i nieraz mieli do czynienia z podobnymi ludźmi, jak Zaborza. Co więcej, mamy nawet nieznaną wskazówkę, że zdarzenie, opowiedziane w «Kę-

sie chleba» jest wzięte z życia ojca poety. Oto na kilka miesięcy przed napisaniem tej prześlicznej gawędy pisał Syrokomla do swego przyjaciela następujące słowa: «Po przecierpieniu wielu osobistych przykrości przyszło mi kłopotać się sprawami mego ojca, który ma tutaj z moźnym panem interesa z rzeczy dzierżawa wy». Nadto zaś powiadają znajomi poety, że przedstawiony w tym obrazku dzierżawca Łagoda przypomina bardzo dokładnie ojca Syrokomli. Czy tak było rzeczywiście, czy prawdą jest, że «Kęs chleba» to tylko obrazek wzięty z rodzinnego życia poety, trudno naturalnie dociec, ale gdyby tak było, to łatwiej zrozumielibyśmy, dlaczego w tym utworze jest więcej niż we wszystkich innych tego serdecznego uczucia, które mu nadaje tyle wdzięku i uroku.

Cały ten niewielki poemacik jest prawdziwym klejnotem, zdobiącym naszą literaturę; jest w niej zapewne wiele utworów piękniejszych, potężniejszych i głębiej pomyślanych, ale niema ani jednego, któryby można porównać z «Kęsem chleba» pod względem dziwnie prostej formy opowiadania, jaką tu widzimy. Są to niby osobiste wynurzenia poety, niby opowiadania o Łagodzie, o Zaborze i poczciwych wieśniakach tak jakoś pomieszane, że trudno dojrzeć, gdzie się jedno kończy a drugie zaczyna; ale pomimo to jakie to prześliczne, jakie serdeczne i swojskie! Ileż to ustępów takich, od których oderwać się nie można — ot, choćby następujący:

W dni moje młode, w dni moje szczęśliwe,
I jam uprawiał nadniemeńską niwę,

Wiem, jak tam żyją w gospodzie i chacie,
Jak się zbierają na żniwa gromadnie,
Tameczne łąki znam po aromacie,
Wodę tameczną po smaku odgadnę.
Inszego ptastwa śpiew mię nie omami,
Znam, jak skowronek, jak tam słowik śpiewa;
Poznam po szumie nadniemeńskie drzewa,
I wiatr tameczny rozeznam płucami:
Bo tamte strony ukochałem szczerze —
A taka miłość — jak miłość dziewicy,
Słodka urokiem lubej tajemnicy,
Obcym jej uszom nigdy nie powierzę.
Bo śmieszno kwilić ku borowej sośnie,
Albo k'pustyni, kędy dworek stary
Pomiędzy wydmy i mokre wiszary.
Ale ta miłość, to sielskie zacisze
Tak mię zbratały z przyrodą jak z matką,
Ze nic tam dla mnie nie było zagadką,
Zda się bywało wzrost trawy posłyszę.
I dzisiaj, kiedy wzrok ziemski przysłonię,
A okiem duszy w te strony powiodę,
Widzę jak żywo starego Łagodę,
Jako się krząta po polnym zagonie.
I słuchem duszy jak gdyby na jawie
Słyszę na błoni nadrzecznej obszarze,
Jak brzęczą w kosi ochoczy kosarze
I polny konik jak strzekoce w trawie;
Jak szumi zboże, gdzie wyrosło gęściej,
I jak pod sierpem żniwiarek zachrząści;
Jako wioskowe żony i dziewoje
Gwarzą na morgu, chychocą i pieją
Pieśni żałosne, stare pieśni swoje,
Co wiekowały setnych lat kolejają —
I z matki, z babki, z prababki podeszłej
Do ust nadobnej krasawicy przeszły:
Pieśń o Dunaju, o krasnej kalinie
I o kozaku, co na wojnie ginie;

A kiedy słodsze zapuka uczucie
Do prostej piersi szczęśliwą nadzieją,
Spiewa o lubym, o zielonej rucie,
A towarzyszki z jej marzeń się śmieją;
Pieśniarka nie wie, gdy ją dumka pali,
Śmiać się? czy gniewać? czyli marzyć dalej?
Widzę, jak słońko kryje się za lasy,
A rzeźwy chłodek powiewa od rzeki,
Skrzypią ze zbożem ładowne kolasy,
Ryk trzody z błoni dochodzi dalekiej.
A tu na polu krzątają się dziewczki,
By dworskich morgów dziś dożyć obszary,
W tem samym miejscu, kędy Maciej stary
Święcone ziarno rzucał na obsiewki.
Niedarmoś, księżę, przeżegnał te ziarna!
Niedarmo, siewco, modliłeś się Bogu!
Wasza modlitwa i praca niemarna:
Plenny urodzaj ściele się do brogu.
Doźnijcie zagon wesolą gromadką,
Przy szumnym gwarze, przy pieśni odgłosie,
Zwijcie do wianka najpiękniejsze kłosie,
Z kraśną kaliną i modrą bławatką;
Zanieście panu podarek ze żniwa
Jak zdrów doczekał, niech wesół spożywa.

Nieprawdaż, że to prześliczne? A trzeba wiedzieć, że Syrokomla mówiąc, iż «łaki pozna po woni» i że rozróżni śpiew ptaszków ze swych rodzinnych stron od innych, nie przesadza tak bardzo, jakby się здавало. On był tak rozkochany w swej ziemi rodzinnej, tak nią i dla niej tylko żył, że i to nawet nie byłoby dla niego niczem niemożliwem.

Albo przypatrzmy się opisowi dożynków. Dla wyjaśnienia go podam tu tylko tyle, że stary Łagoda już wówczas przeczuwał, iż nie długo już w wiosce

zabawi i że dlatego właśnie był taki smutny: łyzy wyciskała mu z oczu myśl, że musi opuścić swą ukochaną wioskę.

Nie zdrów, nie wesół coś stary Łagoda —
Jak gdyby nierad z dożynkowych gości.
Dawniej przyjmował z uśmiechem radości,
Młoda żniwiarka gdy mu wianek poda;
Dzisiaj wioskowa dziwi się gromada
Czemu zesmutniał a twarz jego blada?
Sami u siebie pytają i gwarzą:
Kto tę zgryzotę do serca mu kładzie?
Bo przyjął wianek z obojętną twarzą,
Martwym uśmiechem dziękował gromadzie,
A gdy śpiewano dożynkowe pieśnię,
Starzec zapłakał... zapłakał boleśnie!
Łzy jego twarzy wioskowi ludziska
Dawniej widzieli — lecz zgadli, choć prości,
Ze insza smutku, insza łyza radości,
Kiedy to z serca pełnego wytryska;
Co, kiedy błysnie na twarzy człowieka,
Jakby promieniem boskim przyobleka.
Takiemi łzami, w dożynkowe święta,
Trafia się czasem zapłakać Łagodzie;
Ale łyza smutku dzisiaj niepojęta,
Jakby tu zgadnąć, co mu serce bodzie?
Żona i dziatwa widząc twarz złowrogą
I dumań starca częstym będąc świadkiem,
Spytać nie śmieją, a zgadnąć nie mogą
I sami smutni leją łyzy ukradkiem.
Lud patrząc w oczy, aż zabłysną słodziej
Nieśmiało k'stołu pańskiemu podchodzi.
Lecz pan przypomniał, że dzisiaj ma gości,
Wosółem okiem spojrzzał na żniwiarzy.
Święte na Litwie prawo gościnności
Spędziło smutek z zadumanej twarzy.

Na stole białą zasłanym oponą
Stawia chleb cienki i słodkie owoce,
Smolone szczepy na dziedzińcu płoną,
A wiejski skrzypek skoczny taniec grzmoce,
Piskliwe tony wyciąga od ucha,
Nastraja skrzypce i dźwięku ich słucha
I znowu grzmoce. — Miód, sprawca wesela,
Kraży po rękach — gwar coraz to wzrasta; —
Skromny parobczak i cicha niewiasta
I młode dziewczę coraz się ośmiela,
Podchodzą k'panu i młodzi i starzy,
Pan się uśmiecha i ochoczo gwarzy:
U niego kmiecie, to synowie mili,
A starcy ze wsi, to bracia rówieśni;
Zaprasza gości, by jedli i pili. —
Zahulał taniec, zaszumiał gwar pieśni;
W samym powietrzu szumi święto żniwa,
W mgłach letniej nocy z echem się rozplywa.
Pomimo pieśni, mimo tańca gwary,
Kmieci rozhovor rozlega się głośno:
«Daj Boże zdrowie! oto pan nasz stary!
«Niechaj mu dziatki na pociechę rosną,
«Niech syny jego, na tej samej ziemi,
«Będą panami nad syny naszemi!»

Równie piękne są dwa ustępy, opowiadające o rozmowie wieśniaków w karczmie, o tem, jak Łagoda opuszczał swój dworek i jak go pocziwi kmiotkowie żegnali. Z tego ostatniego przytoczę choćby mały tylko ustęp, a osądźcie sami, kochani czytelnicy, czy nie warto go przeczytać:

Łagoda nie chciał kłaniać się Zaborze,
Nie czekał zimy w swoim dawnym dworze;
Z żoną i dziatwą i z kilku talary
Poszedł w świat obcy, na nowe kłopoty,

Do starych panów wyszedł Marcin stary,
Żegnał ich z płaczem za wiejskimi wroty,
Zeszli się insi dawniejsi poddani,
Niewiasty, dzieci, gospodarze z wioski
Przypominali ich pobyt ojcowski,
Całując ręce i pana i pani,
Dziękując prostą od serca wymową
Za chleb, sól pańską i za dobre słowo.
I za dawniejszą pańską zapomogę
Niosą podarki jak ofiarę świętą:
Ten garść orzechów dla dziatwy na drogę,
Drugi plastr miodu, co wczora podcięto,
Inszy w ofierze niesie chleba kawał,
Życząc, by nigdy nędzy nie doznawał.
A choć wszystkiego wypowiedzieć trudno
Prostemi słowy i mową prostaczą,
Znaczno na sercach żalność nieobłudną,
Można tym oczom zawierzyć, gdy płaczą.
Stary Łagoda doświadczył naocznie,
Jak go żalują kmiotkowie ubodzy;
Z dobrymi ludźmi gdy się żegnać pocznie,
Już łez serdecznych nie trzymał na wodzy,
I ciężki kamień z serca mu opada,
Gdy go wieśniacy pobłogosławili:
Panie Zaboro! masz głowę nielada,
Lecz w życiu takiej nie doczekasz chwili!
Bo nie każdemu i nie w każdym czasie
Tak piękną chlubą napęlnia się dusza,
Jaką czuł starzec, gdy z wioski wyrusza,
W starej sukmanie, w skrzypiącej kolasie.
Ujrzał nad grobem uwieńczone dzieło,
Ujrzał świadectwo swoich bliźnich grona,
Że jego życie nie marnie zginęło,
Że jego zasług nie próżna skarbona;
Wyższym go ludzie uczynili prości
W obliczu Boga, w obliczu ludzkości.

Z tego, co tu przytoczyłem, czytelnicy sami poznali już zapewne, o ile «Kęs chleba» piękniejszym jest od «Margiera». Ktoś bardzo słusznie powiedział, że «Margier» to przepyszny kwiat sztuczny, zrobiony wprawną ręką mistrza z jedwabiów, aksamitu, papieru i drutów — sztuka, z jaką go zrobiono, jest tak wielka, że wygląda jak żywy, jakby z cieplarni oszklonej wyjęty, ale przy tym żywym polnym kwiatku, jakim jest «Kęs chleba» wydaje się zimnym i suchym.

Oba te utwory wyszły prawie równocześnie i zaraz zaczęto pisać o nich po czasopismach. Ale głosy te nie były już poecie naszemu tak przychylnie, jak niegdyś, owszem, było w nich wiele zarzutów, a więcej jeszcze złośliwej niechęci. Najbardziej dotknęło jednak Syrokomlę to, że mu zarzucano zarozumiałość i dumę, widoczną niby w przedmowie do «Margiera», gdzie otwarcie przyznawał, że utwór ten uważa za swoje najlepsze dzieło. Jak bardzo przykrym był mu ten zarzut, dowodzi ustęp z listu, pisanego wówczas do Kraszewskiego: «Niektórzy z czytelników zarzucają mi — pisze w tym liście — że przedmowa tchnie jakąś zarozumiałością. To grzech ciężki! ale miły Boże, czyż ja choćby raz w życiu zgrzeszyłem zbytecznem o sobie mniemaniem? Czyż ja choć trochę wierzę we własną doskonałość w jakimkolwiek względzie? Jeżeli tę wadę mogli znaleźć, to niech już co chcą wymyślają — na wszystko zgoda! O, gdybym zdołał przestać pisać!»

Więc aż tak było mu boleśnie, że chciałby porzucić swój ukochany zawód pisarski, byleby tylko nie narażać się więcej na podobne zarzuty. A jak nie-

sluszne były te zarzuty, niech świadczy szczególnie następujący: Kraszewski napisał do «Gazety warszawskiej» sprawozdanie o nowych utworach Syrokomli i tam powiedział szczerze i otwarcie, jak myślał, że «Margier» ma wiele wad i braków i że nie jest wcale tak znakomitem dziełem, jak sobie poeta nasz wyobrażał; mówił dalej, że np. «Kęs ehleba» jest od niego o wiele lepszym, bo jest szczerym, niewymuszonym i radził poecie, aby szedł zawsze tylko za popędem serca, wtedy bowiem pisze najpiękniej i najrzewniej.

Takie słowa najlepszego przyjaciela i człowieka tak sławnego, jak Kraszewski, musiały być dla Syrokomli ciosem bardzo bolesnym, bo jeżeli nawet on nie uznał «Margiera» za to, za co go uważał poeta, to cóż sądzić o innych? Ale poczciwy «lirnik litewski» nie obraził się tem wcale, owszem, natychmiast po przeczytaniu tego sprawozdania napisał do Kraszewskiego bardzo serdeczny list, z którego przytaczamy wyjątek: «O! wolę «Kęs chleba» niż «Margiera», choć przed chwilą innego byłem zdania. Krew mi wre po przeczytaniu twojego ostatniego listu w «Gazecie». Rzuciłbym się na szyję twoją, drogi panie Józefie, gdyby to było możliwem. Dlaczego zarzutu, które ty czynisz «Margierowi», ja sam mu nie czynilem jeszcze... przed napisaniem? Takie rzeczy sercem się pojmują tylko, płacą się łzą wdzięczną, przyjmij tę łzę..., a ta łza niech będzie zakładem wiecznej pomiędzy nami przyjaźni».

List ten jest najlepszym dowodem, jak poczciwym był Syrokomla, jak prawym był jego charakter. Jakże to często bywa, że ludzie, usłyszawszy jakąś

lekką naganę z ust przyjaciela, zapalają się gniewem i stają się naszymi nieprzyjaciółmi, bo oni chcieli od nas pochlebstw, a nie rozumieją, że mówienie prawdy w oczy oznacza tylko szacunek dla tej osoby. Syrokomla nie należał do nich; jeżeli go bolały nieprzychylne sądy o «Margierze», to dlatego tylko, że widział w nich złośliwą chęć dokuczenia mu i wyśmiania go, ale gdy mu powiedziano szczerą prawdę po przyjacielsku, bez chęci ubliżenia lub dokuczenia, wtedy sam przyznawał słuszność i czuł wdzięczność dla tego, kto mu oczy otworzył na wady jego utworów.

Jest to przymiot tak wielki, a pomiędzy poetami tak rzadki, że trzeba go Syrokomli poczytać za wielką cnotę i zasługę. Mieliśmy już w naszej literaturze i takich poetów, którzy uważali się za wielkich mędrców i proroków, choć zdolności ich były bardzo małe i nie mogły się równać z temi, jakie posiadał Syrokomla — a on, choć wysoce uzdolniony, nie podnosi głowy do góry, nie pyszni się tym darem Bożym, jaki mu się dostał w udziale, lecz skromnie nazywa się tylko «lirnikiem wioskowym», który dobrym ludziom i Panu Bogu przyśpiewywać pragnie, a gdy mu dowodzą, że dzieło, które on uważał za swoje najlepsze, jest nie wiele warte, nie oburza się, nie gniewa, lecz owszem, chce rzucić się na szyję temu, kto to powiedział i nazywa go swym najlepszym przyjacielem. Czyż już za tę samą skromność nie jest wart naszego szacunku i naszej miłości?

Tymczasem w życiu nie szczęściło mu się. Przyszła ciężka słabość i powaliła go na łożę, z którego przez trzy miesiące nie mógł powstać. A gdy wre

szcie wyzdrowiał nieco, przyszły gorsze jeszcze cierpienia: zaczęły się przykrości i kłopoty domowe, które mu zatruwały życie, pozbawiały swobody umysłu i odrywały od pracy. A pracować trzeba było ciężko, bo rola nie dawała dochodów potrzebnych na utrzymanie domu i wyżywienie rodziny, więc nie można było czekać, aż przyjdzie chwila stosowna do pisania lub napisany już utwór wygładzać, ale jak najwięcej pisać, byleby tylko zarobić na ten codzienny «kęs chleba». Nic zatem dziwnego, że przy takich stosunkach poeta pisał wprawdzie wiele, ale nie dużo rzeczy prawdziwie pięknych. Kiedy zaś przyjaciele zrobili mu z tego zarzut, on odpowiedział im krótko, lecz wymownie: «Nie mam chleba!» Na to nic już nie można było powiedzieć — i biedny poeta marnował swe zdolności pisząc dla chleba!

A jakie to były zdolności, najlepiej świadczy to, że pomimo tej niezwyklej szybkości, z jaką musiał tworzyć swe poezye, pomimo, że nie miał czasu na ich wykończenie, przecież nie napisał nic zupełnie złego, a wiele utworów bardzo pięknych. Tytuły ich wymieniliśmy już przedtem, tu pomówimy jeszcze o kilku najlepszych, jakie wówczas powstały, bo na to, aby omówić wszystkie, nie starczyłoby miejsca.

Pierwszym z nich jest «Zgon Acerna». Opisuje tu Syrokomla śmierć Sebastyana Klonowicza, poety polskiego, który żył między rokiem 1551 a 1602; «Acernus» jest to przotłómaczone na język łaciński nazwisko «Klonowicz», bo «klon» nazywa się po łacinie «acer». O tym poecie było podanie, że pod koniec życia popadł w nędzę i umarł w szpitalu Jezuitów

w Lublinie — Syrokomla zaś przyjął to podanie za niezbitą prawdę i osnuł na niem swój poemat.

Już sam tytuł oznacza, jaka jest treść tego utworu: jest tu opisana tylko śmierć opuszczonego przez wszystkich poety; koło łoża jego zbierają się znajomi, a on im tłómaczy swoje czyny, za które go niesłusznie potępiano. Niektóre ustępy są tu bardzo ładne, pełne rzewnego smutku i współczucia dla nieszczęśliwego człowieka. Jako przykład przytaczamy sam początek tego utworu; w ustępie tym przybywa lekarz lubliński, Albert Oczo, do szpitala Jezuitów, aby odwiedzić chorego Klonowicza:

Czego ten stary brytan, opuściwszy szyję,
Do furty jezuickiej drapie się i wyje?
A wyje tak żałośnie, aż przechodzą mrowie!
O! takie skowytanie pewno zgon przepowie.
Znają w całym Lublinie jego sierć, nazwisko —
To jakiegoś żebraka wysłużone psisko,
Chce się z panem obaczyć, polizać mu ręce.
Próżno uliczne żaki i szkolne młodzieńce
Ciskają nań kamieńmi; kruhciani dziadowie
Naprawdę swemi szczudły biją go po głowie.
Pies kurczy się, zaskomli w postawie pokornej,
Ale go nie odpędzisz od furty klasztornej;
Chciałby wcisnąć się milczkiem i omylić strażę,
Ale Ojciec odźwierny wpuszczać go nie każe.

Wtem stateczny przychodzień we dzwonek zadzwoni —
Brytan przypadł mu do nóg, rzucił się do dłoni,
Jakby prosił o łaskę błagalnym wyrazem,
Iżby w bramę klasztorną wcisnąć się z nim razem.
Przychodzień go pogłaskał: «To ty psino wierna!
«Jedyny przyjacielu biednego Acerna!
«Pójdziem nad jego łożę, oczy mu zasłonim:
«My w Polsce tylko jedni zapłaczymy po nim;

«Przy skonaniu pieszczocha sarmackiej cytary
«Pożaluje pies stary i przyjaciół stary...
«A reszta Polski zimna — nie wie, ani zważa,
«Że w tej chwili utracą wiernego gęślarza,
«Co jej chlubę pocziwie głosił w świat daleki»
Tak powiadał przychodzić — lżę otarł z powieki,
I zadzwonił powtóre, potrzecie, poczwarte; —
Skrzypnęły rygle furty, powoli otwarte,
I z za drzwi, co się z ciężkim łoskotem rozpada,
Twarz Ojca odźwiernego wychyla się błada.
— «Czego tu waszmość chcecie? — tak silnie dzwonicie!
«Po dziewiątej godzinie, choćby szło o życie,
«Nie wolno bywać obcym za klasztorną kratą,
«Chyba da Ojciec rektor zezwolenie na to».
— «To idźcież do rektora i wracajcie żwawo».
— «Ach! czy to wasza miłość? — sam wpuścić mam prawo:
«Lekarz Albertus Oczko, miły gość w klasztorze,
«Za furtę Societatis¹⁾ zawsze wchodzić może».
Tak mówił Jezuita z uśmiechem słodczy;
A brytan wpadł do furty, smutnie zaskowyczy
I pobiegł w korytarze.

Poniżej podajemy jeszcze jeden ustęp, w którym umierający Klonowicz mówi o swojej działalności poetyckiej. Rzecz naturalna, że wyrazu «harfa» i «cythara», które się tu często powtarzają, a oznaczają jedno i to samo, nie należy brać dosłownie; Klonowicz ma tu na myśli nie przyrząd muzyczny, służący do wygrywania pieśni, ale zdolności poetyckie, podobnie jak w «Lirniku wioskowym» Syrokoma przedstawiał swoją działalność jako «granie na lirze».

¹⁾ Towarzystwa Jezusowego, t. j. Zakonu Jezuitów.

«Harfo moja pocziwa — narzędzie ty boże!
«Komuż ja cię zapiszę? w czyje ręce złożę?
«Lublin złowrogie miasto dla pieśni Sarmaty:
«Pamiętam, kiedy tutaj przed dwudziestu laty
«Umarł Jan z Czarnolasu — a ja płacząc smutnie,
«Pytałem: komu dzisiaj zostawisz twą lutnię?
«A któryś z dobrych ludzi rzekł pochlebne słowa:
«To twój spadek, Acernie — cythara Janowa...
«Och! jeżeli to prawda, żem godzien tej łaski,
«Patronie pieśni polskiej! Janie czarnolaski!
«Jeżelim twoją lutnię odziedzyczył w darze,
«Słabo grałem — lecz grałem jak mi serce każe.
«Możem popsuć jej struny niewdzięczny harfista,
«Ale z rąk mych wychodzi nieskalana, czysta,
«Jak była w twoich rękach — świętości nie traci:
«Grałem przy niej dla Boga i dla milej braci.
«Mistrzu mój! ty w niebiesiech zarzutu mi nie dasz,
«Że choć jeden brzęk struny puściłem na sprzedaż:
«Świadkiem moim niech będzie Bóg serca świadomy,
«Świadkiem ziemia lechicka i ten barłóg słomy,
«Na którym dogorywam... Są tam lzy goryczy...
«A ktokolwiek ten spadek po mnie odziedziczy,
«Ktokolwiek będzie na niej ciągnął hymn ten samy,
«Niechaj struny oczyści od tej rdzawej plamy.
«Niech nie gardzi starego pieśniarza przestrogą:
«Bo dźwięki chropowate urodzić się mogą,
«Staną się niepodatne jego słowa wieszczce,
«Zamiast serca łagodzić, porozjąttrza jeszcze,
«Zamiast dusze oczyścić, jeszcze je poplami,
«I stanie przed sąd boży z próżnymi rękami,
«Jak niewierny najemnik... Za pieśnię goryczy
«Zapłatę jego żniwa czyż mu Bóg policzy?
«Czyż widząc jego chwasty, gorzko nie zapyta:
«Dlaczegoś nie pracował jak dobry najmita?...
«O! kto nie chce mieć zgryzot i łez na ostatku,
«Ktokolwiek pieśnię moją odziedziczy w spadku,
«Niech ją samą miłością rozkołysa szczerze,

«Niech z mojego przykładu swych wzorów nie bierze!
«A choćby kiedyś ludzie zimni a nieczuli
«Ociem mu czarę życia i żółcią zatruli,
«Choćby mu zgryzła serce jadowita żmija,
«Niech nektar¹⁾ niesie braciom, a żółć sam wypija...
«Bogdajby słowa pieśni nikogo nie bodły!...
«A szkodliwszy od żółci panegiryk²⁾ podły
«Niech od ciebie, śpiewaku, będzie zawsze zdala,
«Niech mojej staroświeckiej harfy nie pokala.
«A jeśli mój następca plocho a niebacznie
«Niegodnemu pieśń chwaleczą pobrząkiwać zacznie,
«Ty pomnąc, żeś służyła piosenkom Acerna
«Pęknij pod jego ręką, moja harfo wierna!»

Przytoczyliśmy ten ustęp nietylko dlatego, że jest on jednym z najpiękniejszych, ale i dlatego, że się odnosi nie do samego tylko Klonowicza. Wyraził tu Syrokomla swój pogląd na obowiązki poety, wypływające z jego szczytnego powołania, a miał prawdopodobnie siebie samego na myśli. Gdybyśmy bowiem spróbowali podłożyć w tym ustępie zamiast nazwiska Klonowicza, czyli «Acerna», jak go poeta nazywa, nazwisko Syrokomli, mielibyśmy zupełnie wierny obraz jego życia. I on bowiem otrzymał swą «harfę» w spadku po naszych wielkich poetach: Mickiewiczu, Słowackim i Krasińskim, jak Klonowicz po Kochanowskim — i on nie grał na niej tak pięknie, jak oni, ale nikt nie mógłby mu zarzucić, żeby «choć jeden brzęk struny puścił na sprzedaż»; i z jego rąk wychodziła harfa naszych wielkich poetów taka

¹⁾ Napój, który według pojęcia starożytnych Greków i Rzymian pijali bogowie; tutaj: «słodysz».

²⁾ Wiersz pochwalny.

«nieskalana, czysta», jaką on ją otrzymał, ile zaś «leż goryczy» było w jego pieśniach, o tem już wiedzą czytelnicy.

«Zgon Acerna» należy do lepszych utworów Syrokomli, ale niema w nim ani tej prostoty, ani tej serdeczności, na której polegał zawsze największy urok wszystkich utworów naszego poety.

To samo można powiedzieć o następnym jego utworze, o «Wielkim Czwartku».

W «Wielkim Czwartku» nakreślił Syrokomla opowiadanie z życia ludu wiejskiego. Ale historia to jakaś dziwna, a brak jej tej naturalności, jaką widzieliśmy w poprzednich utworach. Bo posłuchajcie, kochani czytelnicy, jak się miała sprawa.

W wielki czwartek, tuż przed Wielkanocą, gromadzi się w wiejskim kościółku mnóstwo pobożnego ludu, który pragnie oczyścić się przed kapłanem z grzechów. Pomędzy innymi przychodzi do spowiedzi młoda, piękna dziewczyna; ale gdy wszyscy spowiadali się bardzo krótko, ona klęczy przed księdzem przeszło godzinę i wreszcie, jak widzą wszyscy, odchodzi bez rozgrzeszenia. To samo spotyka starca, który przyszedł tuż po niej: i on spowiada się tak długo, i on także nie otrzymuje odpuszczenia grzechów. Po modlitwie opuszczają oboje kościół i, każde z osobna, dążą w pole, gdzie wznosi się niewielka, świeża jeszcze mogiła; kryje ona zwłoki młodzieńca, którego dzieje w ten sposób opowiada poeta:

Był to syn biednej wdowy na zagrodzie,
Która już także w Bogu odpoczywa;

Skladał piosenki bywało we żniwa,
Zimą na skrzypcach wygrywał w gospodzie;
Na wszystkich ludzi poglądał surowie,
Chociaż rad bywał w każdym wiejskim tłumie;
O dziwnych dumkach, co snuł w swojej głowie,
Gada, bywało, — a nikt nie rozumie.
Na rok przed śmiercią zamilknął jak ściana,
Jak nawiedzony, dotknięty niemową;
Potem do ludzi zbliżał się na nowo,
I pijał z ludźmi od nocy do rana;
A gdy w gospodzie nie było nikogo,
Pijał sam jeden bez końca i miary;
Snuł się po polach niedeptaną drogą,
Szedł w dzikie lasy, w niedostępne mszary,
I śpiewał pieśni usiadłszy przy sośnie,
Rad, że mu echo odhuka donośnie.
Tak przez półroczce, czy coś więcej pono,
Pijąc i piejąc o swojej niedoli,
Głowę przez trunek i pieśń odurzoną
Cisnął rękami, wołał, że go boli,
Że serce boli, że puls coraz prędszy,
Że z piersi oddech wybucha gorętszy.
Chciano go leczyć — uciekł od lekarzy,
Mówiąc, że żaden ulgi nie przyniesie,
Że mu najlepiej, gdy błąka się w lesie,
Kiedy się w dumkach i pieśniach rozmarzy
O lepszym świecie, gdzie kmiotkowie sami,
Gdzie ani dworu ni gospody niema,
Gdzie młode dziewczę nie igra sercami,
Przysięgnie miłość i pewnie dotrzyma.
— «Tam mi pozwólcie abym pędził życie!
«Puście mnie!» — wołał w szalonym oblędzie —
«Tam złożę piosnkę — otóż obaczycie,
«Że jeszcze takiej nie było... nie będzie!»
I znowu bredząc widział wielkie mary,
I znowu światu złorzeczył boleśnie;
Przeklinał trunek, pijąc go bez miary,

Przeklinał pieśnię, układając pieśnię.
W końcu w obłędach i sam się tak mami,
Że i przeklinał i gadał pieśniami.
Niektóre z piosnek chwyciły dziewczęta
I dzisiaj pieją w sianokos lub żniwo;
Insze tak mądre, że czart nie spamięta,
Głosiły dolę w przyszłości szczęśliwą:
O złotych pługach, pod którymi trawa
Zaraz w wysokie przeradza się zboże;
O wielkich sercach, z których kropla krwawa
Całe stulecia uszczęśliwiać może;
O wielkich pieśniach — i znów mu się kręci
Taniec w gospodzie i uśmiech dziewczęci.
A czasem w lesie rękami wpół chwyta
Brzózkę, jedlinę, albo głogu ciernie,
I nawpół z płaczem, wpół z uśmiechem pyta:
— «Czy będziesz kochać — ale kochać wiernie?»
Nareszcie żadnych przedłożeń nie słucha,
Nie nie pił — nie jadł — i pobledniał srodze,
I tu na piasku przy ustronnej drodze
Oddał nieszczęsny Panu Bogu ducha.
Nieprędko biednych poszukali szczętów,
A gdy znaleźli gdzie syn leży wdowi,
Tutaj mogiłę wryli trupowi,
Bo bez Najświętszych umarł Sakramentów.

Tę tajemniczą historję zmarłego wytlómaczą nam starzec i dziewczyna, którzy zeszli się przy jego mogile. Naprzód obwiniają się nawzajem o to, że na nich spada wina śmierci biednego młodzieńca, a potem opowiadają sobie, o ile oni do niej się przyczynili. Dziewczyna mówi pierwsza, że zmarłego kochała serdecznie za jego piosnki i za to, że był innym jakimś, poważniejszym, niż wszyscy znani jej chłopcy. I on ją kochał bardzo — więc mieli się po-

brać. Ale że ubodzy byli oboje, więc Szymon postanowił wziąć skrzyпки i ruszyć w świat, aby piosenkami zarobić na zapowiedzi i na wesele. Tymczasem dziewczynie smutno było samej, to też garnęła się do przyjaciółek, a gdy się nadarzyła sposobność, nie gardziła też tańcem z parobczakami, bo w ten sposób skracala sobie czas, jaki ją dzielił od powrotu Szymona. Pewnego wieczora, kiedy w gospodzie tańczyła w najlepsze z najpiękniejszym chłopcem z wioski, wszedł Szymon i niepoznany przez nikogo. siedział za stołem, przypatrując się swej narzeczonej. Widząc, jak swobodnie i wesolo tańczy z drugim, pomyślał, że przestała go już kochać, a ta myśl tak go przejęła, że upadł zemdlony. Zaczęto go cucić, ale gdy dziewczyna witała go serdecznie, on ją odepchnął i wyszedł. Odtąd uciekał od niej i nie pozwolił jej wytlómaczyć się z postępuku.

Teraz zaczyna swe opowiadanie stary Taras. I on ma Szymona na sumieniu, bo i on przyczynił się do jego śmierci; gdy bowiem zbolaly młodzieniec przybył do niego i zwierzył się mu ze swoim cierpieniem, on namówił go, aby w trunku szukał pociechy na niewierność dziewczyny. Początkowo wzbierał się Szymon, ale gdy wreszcie na usilne nalegania Tarasa napił się miodu, poczuł gwałtowny pociąg do trunku i odtąd pił coraz więcej, aż go wreszcie ten nałóg pozbawił zmysłów i w młodym wieku wtrącił do grobu.

Taras więc i Marta plakali na grobie biednego Szymona, bo ksiądz kazal im umartwiać się i poku-

tować, a dopiero w dzień Zaduszny wolno im będzie wypowiadać się znowu i oczyścić z grzechu.

Ciekawem i jakimś dziwnie bolesnem jest zakończenie tego utworu:

Och! gdyby życie było poematem,
Jakżebym pięknie skończył moją powieść!
Że Szymon wskrzesnął, aby szczerze dowieść,
Że się pojednał z ludzkością i światem;
A przebaczywszy, że cierpiał tak wiele,
Już swojej Marcie dałby rękę czułą;
Pleban te ręce powiązałby stulą,
Taras ze skrzypką przyszedł na wesele...
Lub coś rzewnego obmyśliwszy raczej,
Skreśliłbym obraz w całej pędzla sile:
Że Marta długo płacząc na mogile,
Jednego ranka umarła z rozpaczy...

Ale ja prawdzie muszę być posłuszny,
Muszę być wierny i w miejscu i w czasie.
Więc za półrocze przyszedł dzień zaduszny,
Ksiądz widział skruchę w Marcie i Tarasie,
Dał rozgrzeszenie ze szczerego łona;
Więc otrzymawszy miłosierdzie Nieba
Czuli, że życiu wypłacić coś trzeba,
I zaniechali mogiły Szymona.

Wiatr rozwał piaski — i zielsko porosło,
Po zgniłych kościach opląta się żmija...
Taras odnowił pieśniarza rzemiosło,
Siedzi w gospodzie i miodek popija,
A co sam lubi, to i drugim radzi,
Że na frasunek trunek nie zawadzi.

Po dniach pokuty i ciężkiej spowiedzi
Marta znów w tańcu wodziła orszaki.
Zjawił się chłopak — już nie wiem, kto taki —
Prosił o rękę, dał na zapowiedzi;
Więc poszła za mąż — i co idzie za tem
Pan Bóg dał dzieci, gospodarkę, zboże,

Wszystko, jak trzeba... O Boże mój, Boże!
Czemu to życie nie jest poematem?

Chociaż niektóre ustępy «Wielkiego Czwartku» są bardzo ładne, całość nie robi jednak wielkiego wrażenia, bo opowiadanie całe jest trochę nienaturalne. Jak dziwnem jest naprzykład, że to całe straszne zdarzenie polega tylko na omyłce! Czyż nikt nie mógł wytłómaczyć biednemu Szymonowi, że Marta go kocha i że tylko dla skrócenia oczekiwania tańczyła z drugimi? A gdyby się to było stało, nie byłby Szymon potrzebował szukać pociechy w kieliszku i wszystko byłoby dobrze.

O wiele wyżej od tego utworu stoi «Janko Cmentarnik», prześliczna opowieść ludowa, osnuta na tych samych czasach, które znamy wszyscy tak wybornie z «Pana Tadeusza» Mickiewicza.

«Janko Cmentarnik» to nie zdarzenie rzeczywiste, ale wysnute w wyobraźni poety z rozmyślań o dawnych czasach i z porównywania ich z dzisiejszymi. Wprawdzie czytamy we wstępie, że Syrokomla tę powiastkę «zasłyszał z ludzkiej pogłoski», ale gdyby nawet tak było, nie zmienia to sprawy. W tym prześlicznym poemaciku właściwą treścią są nie tyle przygody Janka, ile raczej te rzewne opisy jego tęsknoty, które naturalnie tylko z duszy poety mogły wypłynąć. Główna myśl tego utworu zawiera się już w małej przygrywce, umieszczonej jako wstęp:

W naszej wiosce za mych latek,
Inszy bywał ruch:
I wesele i dostatek,

Każde dziewczę gdyby kwiatek,
Każdy chłopiec zuch!

Dziś na rozum ludzie biorą,
Ale idzie coś niesporo —
Insze czasy masz!
Szarem kwieciem łąka kwitnie,
Pokarłały kłosa żytnie,
Zbladła ludziom twarz!

Czy w jesieni, czy to w wiosnie,
Były piękne dni;
Czy pracujem — serce rośnie,
Czy się bawim — to rozgłośnie,
Aż gospoda drży!

Dzisiaj ludzie już nie tacy
I do czarki i do pracy —
Wiem ich siłę, wiem!
A ojcowie dzielni, starzy
Spoczywają u cmentarzy
Wiekuiстым snem!

Pójdę do nich; na mogile
Będę płakać rad;
Do nich miodu dzban wychyle,
I pogwarzę słodko, mile,
Z ludźmi dawnych lat.

Jest to piosenka, jak gdyby nucona przez samego Janka, a myśl jej, że czasy się bardzo zmieniły, że dziś ludzie nie są już ani tacy dobrzy, ani tacy dzielni, jak niegdyś. Więc poeta wyobraża sobie, jakie uczucie musiałoby ogarnąć człowieka, który żył dawniej, z naszymi ojcami jeszcze, i któryby

wrócił po długiej nieobecności do swej wioski rodzinnej. Z pewnością wydawaloby mu się wszystko obcem, nieznanem i pozostawaloby mu chyba pójść na groby umarłych, bo z żywych niktby go nie rozumiał.

Taką ogólną myśl przedstawia nam Syrokomla w swem opowiadaniu. Bohaterem jego jest młody, dzielny wieśniak, którego tak opisuje:

Przed pięćdziesięciu czy więcej laty,¹⁾
Żył w jednej wiosce młodzian bogaty,
Hoży, wesoly — jeden z tych ludzi,
Którego serca nic nie wystudzi,
Co go nie stworzył Bóg na pieszczocha,
Co kiedy kocha, to szczerze kocha,
Co to do pracy rwie się ochotnie,
Co to przy pługu z rozkoszą potnie,
A kiedy hula, to z całej duszy,
Którego serce wszystko poruszy,
Co gotów stawić we dnie i w nocy
Pierś do uścisku, dłoń do pomocy.
Więc wszyscy brata widzieli w Janku;
A on zajęty był bez ustanku,
Temu, owemu, czy to, czy owo,
Jakaś gromadzką sprawą wioskową.
Kochał swą wioskę, chlubił się wioską,
Kochał rodziców duszą synowską,
Kochał swe pola i sianożęci,
Kochał rzeczutkę, co tam się kręci,
Kochał swe lasy i dymy chatnie,
Dla parobczaków miał serce bratnie,
Kochał na zabój dziewczęta młode,
Kochał kaplicę, cmentarz, gospodę.

¹⁾ Syrokomla pisał to w r. 1858, dziś więc oddziela nas od czasów, w których żył Janek, przeszło dziewięćdziesiąt lat.

I z tą miłością rodzonej ziemi,
Dobrze mu było między swojemi:
Bo jakoś zawždy na sercu gracko,
Dole, niedole dzieląc gromadzką;
Żyć ze wszystkimi, czuć bratnią spójnię,
To jakoś serce bije podwójnie.
Bywało we wsi śmierć kogoś bierze —
Janko jak dziecko splacze się szczerze,
W obcym człowieku, co zszedł ze świata,
Jakby utracił ojca czy brata;
On dół wykopie, trumnę wyciosa,
Żalobną pieśnią grzmi pod niebiosa,
A jeśli krewni nie dość bogaci,
Jeszcze bywało za pogrzeb płaci.
Za to, gdy we wsi jakaś hulanka,
Za siódmą górą posłyszysz Janka:
To hucznie śpiewa, to w taniec ruszy,
Gromadzka radość tak mu do duszy.
On na weselach za drużbę stanie,
On pierwszy oracz na dworskim łanie,
Przodowy kosarz na sianożęci,
Nigdy mu nie brak siły i chęci.
No! a na świecie różnie się plecie:
Czasem do bitki przychodzi w lecie,
Zwłaszcza — że wioska ustronna, mała,
Na spornych gruntach jakoś leżała.
Więc cudzopaniec, w dogodnej porze,
Łąki przekosi, grunta przeorze,
Wpuści dobytek w niwę wioskową:
Groźba za groźbę, słowo za słowo,
Krzywda widoczna, a sprawa prędką,
To się i pobić przychodzi chętką.
No! różnie bywa — którejs niedzieli,
Ten się podchmieli, drugi podchmieli,
Słówko za słówko, krew silniej bije,
Jakoś przychodzi grzmotnia na kije;
A drugi siedząc, niedługo duma,

Żal mu sąsiada, żal pana kuma,
Więc do pomocy! i z drugiej strony
Znowu się zjawi gość nieproszony,
I dwie gromadki starym zwyczajem
Gdzieś przy gospodzie grzmocą się wzajem.

Na taką grzmotnię, w lichej godzinie,
Niechno się tylko Janek nawinie,
I rzutem oka niechno wybada,
Że tam chcą skrzywdzić jego sąsiada:
To własne życie już mu nie w cenie,
Choć na dziesięciu wpada szalenie,
A słabej stronie dając pomoce,
Potężną ręką jak cepem grzmoce,
I póty grzmoce dalej a dalej,
Aż przeciwników z nóg nie obali:
Piersi do piersi, a ramię w ramię,
Aż nim ich kije w trzaski połamie.
Słowem, czy w zgodzie, czy to we zwadzie,
Janek był pierwszy w całej gromadzie.

I dobrze było Jankowi w rodzinnej wiosce, którą kochał nadewszystko, i w której jego kochano — ale niedługo miał w niej przebywać. Pan upodobał go sobie i wziął go ze sobą, jako hajduka, aż w góry Karpackie. Na dworze pańskim nie było Jankowi źle: miał ładnego konika, strzelbę, ubiór jego lśnił się od złotych i srebrnych wyszywek, pracy miał bardzo mało, a wszyscy lubili go bardzo. I pędziłby nader wesole życie, gdyby nie ciągła tęsknota za rodzinną wioską. Więc w wolnych chwilach rozmyślał o tem, coby też powiedzieli jego rodzice i znajomi, gdyby go zobaczyli tak wystrojonego! jakby mu tam wszyscy zazdrościli pięknego strzeleckiego ubioru, z jakim podziwem spoglądałyby na niego

dziewczęta! To znowu przychodziło mu do głowy, że może wydawałby się im obcym w takim stroju, może nie lgnęliby do niego tak, jak dawniej — i pod wpływem takich myśli chciałby się być wyrzec wszystkiego, ubrać się w zwykłą sukmanę i choćby na skrzydłach polecieć do swoich.

Różni są ludzie na świecie. Jedni, dostawszy się w obce strony, przyzwyczajają się do nich prędko i łatwo, bo dla nich ojczyzna jest wszędzie tam, gdzie im dobrze. Drudzy, zmuszeni przebywać na obczyźnie, tęsknią z początku do swoich pól i lasów, do swej rodziny, lecz później przyzwyczajają się z wolna do nowego życia i zapominają o tęsknocie. Ale są ludzie, którzy nie mogą żyć bez ojczyzny, którzy wolą słomiane strzechy swej wioski od wspaniałych pałaców, i tysiąc razy woleliby być w nędzy razem ze swoimi, niż w dostatkach i w szczęściu pośród obcych. Do nich należał Janek. Tęsknota za krajem rodzinnym, za swoimi, opanowała wszystkie jego myśli, wszystkie uczucia i nie dawała mu chwili spokoju.

A były to właśnie czasy ciągłych a krwawych wojen w całej Europie. Cesarz francuski Napoleon, jeden z największych wojowników, jacy byli na świecie, pokonał po kolei wszystkich swoich przeciwników, odnosił zwycięstwa jedno po drugim, i to nie tylko w Europie, ale i w Afryce i Azji. Na tego mocarza patrzyli Polacy najpierw z podziwem, potem z uwielbieniem, a w sercach ich odżyła nadzieja odzyskania utraconej niepodległości. Zdawało im się, że Napoleon z łatwością odbuduje Polskę, że poko-

nawszy wszystkie narody Europy, pokona jeszcze i Moskali — a wtedy dlaczegoż nie miałyby wrócić Polakom wydartej im Ojczyzny? Trzeba więc tylko przysłużyć się czemś Napoleonowi, pokazać mu, że jesteśmy narodem dzielnym i silnym, że choć nas chciano żywcem pogrzebać, my jednak żyjemy jeszcze, a wtedy on z pewnością nie odwróci się od nas i pomoże w ciężkiej niedoli. W tej myśli zaczęto zbierać oddziały wojsk, które pod nazwą legionów z generałem Dąbrowskim na czele walczyły przy boku Napoleona w wielu, wielu bitwach, ożywione nadzieją, że wkrótce potem «przejdą Wisłę, przejdą Wartę», i zawitają znowu do wolnej już Ojczyzny.

Na wiadomość o tworzeniu się legionów zaczęła młodzież polska przekradać się przez granicę, aby zaciągnąć się w szeregi i przy boku Napoleona walczyć za sprawę ojczystą. I pan Janka nie pozostał w domu: uzbroił swych hajduków i strzelców, dał im mundury i wraz z nimi podążył do bratnich szeregów. Stało się to tak nagle, że Janek nie mógł nawet myśleć o odwiedzeniu rodzinnej wioski i pożegnaniu rodziców.

Ilu doznał przygód, jakie kraje zwiedził przy boku swego pana, trudnoby było opowiedzieć. Walczył w Niemczech, we Włoszech, w Hiszpanii, był w tej sławnej bitwie pod Somo-Sierą, gdzie ułani polscy zdobyli na Hiszpanach wąż, którego całe wojsko cesarskie zdobyć nie mogło — a wszędzie walczył tak dzielnie, że wodzowie oddawali mu wielkie pochwały i odznaczyli krzyżem zasługi. W jednej bitwie otrzymał ciężką ranę w czoło, ale wyleczył

się i znowu wrócił w szeregi. Lecz wszystkie nagrody i pochwały wodzów, wszystkie piękności i bogactwa, które oglądał w obcych krajach, nie mogły zapewnić Jankowi szczęścia i spokoju. Nieraz w obozie, gdy jego towarzysze spali spokojnie lub zabawiali się,

On o swej wiosce śni całe noce,
W brzękocie bębnow, wśród trąb zgrzytania,
Wiejski się obraz przed nim odsłania:
Słyszy kościelny dzwonek cichutki,
Słyszy skowronka piosnkę pobudki;
Słyszy, jak rybka pluska się w wodzie,
Słyszy strojenie skrzypiec w gospodzie;
Spi na biwaku, na cudzej ziemi,
A dusza jego hula ze swemi!
Powiecie może: to rzecz wiadoma,
Janek zostawił kochankę doma.
Nie! jeszcze serce było swoboda;
Opuścił wioskę zanadto młodo,
A w cudzych wioskach — pożał się Boże,
Czyż piękne dziewczę zrodzić się może?
On lubił na wsi orszak dziewczęcy,
Ale nie kochał żadnej goręcej.
Kochanka jego — to wcale inna,
Ona się zowie: wioska rodzinna,
Ze swem powietrzem, ze swoją wodą,
Z ludźmi, z kaplicą, z lasem, z gospoda,
Z wieczornicami i doświtkami,
Ze swoim niebem, swemi chmurami.

Wreszcie po pięciu latach takiej tulaczki, w roku 1812. nastąpiła chwila, która miała spełnić marzenia Polaków: cesarz Napoleon rozpoczął wojnę z Moskalami i z ogromnem wojskiem szedł szukać ich we własnym ich kraju. Janka opanowała radość, bo spo-

dziewał się, że przechodząc przez Litwę wraz z wojskami cesarza, ujrzy swą wioskę i swoją rodzinę, do której tak bardzo tęsknił. A kiedy znalazł się już w Polsce, kiedy zbliżano się coraz bardziej do jego stron rodzinnych, Janek nie mógł już wytrzymać w szeregach; czasem przychodziła mu myśl opuścić wojsko, wyprzedzić je, pospieszyć do domu, a nacieszywszy się nim, powrócić znowu w szeregi — ale gdyby go schwytano, czekałaby go za to kara śmierci, a on w tej chwili nie mógłby umrzeć spokojnie:

- «Umrzeć w tej chwili!... Boże, mój Boże!
- «Kiedy już czuję rodzinną ścianę!
- «O nie! w szeregu lepiej zostanę!
- «Tak każe dola, poddam się doli..
- «Tylko że oni idą powoli,
- «Noga za nogą za przednią strażą...
- «Czemu im prędzej ruszyć nie każą?»...

Tymczasem nadzieje zawiodły go: jego oddział poszedł inną stroną i Janek nie zobaczywszy swej ukochanej wioski, pociągnął z wojskami na Moskwę. Ale gdy po kilku krwawych, zwyciężkich bitwach doszli wreszcie do tego ogromnego miasta, wtedy Moskale sami podpalili je w kilkunastu miejscach i zamienili w kupę gruzów.

Położenie wojska Napoleona było teraz straszne: zmęczone ogromną drogą, wycieńczone bitwami, znalazło się bez przytułku, bez dachu nad głową w czasie mroźnej nadzwyczaj zimy, która tam jest o wiele ostrzejszą niż u nas. Trzeba więc było wracać z powrotem, walcząc z zimnem i głodem i broniąc się



Tylko zawołal: «Boże mój Boże,
«Bądź wola Twoja zawsze i wszędzie! (str. 156).

od Moskali, którzy za wojskami szli tuż w tropy, jak wilki, nie dając im chwili wytchnienia.

Ale jeżeli los wszystkich Polaków walczących przy Napoleonie był wtedy straszny, to Jankowi gorzej jeszcze było niż innym; pan jego bowiem stracił w bitwie pod Moskwą obie ręce, które mu kula armatnia urwała, a Janek, jedyny już z jego domowników — bo inni zginęli — musiał myśleć o nim i o sobie. Najpierw czuwał nad nim prawie pół roku w szpitalu, później zaś, gdy kalece wróciło trochę zdrowia, musiał z nim uciekać jak najprędzej, bo już Moskale szukali za nimi. I znowu przechodził Janek koło wioski rodzinnej, lecz znowu nie mógł do niej wstąpić, bo pogoń moskiewska była tuż, tuż za nimi. Więc tylko od jakiegoś wieśniaka dowiedział się, że jego ojciec już w grobie, a matka leży chora, że Moskale spalili kilka chat i że stara dzwonnica, którą znał tak dobrze w młodości, już runęła. Z ciężkiem sercem musiał Janek uciekać:

Tylko zawołał: «Boże mój Boże,
 «Bądź wola twoja zawsze i wszędzie!
 «A ja mówiłem, że już tak będzie!
 «Ojciec nie żyje, a matka kona —
 «Już wioska dla mnie jakby stracona!...
 «Och! gdyby do niej choć na godzinę,
 «Błogosławieństwo przyjąć matczyne,
 «Widzieć grób ojca, znajome lice,
 «I rumowisko starcej dzwonnice!
 «Lecz niema czasu!» — Ruszyli dalej;
 Pan słabnie w drodze; już pogoń wali.

Wreszcie po wielu wysiłkach przybył Janek z nie-
 szczęśliwym swym panem do dworu jego w Karpatach.

Ale tu nie było już tak gwarno i wesoło, jak niegdyś; panowały tu pustki i milczenie, z dawnej służby nie było już nikogo i tylko Janek sam musiał pielegnować biednego kalekę. Smutne życie uprzyjemniali sobie pogadankami i wspomnieniami lepszych czasów i tych tak wielu przygód, jakich wspólnie doznali. A biedny Janek ciągle tęsknił do domu rodzinnego:

Janek, jak zawsze, do swej ustroni
Tęskni kryjomu i lezki roni;
Ale powracać? pożał się Boże,
Wbijając do serca kolce i noże!
Zresztą i tutaj taka odmiana:
Grzechby odstąpić chorego pana;
I on do Janka przywyknął szczerze,
Z niczyjej ręki jadła nie bierze,
Jeno z Jankowej — szkoda go, szkoda!
Któż go nakarmi? kto napój poda?
Kto mu obetrze pot z jego twarzy?
Kto mu o sławnych bitwach pogwarzy?
Leżąc jak Łazarz w łożu boleści,
Pan długo konał — bo lat trzydzieści.
Przez lat trzydzieści, aż do ostatka,
Jako piastunka, jak własna matka,
Janek pilnował łoża choroby
I przemyślał ulgi sposoby;
Karmił jak dziecko, bawił jak dziecko,
I już pokochał nad wszystko w świecie,
Nad własne życie, a nawet pono
Nad swoją wioskę — wioskę rodzoną!
Bo tam we wiosce niema już domu,
Tam niepotrzebny na nic, nikomu;
A tu, gdzie cierpiał wódz jego stary,
Przykuł go święty łańcuch ofiary:
Z razu — z łańcuchem przykro mu było,

Potem przyrosnął, a z taką siłą,
Że się ofiara stała nałogiem,
Stała miłości zachceniem drogiem,

Tak się zjednoczył duchem najściślej,
Że umiał zgadnąć, co pan pomyśli;
Sercem zgadywał, choć bez lekarza,
Czy się ból zmniejsza albo pomnaża,
Czy pan zasypia lub się ocyka.
Och! to nie zwykły hold niewolnika!
Bo ci niewolnik na twarz upadnie,
Każdy kapryśny grymas odgadnie,
Przyzna nałogi w latach niewoli;
Ale nie zganie, co ciebie boli,
Ani przepowie w długiej chorobie,
Czy będzie lepiej, czy gorzej tobie?
Co ból uśmierzy albo rozdrażni?
Och! dla miłości i dla przyjaźni
Nie korca soli, nie beczki chleba,
Ale cierpienia na próbę trzeba!
Kto bolał z tobą, albo nad tobą,
Jużbyś go krzywdził przyjaźni próbą;
Zawierz mu śmiało życie i zdrowie:
On twój na wieki bezwarunkowie!

Na takim życiu upłynęły długie lata i Janek zestarzał się już, kiedy pan jego życie zakończył. Zdawałoby się, że on tej chwili czekał z radością i upragnieniem, że cieszył się, iż wreszcie jest wolnym i może spełnić swoje dawne zamiary, uśmierzyć długą tęsknotę: ale on tak się już przywiązał do swego biednego pana, że po jego śmierci ciężko zaniemógł i już zdawało się, że dostanie pomieszania zmysłów. Ale myśl o wiosce rodzinnej powróciła mu

zdrowie, a on z nikim się nie pożegnawszy, puścił się w podróż do rodzinnego domu.

Na widok wsi, w której się wychował, ogarnęło Janka takie wzruszenie, że aż na ziemię upadł i skrapiał ją łzami rzewnemi. Ale w niej nie wszystko było takim, jak za młodych jego lat: wielu dawnych chat nie mógł już odszukać, wiele widział nowych, świeżo dopiero zbudowanych. Chciał corychlej powitać znajomych, więc, że to była niedziela, poszedł szybko do gospody, gdzie zwykle wieś cała się zbierała na pogawędkę.

Wszedł do gospody; — tam, jak w niedzielę,
Już się zebrało narodu wiele:

— «Dziewczeta, chłopcy... czy mi się marzy?

«Tu ani jednej znajomej twarzy!...

«Dobrzy wy ludzie! (spyta nieśmiało)

«Czy wy tutejsi? czy mi się zdało?

«Czy jestem we śnie?» —

«A wać kto taki?»

Poczęli pytać wiejskie chłopaki.

— «Jam Janko Skiba — czy mię nie znacie?

«Mieszkałem kiedyś w końcowej chacie...

«Gdzież moja chata?»

— «Tyś piany chyba:

«W tej wiosce żaden nie mieszkał Skiba».

— «Jako nie mieszkał? — drugi odpowie —

«Słyszę, tu żyli dawniej Skibowie,

«Ale wymarli — pewnie ich niwa,

«Co Skibowszczyzna dziś się nazywa;

«Tam pustoszą dworna».

«— Gdzież Szymon Żłoba?»

— «Ten dawno umarł; synowie oba

«Żyją przy studni, tam w nowej chacie,

«Otóż i oni, jeżeli znacie».

— «Nie znam tych twarzy!... a Piotr Siekiera?»

— «Ten jeszcze żyje, ale umiera:

«Starość nie radość, a śmierć na dziady!»

— «On był najmłodszy z naszej gromady,

«Lubił tańcować!» —

Tu śmiech bez miary!

— «Co się wam święci, żołnierzu stary?

«Toż on, już pewno dziesięć lat minie,

«Chodzi na szczudłach po żebraniu!»

Janek umilknął, — z pochmurnem czołem,

Kazał dać kwartę, zasiadł za stołem,

I jak swych braci dobrze pamięta,

Pytał o chłopców i o dziewczęta.

Za każdym razem śmiech bez ustanku:

Bo tamci ludzie, rówieśni Janku,

Jedni pomarli, drudzy stąd wyszli,

Nowej gromadzie już ani w myśli,

A z tantych dziewcząt gromady całej

Dwie stare babki ledwie zostały.

Janek już nie śmie pytać o więcej:

Krew w jego piersiach bije goręcej;

Wychyli czarę i gorzko duma:

Tu każdy brata, każdy ma kuma,

A on nikogo znaleźć nie może!

«Oj, życie, życie! pożał się Boże!»

Wtem jeden wieśniak, człek już niemłody,

Przyszedł ku niemu z końca gospody:

— «Panie żołnierzu! tutaj przy kwarcie,

«Muszę pomówić z wami otwarcie:

«Czy wy doprawdy tę wioskę znacie?

«Czy, jak to mówią, drogi pytacie?

«Lecz, jak uważam, znana wam strona,

«Znacie nazwiska, znacie imiona.

«Czy wy ze Skibów który jesteście?

«Czy dawno z wioski?»

— «Już lat czterdzieści».

Tu młodzież znowu śmiechem wybucha:

— «A w Imię Ojca, Syna i Ducha!
«Szalony człowiek! jemu się zdało,
«Że znajdzie swoją gromadę całą!
«Piotr żebrak skacze ze starą Martą!
«A dalipanże, popatrzeć warto!
«Marta jedyna dzisiaj do płasza!»

Tu stary Janek pokręcił węża,
Pogłaskał brodę, stuknął w stół lichey,
Że aż skoczyły na nim kielichy,
I krzyknął mężkim z Austerlitz głosem:
— «Wara mi bluźnić! jam nie młokosem!
«Na gorzkie jabłko pogrzmotam plecy,
«Kto szydzi z Piotra — to wy kalecy!
«On (jeśli wierzyć) na nogę chromie;
«U was kalectwo znacznie widomie,
«Kalectwo w głowach!... Kto bluźni Marcie,
«To go na rękę wyzwę otwarcie!
«To było dziewczę cnotliwe, piękne!
«Kto mi zaprzeczy, nie się nie zlekne,
«Zbiję dziesięciu!»...

Młodzież pobladała.

— «To jakaś sztuka srodze zajadła!»
Pomruknął jeden — a drugi doda:
— «Uważasz kumie! to krew nie woda!
«On tak dowodzi — i prawda może,
«Że stara Marta, to dziewczę hoże,
«Niech i tak będzie, jeśli wypada»...

Kiedy tak z cicha szepce gromada,
Janek lżę otarł, co w oczach świeci,
Wychylił czarke:

— «Dzieci wy, dzieci!

«Nie znam was wcale, bo wy nie moi.
«Ta wioska dzisiaj inaczej stoi.
«Z waszemi dziady dobrze się znałem,
«Z waszemi ojcy pilem, hulałem —

«Ja do nich pójdę... Hej! kto chce złota?
«Komu na cmentarz służy ochota,
«Niech mi pokaże z odwiecznych śladów,
«Gdzie kości waszych ojców i dziadów!
«Do nich mi trzeba, do nich i kwita;
«Stary znajomy niech ich powita.
«Niechaj w ich uszach głos mój zadzwoni —
«A Janka Skibę poznają oni!
«Do nich mi jeszcze przepić potrzeba.
«Hej, gospodarzu! Daj miodu, chleba...
«Chleba i soli, tak zwyczaj każe,
«Że wszyscy nowych chat gospodarze
«Z chleba i soli podarek biorą...
«Jam tu do wioski przyszedł dopiero...
«A jeśli wszyscy życzliwi ku mnie
«Nowe mieszkania obrali w trumnie,
«Pójdę z podarkiem — będą mi radzi...
«Hej! kto na cmentarz mnie zaprowadzi?»

I dwa dukaty ze trzosa miota.
Żaden z gromady nie tknął się złota,
Lecz jeden z włości rzekł chyląc czarę:
— «Ja ci pokażę grobowce stare».
Janek kipiący i odmłodniały,
Wziął kufel miodu, kufel gorzały,
I z przewodnikiem, w znane rozdroże,
Na stary cmentarz spieszy jak może.

Tak więc zawiódł się Janek bardzo: jego przyjaciele i znajomi byli już w grobie i tylko dwóch starców i dwie staruszki pozostały przy życiu z tych wszystkich, których pamiętał chłopcami lub wesołemi dziewczętami. Ale gdy odwiedził ich w chatach i zobaczył, jak oni obojętnie na świat spoglądają, jak ich już nie wzruszyć nie może, żałował, że i ci nie umarli. Więc najał sobie chatkę i chodził codziennie na cmen-

tarz z flaszką miodu, a siadając na grobach dawnych przyjaciół przepijał do nich po kolei, przypominając sobie i im dawne czasy. Nazywano go wskutek tego «Jankiem Cmentarnikiem» i śmiano się z biednego człowieka. Aż razu jednego, w rok po śmierci pana, znaleziono Janka martwego u bramy cmentarza; trup jego zaciskał jeszcze silnie w ręku próżną flaszkę.

Pomiędzy «Jankiem Cmentarnikiem» a «Wielkim Czwartkiem» jest pewna łączność nie tylko myśli, ale i treści. I Szymon i Janek rozpijają się i potem giną wskutek nadmiernego użycia trunku, a obu ich przywodzi do tego rozpacz: Szymona oszukała kochanka — a przynajmniej on myśli, że go oszukała — Janek zawiódł się w swych oczekiwaniach, jakie pokładał we wsi rodzinnej. Ale kiedy Szymona nie bardzo żałujemy, bo nie rozumiemy, dlaczego nie chce się przekonać o zdradzie kochanki, lecz idzie za pierwszym popędem serca, to Janek jest postacią tak piękną, tak prawdziwą, że tylko boleć nad nim można. A przy całym jego nieszczęściu jest przecież los jego bodaj czy nie godzien zazdrości: oto on mógł nie tylko kochać swą rodzinną ziemię, ale co więcej, mógł tej miłości dowieść czynem, mógł krew swą przelewać za Ojczyznę i zasłaniać ją własną piersią przed wrogiem. On, ubogi wieśniak, sprawił przez swą uczciwość, dobroć i poczucie obowiązku, że bogaty pan przyciskał go do piersi, jak brata i uważał za najlepszego przyjaciela — a przecież to niemałe szczęście zasłużyć sobie na to wszystko! A koniec jego życia? Tak, ten był bardzo smutny. Oczekiwać przyjaznego przyjęcia, a spotkać się ze śmiechem i drwinami, roić o milej

pogawędce ze znajomymi, wzdychać do niej przez długi czas, a znaleźć zubożniałych na wszystko starców, którzy myślą tylko o dobrym śnie i zdrowym posiłku — to rzecz bardzo smutna. Ale czy w tem zakończeniu nie ukrył Syrokomla jakiejś głębszej myśli? Czy on przedstawiał tylko samego Janka, czy pod nim nie rozumiał czegoś innego jeszcze?

Zastanówmy się trochę nad tem. Przypomnijmy sobie, że Janek wszystko, co miał najdroższego, poświęcił dla Ojczyzny, że myślał zawsze tylko o Niej i o tem, jak Jej najlepiej służyć — a gdy wrócił do wsi rodzinnej, zastał tam ludzi, dla których to święte uczucie miłości kraju rodzinnego było obojętnem, prawie nieznanem. Ci ludzie, których on opuścił w swej młodości, a których wyobrażał sobie podobnych do siebie samego, myśleli tylko o własnych wygodach, o tem, żeby się dobrze najeść i napić, ale nie o Ojczyźnie. A gdy Janek chciał znaleźć kogoś, ktoby z nim pomówił o tym kraju, za który krew swoją przelewał, musiał iść na cmentarz i uczucia tego szukać między umarłymi.

Teraz zrozumiemy myśl, jaką Syrokomla chciał przedstawić w swej «gawędzie ludowej» i nie będziemy się śmiać z Janka, lecz może sami zawstydzimy się trochę. Bo cóżbyśmy mu powiedzieli, gdyby on przyszedł do nas na pogawędkę, gdyby przy nas chciał rozgrzać swe serce rozmową o tej kochanej naszej Ojczyźnie? Czy znalazłby u nas to uczucie, którego daremnie szukał u swoich dawnych towarzyszy, czy też musiałby uciekać od nas na cmentarz, aby gwarzyć chyba z przodkami naszymi?

Niech nam na to pytanie własne serca dadzą odpowiedź.

Tymczasem z biegiem lat kłopoty poety nietylko się nie zmniejszały, ale rosły ustawicznie. Już nieraz mówiliśmy o tem, że Syrokomla nie miał innych dochodów, oprócz tych, których mu dostarczały jego poezye i że z nich musiał utrzymywać całą rodzinę. Ale rodzina zwiększała się coraz bardziej; jedne dzieci wyrastały i trzeba było myśleć o ich wykształceniu, inne przybywały; rodzice, którzy przedtem pomagali poecie, teraz się już postarzelili tak, że sami potrzebowali pomocy — a na to wszystko trzeba było zarobić piórem. Więc też pracował biedny poeta, pracował z całych sił, prawie bez wytchnienia; ilość jego dzieł zwiększała się, ale wartość ich musiała się wskutek tej szybkości obniżyć.

Tymczasem sława jego rosła, imię jego powtarzano w całej Polsce z szacunkiem, prawie z uwielbieniem. Kiedy w sprawach osobistych przyjechał do Warszawy, gdzie mu znowu chciano powierzyć wydawanie jednego dziennika, cała ludność przyjmowała go z ogromnym zapalem. Na cześć jego urządzano wspaniałe uczyty, w teatrze przedstawiono jego dramat «Hrabia na Wątorach» i w czasie przedstawienia wywoływano go bez końca. Ale Syrokomla pomimo to nie chciał tu pozostać, choć go gwałtem prawie zatrzymywano, bo i w Warszawie nie dostrzegł tej prawdziwej miłości ojczyzny, która wypełniała całą jego duszę. Wrócił więc znowu do Borejkowszczyzny.

Ale i tu nie dawano mu spokoju. Goście zjeżdżali się do niego «siedem razy na tydzień», jak sam powiada, a ci, którzy się z nim widzieć nie mogli, zasypywali go prosto listami, na które musiał odpowiadać, co mu znowu wiele czasu zajmowało. Przez te częste stosunki z ludźmi znowu popadł w zniechęcenie i zwątpienie, jak niegdyś w Wilnie; pracował ciągle, ale już bez zapału, obojętnie, jakby z musu. Praca stała się dla niego prawie nałogiem, bez którego żyć nie mógł; w niej znajdował lekarstwo na utrapienia, których zawsze miał bardzo wiele, a że ludziom już nie ufał i nie chciał się spowiadać ze swoich uczuć, więc wszystkie bole swego znękanego serca powierzał swoim pieśniom. A pisał ich niezmiernie wiele, pisał o wszystkim i dla wszystkich, bo nigdy nie umiał odmówić nikomu. Korzystano też z tego, i wszyscy, którzy go znali choćby nawet bardzo krótko, prosili go o wiersze, odzierając go w ten sposób z tego jedyne go skarbu, jaki posiadał i często wyczerpywali jego natchnienie, którego potem nie stawało na utwory większe, ważniejsze.

Wreszcie Syrokomla postanowił zbliżyć się znowu do miasta, z którem wiązały go ustawiczne stosunki; myślał, że w ten sposób zyska na czasie, że będzie mógł lepiej i więcej pracować, jeżeli się pozbędzie tych ustawicznych gości, którzy mu nieraz dnie całe zabierali; w mieście takie odwiedziny musiały być krótsze. Zresztą miał wiele spraw, które trzeba było załatwiać na miejscu, a ciągle jeżdżenie zabierało mu wiele czasu, który dla niego był bardzo droгим. Więc w r. 1857 wynajął sobie na przedmie-

ściu Wilna, zwanem Popowszczyzną, mały domek i tam się sprowadził, zostawiwszy rodziców w Borej-kowszczyźnie.

Odtąd rozpoczynają się najboleńsze dla naszego poety chwile życia.

VI.

W Wilnie.

Sprowadzając się do stolicy Litwy myślał Syrokomla, że zyska więcej czasu, pozbędzie się zbyt długich odwiedzin i będzie mógł zupełnie i wyłącznie oddać się pracy. Zdawało mu się, że ustronie, które sobie obrał za mieszkanie, niemało się do tego powinno przyczynić. Jakoż było tam rzeczywiście cicho, ustronie i miło; z okna ubogiego domku rozciągał się szeroki widok na sławne lasy Ponarskie, po drugiej stronie wznosiła się góra Gedyminowa, a w środku widać było całe obszerne miasto, jakby na dłoni. Tuż za domkiem, w obrębie kilkumorgowego ogrodu poety, sterczała najwyższa na całą okolicę góra, z której można było objąć okiem ogromny kawał kraju — słowem było to miejsce, w którym łatwo było zapomnieć o wiejskich przyjemnościach i, jak sam Syrokomla powiada, «żyć tylko z Bogiem, książką i naturą».

Ale niestety, nadzieje zawiodły naszego poetę zupełnie. Plotki miejskie i obmowy nie dały mu zapomnieć, że żyje obok całego tłumu ludzi i dokuczyły mu do tego stopnia, iż zaczął stronić od znajomych,

niedowierzać im, kryć się przed nimi ze swemi myślami, a wreszcie nawet niecierpieć, Jakby na dobitkę stan zdrowia pogarszał się z każdym dniem: choroba piersiowa rozwijała się powoli, ale stale, a jedynym sposobem wyleczenia się był wyjazd do Włoch. Tymczasem o podróży nie można było nawet myśleć, bo poeta sam był na to za ubogi, a nikt się nie znalazł, ktoby mu dopomógł. To też życie «lirnika litewskiego» przemieniało się zwolna w pasmo samych cierpień i przykrości, pozbawione wszelkiej przyjemności, wszelkiej pociechy. «Co ja mam ciosów do zniesienia, boleści do odcierpienia, tortur prawdziwych na tym padole, trudno ci opisać — pisał sam do Kraszewskiego. — W chorem sercu, w zbolalej głowie taki bezład, że niepodobna mi nawet zażyć najskuteczniejszego na cierpienia ducha lekarstwa — pracy. Pióro z rąk wypada». A jednak, rzecz dziwna, nie tylko nie wypadło mu pióro z ręki, ale owszem pracowało więcej może, niż zwykle; w tym właśnie czasie powstał cały szereg utworów, pomiędzy którymi «Ułas» i dramat «Kasper Karliński» należą do najlepszych, jakie Syrokomla kiedykolwiek napisał. Zaprawdę, podziwiać trzeba tę niezwykłą siłę ducha, która nawet w tak niekorzystnych warunkach mogła tworzyć i to tworzyć rzeczy tak piękne!

Z tego czasu warto przytoczyć jeden drobny szczegół, który może nam określić położenie i warunki, wśród których żył nasz poeta.

W styczniu r. 1858 przedstawiono w teatrze wileńskim po raz pierwszy jego dramat p. t. «Kasper Karliński». Piękny ten utwór tak zachwycił publiczność,

że w niezwykłym uniesieniu wywoływano poetę kilkakrotnie, obsypywano go kwiatami i ofiarowywano wieńce laurowe. Zapal nie ustał i po przedstawieniu: do ubogiego domku poety znoszono ustawicznie kosze kwiatów, które wówczas, w porze styczniowej, placono po kilkadziesiąt złotych. Tymczasem w czasie tych uniesień publiczności w domu Syrokomli pawała najokropniejsza nędza... Księgarz, u którego drukowały się zwykle utwory «lirnika», odmówił mu pożyczki kilku złotych, potrzebnych na ugotowanie codziennej strawy, a żona uwielbianego przez całe miasto i obsypywanego drogimi kwiatami poety musiała u stróża domu, w którym mieszkali, pożyczyć trochę pieniędzy na zakupienie najniezbędniejszych środków do życia. Dopiero w kilka dni później przysłano Syrokomli z teatru pewną sumę pieniędzy, jako przypadającą na niego część dochodu z przedstawienia i w ten sposób uwolniono od straszego niedostatku.

Pomimo choroby wybrał się jednak nasz poeta w podróż do Krakowa i Poznania, aby oświeżyć skołatany umysł, odetchnąć trochę innem powietrzem i nabrać otuchy i ochoty do pracy. Wszędzie po drodze witano go serdecznie, z zapalem — ale on, zawsze bojaźliwy i nieśmiały, krył się i uciekał od ludzi. W Poznaniu np. przepędził kilka dni pokryjomu i dopiero ktoś przypadkiem go odszukał i zaprowadził do oczekujących go ziomków. Syrokomla nie lubił nigdy wielkich uczt i przyjęć, na które trzeba było chodzić w białych rękawiczkach, i nieraz uciekał między rzemieślników, bo tam, w ich towarzystwie, mógł być zupełnie szczerym i swobodnym i niczego się nie obawiać.

W ten sposób zwiedził nasz poeta znaczną część Polski — ale choć duch jego ożywił się nieco, choć miłość jego ku wszystkiemu co polskie wzrosła jeszcze więcej — o ile to było możliwe — ciało słabło coraz bardziej, choroba zwiększała się i ci, którzy byli bliżej Syrokomli, widzieli już jasno, że chwile jego życia są policzone, że zbliża się początek końca.

Tymczasem jakby na dowód, że poeta pomimo tak smutnego stanu zdrowia nie chce wypuścić pióra z ręki, wychodziły z druku jego utwory, jeden po drugim, a tak liczne i tak obszerne, jak nigdy przedtem. Więc naprzód napisane już dawniej «Stare Wrota», a potem «Królewscy lutniści», «Najmłodszy z Toporezyków», «Nocleg hetmański», «Starosta Kopanicki», «Sejm Lubelski», «Czarno i biało», «Stara Niwa», «Szkolne czasy Jana Dęboroga» i najpiękniejszy może ze wszystkich «Ulas». Oprócz tych utworów, które należą do uprawianego już dawniej przez Syrokomlę rodzaju gawędy lub powieści poetycznej, powstaje w tym czasie cały szereg komedyi i dramatów, przeznaczonych dla teatru wileńskiego.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że na tem polu nie czuł się «lirnik litewski» swobodnym, że pisanie dramatów nie szło mu tak łatwo i gładko, jak tworzenie gawęd lub wierszy lirycznych i że w dziale poezyi dramatycznej nie stworzył nic równie dobrego, jak «Jan Dęboróg», «Janko Cmentarnik», «Kęs chleba» lub «Ulas». Nic w tem dziwnego: dramat wymaga osobnych zdolności, których się tak często nie spotyka. Dostyc powiedzieć, że w całej naszej literaturze, tak bardzo bogatej w niezwykle piękności, jest zaledwie

kilka prawdziwie dobrych dramatów. Syrokomla wiedział to dobrze i czuł, że dramatu rzeczywiście dobrego nie potrafi napisać — dlaczegóż zatem je pisał? Oto dlatego, że teatr nasz przedstawiał prawie wyłącznie utwory zagraniczne, o treści obojętnej, a nie miał sztuk, któreby widzów nie tylko bawiły, ale i pouczały, przypominały ich obowiązki jako Polaków, wypleniały wady narodowe — jednym słowem utrzymywały i szerzyły miłość Ojczyzny. Było to zadanie ważne, bo za pomocą sceny teatralnej można było wiele dobrego zdziałać — więc Syrokomla postanowił spróbować sił swoich w tym kierunku, aby ten brak usunąć. W tej myśli napisał komedye «Hrabia na Wątorach» i «Wiejscy politycy» i dramaty: «Kasper Karliński», «Wyrok Jana Kazimierza» i «Możno władcy i sierota». W każdym z nich jest wyrażona jakaś zdrowa, piękna myśl, którą chciał szerzyć pośród rodaków, w każdej albo podaje wzór cnoty, godny naśladowania, albo wyśmiewa i wyszydza wady i przywary społeczeństwa. Jest to jeden jeszcze dowód, jak zacne i poczciwe serce biło w naszym pociu.

Przypatrzmy się teraz choćby niektórym tylko utworom Syrokomli z tego czasu, a zacznijmy od gawęd i powieści poetycznych.

«Stare Wrota» — to jedno z najpiękniejszych opowiadań Kondratowicza. Składa się ono z dwóch części, z których pierwsza opowiada dzieje starego, poczciwego Szeligi, druga zaś jego wyrodnego syna.

Szeliga pochodził z ubogiej szlacheckiej rodziny, która na Litwie posiadała maleńki dworek i kilka za-

ledwie morgów ziemi. Wysłany przez ojca na wojnę, aby swą pierśią zasłaniał Ojczyznę przed nieprzyjaciółmi, tak sobie upodobał rycerskie rzemiosło, że mu już w małym domku rodzicielskim było za ciasno i koniecznie pragnął dostać się na dwór pański. Nie pomogły prośby i przedstawienia ojca — Szeliga uparł się i bez ojcowskiego błogosławieństwa opuściwszy Litwę został dojeżdżaczem na dworze hetmańskim. Ale, jak powiadają, «laska pańska na pstrym koniu jeździ», więc i Szelidze nie zawsze się uśmiechało szczęście: za jakąś nieuwagę pan wypędził go ze służby, a że ojciec tymczasem już był umarł, więc Szeliga w biedzie i poniewierce błakał się długo po kraju, aż wreszcie został woźnicą przy stajni królewskiej. Tu przeznaczono go na usługi sławnego kaznodziei, księdza Piotra Skargi, który codziennie przybywał na dwór królewski, aby tam mszę św. odprawić lub króla wypowiadać.

Przez lat trzynaście woził Szeliga świętobliwego kapłana, dręcząc się myślą o żonie i synu, których pozostawił na Litwie bez opieki i środków do życia. Aż razu pewnego zachęcony przez Skargę opowiedział mu swe dzieje, a w końcu wypowiedział takie pragnienie:

- «Och! gdyby nieco grosza ku potrzebie,
- «Znów-by woźnica wskrzesnął na szlachcica.
- «Szedlbym na Litwę o żebranym chlebie, —
- «Tambym przebłagał mogiłę rodzica,
- «Wykupił dworek, com stracił z mej winy,
- «I zakopany w ustroniu dalekiem,
- «Kształciłbym syna pomiędzy Litwiny,
- «I tambym umarł niezależnym czlekiem!

- Dajcie mi, księżę, lekarstwo na ranę!
- Zedrzyjcie ze mnie złocistą sukmanę!
- Gdy znosić nędzę — niech tam znoszę nędzę!
- Niechaj odżyję przed zawarciem powiek!
- Z plugiem rolniczym i w szarej siermiędze
- Karczując grunta — przypomnę, żem człowiek!»

Litościwy Skarga spełnił prośbę biedaka: wyprosił mu u króla roczną pensję, którą mu z dochodu żup solnych w Wieliczce miano wypłacać, a która na nasze pieniądze wynosiłaby około trzysta złotych. Uszczęśliwiony Szeliga powrócił więc na Litwę, wykupił dworek ojcowski, odnowił go i prowadził w nim z całą rodziną szczęśliwy żywot ziemianina. Teraz zajął się przedewszystkiem wychowaniem syna, który był jego największą pociechą, posyłał go do szkół, a kiedy wyrósł na dzielnego młodzieńca, postanowił wysłać go na dwór księcia Radziwiłła, wojewody wileńskiego, aby pod jego rozkazami służył wojskowo na chwałę Ojczyzny.

Tymczasem świętobliwy ksiądz Skarga, będąc na Litwie, przypomniał sobie swego dawnego woźnicę, wypytał się o niego i zajechał do jego dworku. Uradowany Szeliga poprosił wtedy swego dobroczyńcę, aby zechciał pobłogosławić jego syna, który miał się właśnie udać na dwór hetmański. Daremnie ostrzegwał Skarga starca, że książe Radziwiłł żyje z królem w niezgodzie, że może na jego syna wyrzucić niedobry wpływ — Szeliga wierzył w poczciwe serce swego jedynaka i nie chciał nawet przypuścić, aby ktoś mógł go namówić do jakiegoś nieszlachetnego czynu. Skarga

dal się przekonać i w kościółku farnym poświęciwszy szablę młodego żołnierza, taką dał mu na drogę naukę:

- «Synu! w żołnierstwie najpierwsza otucha,
- «Pancerzem wiary gdy umocnisz ducha.
- «Siła złych rzeczy jest w sercu człowieczem,
- «Z temi walcz naprzód — niech zawždy ci będzie
- «Tarczą modlitwa, sprawiedliwość mieczem,
- «To chrześcijańskie bojowe narzędzie.
- «Na ten rysz tunek silnych bark potrzeba
- «I silnej ręki i woli nielada;
- «Lecz do tej zbroi znajdzie łaska Nieba:
- «Najwyższy Hetman — Chrystus ci ją wkłada.
- «Wtenczas ci tylko będzie siła dana,
- «Co nieprzyjaciół zgromi i popłoszy,
- «Jeżeli w sobie zwyciężysz szatana
- «Ducha zlej pomsty, łakomstwa, rozkoszy!
- «Nie zbierze łupów, kopije pokruszy
- «Ten, kogo szatan obedrze na duszy!
- «Nie stań się jako uliczni żołnierze,
- «Co jeno straszą bezbronych żelazem;
- «Lecz pod chorągwią i króla rozkazem
- «Idź wojny Pańskie odprawować szczerze,
- «Zostaw w pokoju, rycerski człowiecze,
- «Cichego ziomka, co siedzi w swej chacie:
- «Bóg będzie z wami, gdy gniewy i miecze
- «Na nieprzyjaciół Koronnych schowacie.
- «Sprawuj się doma, jako owca cicha,
- «W bitwie jak lwica, co męstwem oddycha!
- «Trudny twój zawód: nim z wrogiem się zetrze,
- «Już cię tysiące niewygód otoczy;
- «W głodzie, wśród deszczu i na zimnym wietrze,
- «We krwi i ranach ty miej duch ochoczy.
- «A nie śmiej w duszy ostudzać zapału,
- «Nie śmiej folgować nic swojemu ciału;
- «Bo ciało twoje — to jeno mur żywy,
- «Którym się grodzą macierzyste niwy.

«Pomnąc, że w tobie twych ojców otucha,
 «I miast i wiosek i świątyń Jehowy,
 «Idź w imię Ojca i Syna i Ducha,
 «Spraw się rycersko i powracaj zdrowy»,

Kiedy uradowani rodzice powrócili do domu, stary Szeliga poprosił jeszcze Skargę, aby raczył poświęcić jego ubogi domek. Skarga z chęcią spełnił tę prośbę, przybrał się w komżę i stulę i z modlitwą na ustach obszedł dom mieszkalny, stodołę, oborę i pola, kropiąc wodą święconą i błogosławiąc. Wracając zatrzymał się przed wrotami, prowadzącymi do dworku; były one duże, świeżo na sposób staroświecki zbudowane z dębowych belków, pokryte daszkiem słomianym i mocno okute żelazem. Skarga pokropił je, przeczytał modlitwę, a w końcu w natchnieniu:

«Wrota! — zawołał — ku szlacheckiej chacie
 «Wy, co radośnie drogę odmykacie,
 «Niechaj stróż-aniół pilnuje was codzien
 «Od złego gościa lub złego sąsiada;
 «Niechaj się tędy nie przemyka zdrada;
 «Niech waszych skrzydeł nie odemknie zbrodzień.
 «*Jeśli ktokolwiek z jaką myślą zradną*
 «*Zechce tu wkroczyć łaską czy przemocą,*
 «*Niechaj te wrota na głowę mu spadną,*
 «*Niechaj mu głowę i piersi zgruchocą».*

Były to słowa serdecznej życzliwości świątobliwego męża, ale obecni widzieli w nich jakieś zaklęcie i odtąd wszyscy sąsiedzi patrzyli z rodzajem trwogi na wrota, prowadzące do domku Szeligi i każdy dobrze wprzód zbadał swe sumienie, nim się odważył je otworzyć, kto zaś poczuwał się do jakiegoś

występku, wolal ominać dworek dawnego woźnicy, niż narazić się na to, że zakłęcie pobożnego kapłana ziści się na nim i że dębowe wrota strzaskają mu głowę.

Młody Krzysztof Szeliga, oddany na dwór księcia Radziwilla, skarbił sobie laski pańskie i wkrótce stał się książęcym ulubieńcem. Oddał on mu też rzeczywiście немало usług: we wszystkich bitwach, jakie hetman w tych burzliwych czasach musiał staczać, walczył mężnie przy jego boku, nieraz przyczynił się do odniesienia zwycięstwa i nieraz uwolnił księcia od niebezpieczeństwa. Rósł więc w zaszczyty i sławę — ale sam śmiał się w duszy z tego, bo nie chodziło mu ani o dobre imię u ziomków, ani o kraj rodzinny, lecz wyłącznie o laski bogatego pana.

Kiedy stary ojciec leżał na łożu śmiertelnem, Szeliga nie przybył nawet po jego błogosławieństwo, a gdy się dowiedział o jego śmierci, wypuścił dworek rodzinny w dzierżawę i nadal pozostał na dworze książęcym.

Wiele lat upłynęło od tego czasu, włosy Krzysztofa Szeligi okryły się już siwizną, gdy na Polskę zaczęły spadać nieszczęścia po nieszczęściu. Najpierw straszne wojny z Kozakami, którzy zbuntowawszy się pod dowództwem Chmielnickiego, przez kilka lat pustoszyli wsie i miasta, a potem straszniejsza nad wszystko nawała Szwedów, którzy przy pomocy Niemców i Siedmiogrodzian zawładnęli całą Polską. A kiedy jedni ostatkiem sił bronili Ojczyzny i nie szczędzili swej szlachetnej krwi, aby tylko nieprzy-

jaciół wypędzić z kraju, drudzy nikczemnie klaniali się najeźdźcy, aby przy pomocy jego zyskać majątek i znaczenie. Do tych należał także młody Szeliga; nie pomny na cnoty swych przodków, zdradził Ojczyznę i wraz z nikczemnym księciem Bogusławem Radziwillem walczył przeciw własnym rodakom w obronie Szweda! Ale niedługo trwało panowanie najeźdźców: po cudownej obronie Częstochowy kraj cały powstał jak jeden mąż, wypędzono nieprzyjaciół, a Szeliga dostał się wraz z księciem Radziwillem do niewoli. Miłościwy król przebaczył zbrodniarzom dla zasług brata Bogusława, księcia Michała Radziwilla, który całe swe mienie ofiarował na obronę Ojczyzny, ale jednemu i drugiemu kazano opuścić na zawsze kraj, którego nie byli godni.

Szeliga nie bardzo zmartwił się wyrokiem królewskim — jego skażone serce nie umiało odczuć hańby, jaka na niego spadła — więc tylko myślał o tem, aby majątek, zebrany w tak niecny sposób, przez zdradę Ojczyzny, powiększyć jeszcze, osiąść na obczyźnie i tam spokojnie używać swych bogactw. Postanowił sprzedać dworek ojcowski i w tym celu udał się na Litwę. We wspaniałej karecie wjechał do wioski, w której ojciec jego pędził spokojny, choć ubogi, żywot, a patrząc na te skromne, chylące się już do ziemi i butwiejące ze starości ściany, tak sobie myślał:

«Ten, kto ma złoto, ma wszystko na świecie.

«Co mi tam szkodzi wygnańca nazwisko?

«Banita Polski — niezginiony przecie:

«Na ziemi szwedzkiej znajdę przytulisko.

«Tam kupię dobra — grosz popłaca wszędzie,
«Ale nie żegnam mej rodzinnej włości:
«Gdy się król Szwedzki na siłę zdobędzie,
«My znowu tutaj zawitamy w gości,
«Odbiorę własność może w rok najdalej
«I wygnam z kraju tych, co mnie wygnali.
«Tu będzie pałac, na nim herb kamienny;
«Gniazdo Szeligów odnowić potrzeba.
«Stary mój ojciec, królewski stajenny,
«Aż się uśmiechnie z wysokiego nieba.
«Bo cóż za złoto okupić się nie da?
«I cześć powróci, którą wyrok plami,
«Bylebym tylko między Litwinami
«Zjednał co więcej stronników dla Szweda»,..

Ale za tyle niegodziwości czekała go rychła
kara Niebios, bo oto

Kiedy tak dumal, rumaki jak z procy
Leciały pędem na dworku zwaliska.
Oś czterokonnej wspaniałej karocy
Pod *Stare Wrota* z mozołem się wciska.
(A wrota wąskie: bo tędy od wieka
Szedł prosty wózek, lub wjeżdżał gość konny,
Bo wiedział starzec, że się nie doczeka,
Iż go odwiedzi urzędnik koronny,
I nie dla karet szerokiej postaci
Budował wrota — lecz dla szlachty braci.)
Za ciasno było synowskiej kolebce,
Uwięzły konie, woźnica je plaży.
Szelięga zadrzał — pobledniał na twarzy,
Coś niedobrego przeczucie mu szepce.
Konie zerwały, oś o słupy grzmoce,
Spróchniałe słupy pękły od zamachu,
I cały ciężar dębowego dachu
Z głuchym łoskotem pada na karocę.
Przegniła słoma i krokwi gromada

Całkiem przykryły woźnicę i pana —
Trzaska się w szczęty karoca złamana,
I cug rumaków na kolana pada;
Nakoniec targnął i odrzucił w stronę
Dwa trupy ludzkie na miazgę stłuczone...

Więc «stare wrota» spełniły swą powinność, jaką niegdyś włożył na nie świętobliwy ksiądz Skarga — spadły na głowę zdrajcy i nie dozwoliły, aby nikczemnik wszedł w progi poświęconego domu.

Może nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę na to, w jaki sposób powstał w umyśle Syrokomli ten piękny obrazek. Oto Skarga, broniąc w jednym dziele zakonu Jezuitów, a po części i siebie przeciw rozmaitym napaściom, powiada, co następuje: «Dowieść na mnie nie mogą, abym co komu uprosił, bo się za tak u Króla Jegomości, Pana mego, wdzięcznego i udanego nie mam, anim jest, ani chcę być. Jeden jednak na się grzech powiem: woźnicy Króla Jegomości, który mnie kilkanaście lat woził i ze mną u dworu zestarzał, a nigdy mnie nie przewrócił, uprosilem wielką wakancyę¹⁾ w żupach, groszy 20 na tydzień, aby w starości głodem nie umarł. Jeślim tem zgrzeszył, proszę odpuszczenia». Syrokomli utkwiło w pamięci to zeznanie, tak pięknie świadczące o szlachetnym kapłanie, którego jedyną winą było wyprośzenie łaskawego chleba na starość dla ubogiego woźnicy — a zdarzyło się, że właśnie w czasie, kiedy nasz poeta rozczytywał się w dziełach Skargi, przysłał mu Kraszewski swój rysunek, przedstawiający, jak

¹⁾ posadę, dochód.

opiewał podpis, «stare, poczciwe wrota». Ten obrazek starej bramy, a może nadto wspomnienie «starych wrót» w Borejkwoszczyźnie, które nieraz groziły zawaleniem, tak się w umyśle Kondratowicza połączył z ówym ustępem, czytany w dziele Skargi, że z niego, na mocy dziwnych jakichś praw poetyckiej wyobraźni, powstała owa prześliczna opowieść, której treść podaliśmy powyżej.

Inny zupełnie charakter ma druga, ważniejsza opowieść z tego czasu — «Ułas». Pod wielu względami przypomina ona «Janka Cmentarnika», bo bohater jej pochodzi, jak w tamtej, z ludu, a samo opowiadanie odbywa się w roku 1812, w czasie wyprawy Napoleona na Moskwę, którą, jak wiadomo, już poprzednio opisał Syrokomla w «Janku». Przyjrzyjmy się bliżej temu utworowi, bo on zasługuje na pilną uwagę.

Wspomnieliśmy już przedtem, że zdarzenie to odbywa się w czasie wyprawy cesarza Francuzów Napoleona na Moskwę w r. 1812 — a jakie to były czasy, niech nam opowie sam Syrokomla:

Straszne to były czasy — syte po kolei
Łez, krwi, ognia, rozpaczy i dobrych nadziei
Chmury wojsk szły na północ nieprzerwaną smugą,
Jedna połowa świata ścierała się z drugą.
Krew się lała na polach, gdzie bój silnych wabi,
Ale krwawszemi łzami zlewali się słabi.

Smutno w Poleskich¹⁾ dworach i po wioskach kmieci:
Tam codzien zbrojny żołdak bezkarnie nadleci,

¹⁾ Polesie, część dawnej Polski, położona nad rzeką Prypecią, a przytykająca do właściwej Litwy; dziś pod rządem rosyjskim

Pokrzywdzi siwą głowę, stodołę zapali,
Pozarzyna dobytek i poleci dalej,
W pośledniej straży wojska, z tej i owej strony
Wałęsał się bezkarnie żołnierz rozprószony:
Z oddalonej wioszczyny nad błotem, nad rzeką,
Wołać o sprawiedliwość — było zadaleko.
Przeklinał syn Polesia swe ojczyste drzewa,
Gdzie las jęki przytłumia, wiatr skargi odwiewa.

Polacy, w nadziei odzyskania niepodległości, pomagali Napoleonowi; część ich szła z wojskami francuskiemi, ci zaś, co pozostali w domu, starali się pomagać im według możliwości, więc też:

Wszystka szlachecka młodzież w gorącym zapędzie,
Pewna, że głową mury skruszy i zdobędzie,
Że z piersi odmuruje upadłą budowę,
Niosła pod sztandar Franków i piersi i głowę.
Mało kto został doma, na roli, przy żniwie;
Czyja stodoła z ogniem poszła nieszczęśliwie,
Kogo mocniej, zelżywiej bicz kozaczy dotknie,
Szedł do lasu ze strzelbą wyniszczać ich sotnie.

Nieraz synowie Donu posłani z depeszą,¹⁾
Gdy przez groblę poleską manowcami spieszą,
Z za bagniska, z za krzaków, lub z gęstego żyta,
Gwizdnie kulka szlachecka i serca dopyta;
Lub czasem na biwaku, by odpocząć nieco,
Spisy w ziemię utkwwszy, gdy ogień nanieca,
To jak chmura komarów szlachecka gromada,
Pan Bóg wie skąd się zjawia, na tabór napada,
I wyzywa na rękę, rozbija na głowę,
Uprowadza zdobycze i konie stepowe,
Zostawi kilka trupów, gdzie walka zajadła,
I znowu znika w lasy — jakby w wodę wpadła.

¹⁾ List, wiadomość.

W takim to czasie zjawilo się pewnego wieczora w chacie poczciwego leśnego Ułasa kilku uzbrojonych ludzi prosząc, aby ich zaprowadził do niedostępnej części lasu, zwanej »Czartowym Ostrowem«. Ułasi poznał pomiędzy przybyłymi swego dziedzica i kilku panów z sąsiedztwa, a że w »Czartowym Ostrowie« chyba czasem z wilkiem można się było spotkać, bo innej zwierzyny tam nie było, więc nie mógł zrozumieć, po co panowie chcą się tam w ciemną noc wyprawić. Chciał ich zatrzymać na noc w swej chacie a potem wskazać lepszą do polowania część lasu, ale przybyli chcieli wyruszyć natychmiast; nie na sarny ani na wilki idą oni polować ale na tę zwierzynę »co się na *k* zaczyna i na *k* się kończy« (*kozak*), idą bić się za świętą sprawę wolności. Teraz dopiero Ułasi zrozumiał o co chodzi: wzruszony obiecał panu, że w jego nieobecności zaopiekuje się jego żoną i dziećmi, że je ukryje w chacie sąsiada i że im będzie dostarczał żywności. I panom nie będzie w »Czartowym Ostrowie« na niczem zbywało, bo stary Ułasi przyniesie im raz po raz kul, prochu i pożywienia.

Wreszcie Ułasi przed panem uklęknął przy stole:

— »Tak mi Boże dopomóż! panoczku! sokole,
•Że na Czartowy Ostrów znajdziem przechód łatwy;
•A jak oka, jak serca strzedz będziem twej dziatwy,
•A jeśli komu powiem, gdzie wy? w jakiej stronie?
•Niech mię piorun zabije! niech ziemia pochłonie!«
I całuje go w nogi i jak dziecko chlipie;
Pan podjął — uściskami Ułasi obsypie,
I sąsiedni panowie, i szlachta co pije,
Wszyscy hurmem się cisną chłopowi na szyję,

I w chwili rozrzewnienia, z braterskim wyrazem,
Łza chłopska i szlachecka spływały się razem.

Szlachta, przeprowadzona przez Ulasa do »Czar-
towego Ostrowu, urządziła stamtąd wycieczki na
wojsko rosyjskie i nieraz bardzo mu dokuczyła —
więc Moskale mszcząc się za to prześladowali ich
rodziny, palili im dwory, bo im samym, ukrytym
w niedostępnem miejscu, nic złego uczynić nie mogli.
Ale i rodziny szlacheckie znalazły opiekunów: po-
czciwy Ulas porozumiał się z sąsiadami i wieśniacy
okoliczni objęli opiekę nad rodzinami walczących,
dzieląc się z nimi chętnie swą ubogą strawą i na-
rażając się na straszną zemstę nieprzyjaciół. Posłu-
chajmy, jak to opowiada poeta:

Gdzie ich żony, ich dzieci, ich trzody z obory?
Spustoszały zaścianki, spustoszały dwory,
Czego ogień nie spali, żołdak nie wyniesie,
Zakopano do ziemi, zachowano w lesie;
Ale jak? gdzie? i kiedy? pytać próżna rada!
Las tutejszy tajemnic swoich nie wygada.
Dumni ze swej nad rodem szlacheckim opieki,
Osocznicy z ostępów, rybacy z nad rzeki,
Choćbyś ich poił, złocił, albo straszyl władzą,
Tajemnicy swych lasów pewnie nie wydadzą.

Na przepaścistych bagnach, w tajemniczym borze,
Gdzie tylko człek świadomy znaleźć ścieżkę może,
Stoi gdzieniegdzie chata okopcona czarno:
Tam się pańskie rodziny po przytułek garną,
Stamtąd trwożliwa żona i dziecię w kolebce
Za męża i za ojca ciche modły szepce,
Tam uboga szlachcianka, spiąc na twardem sianie,
Marzy sny niespokojne o swoim bogdanie.

Tam to ręka wieśniacza gruba ale szczerą
Łzy pańskiemu dziecięciu z pod oczek ociera,
Na chwilę zaniechawszy siekiery lub pluga;
Kołysze niemowlęta lub cacka im struga,
Pociesza biedną panią, że Pan Bóg jest wszędzie,
»Wróci, wróci jegomość, wszystko dobrze będzie,
»Czarne dni utrapienia jak przyszyły tak miną,
»Tylko ciągle nie płaczcie, bo oczy wypłyną!«
Nieraz prosta wieśniczka jak matka laskawa,
Wypieszczonym paniętom czarny chleb rozkrawa,
Pieści ich plastrem miodu lub leśną jagodką,
A jeszcze ich przeprasza, że może niesłodko:
»Bo to państwo, wiadomo, chowane w pieszczocie;
«Gdzie u nas takie jadlo? gdzie takie łakocie?
»Zamrze głodem niebożę w naszej prostej nędzy...
»Jedz, paniczu sokole! a wyrastaj prędzej!
»Kiedy wyrośniesz duży, a ja będę stara,
»Rozmoczysz w pańskim winie pszennego suchara,
»I przypomnisz o swojej terażniejszej biedzie,
»I poczęstujesz babkę, gdy do dworu przyjdzie!«

Tak ów naród odarty, siermiężny, wieśniaczy
Tulił na swoim łonie rodziny tułaczy.
Dni przepędzano w chatach; — gdy się wieczór szarzy,
Niebezpieczny pod dachem nocleg dla nędzarzy;
Bo tu może się napad trafić niespodzianie,
Może wydać blask ognia albo psów szczekanie.
Więc się chronią do lasu, albo w kruchej łodzi
Przewożą się za rzekę kędy nikt nie chodzi.
Tam na omszonaj kępie, albo w stogu siana,
Wypoczywa rodzina znękana, splakana;
A wieśniak czuwa przy niej nie zmrużywszy powiek,
By nie napadł zwierz jaki lub niedobry człowiek.

Czasem który ze szlachty, gdy nie grożą hufce,
Przyjdzie nocą odwiedzić rodzinę w kryjówce,
Pobłogosławi dziatwę, małżonkę pocieszy,
Łzę ukradkiem wyleje i do swoich spieszy;

A czasem od wieśniaka spotkanego w lesie,
 Weźmie jaką wiadomość, do swoich zaniesie,
 Tak, mimo bacznej straży co czuwa nad drogą,
 Serca się kochające porozumieć mogą;
 Tak wzajemnem wylaniem orzeźwia się lono,
 Pod strażą piersi chłopskiej i lasów osłoną.

Ale smutne byłoby położenie szlachty, gdyby nie poczciwy, wierny Ulas. Często przekradał się on do »Czartowego Ostrowu«, niosąc zaszyte w czapce listy, tytoń, wódkę i pożywienie; raz po raz chodził do poblizkiego miasteczka i kupował dla panów proch i kule, a nikt go nie podejrzewał, bo przecież leśny musi nieraz strzelać. Ażeby jednak nie budzić zbyt nich podejrzeń, wysyłał często swą córkę Oksenę, młodą, piękną dziewczynę, która las znała doskonale a miała dosyć odwagi, aby przekraść się do panów, pocieszyć ich listami i zaopatrzyć w żywność. Ale od pewnego czasu Oksena zmieniła się bardzo, bo od kiedy poznała pięknego panicza Jana, on tylko był jej na myśli. Panicz wybierał się na Ostrów i przybył do chaty Ulasa zapytać o drogę, ale zamiast starego leśnego zastał młodą i piękną jego córkę. Cóż więc dziwnego, że młodzi spodobali się sobie, że serce panicza biło żywiej na myśl o pięknej dziewczynie, i że Oksena chętniej, niż przedtem, spieszyła z listami i żywnością do panów, pomiędzy którymi znajdował się jej ukochany Jasio?

Oto chodźmy raz za nią, aby popatrzeć, co robi wojująca z Rosyanami szlachta?

W głębi gęstego lasu zobaczymy ognisko, a przy niem kilkanaście męskich postaci, migających się

w czerwonym blasku ognia. Jeden z nich, stary cześnik Belina, siedzi zatopiony w smutnych myślach, bo wczoraj właśnie doniósł mu Ułas, że jego ukochana żona zmarła po ciężkiej chorobie, nie pożegnawszy się nawet z mężem, bez sakramentów, a on jej nawet nie może należycie pochować; obok niego siedzi pan mostowniczy Kurdesz, nucąc jakąś smutną piosenkę, dalej pan Walenty, pan Wrzosek, sędzia Prość a w końcu ekonom Baltazar Kapota. Wszyscy oni mają powód do smutku, bo prawie każdy z nich doznał od wrogów jakiejś strasznej krzywdy: jednemu zrabowano dom, drugiemu spalono cały dobytek, trzeciemu choruje rodzina, zmuszona kryć się przed Rosyanami. Ale mimo to nie rozpaczają, bo cierpią za sprawę całego narodu, za szczęście swoich współbraci — a taka myśl osładza wszelkie troski i nieszczęścia. Zresztą w tej biedzie mają przecież niemalą pomoc od wieśniaków: oni opiekują się ich rodzinami, oni im dostarczają żywności i otaczają taką opieką, jaką chyba rodzona matka swoje dzieci otacza. Przyznaje to otwarcie pan Jan, dziedzie Oczeretowa, młody ale dzielny człowiek, który w te słowa przemawia do odpoczywających towarzyszy:

- »Bać się głodu i chłodu my nie mamy prawa,
- »Z takimi sprzymierzyńcy jakich Bóg nam dawa,
- »Patrzcie, jak wszystko dla nas poświęcić gotowi,
- »Nasi rybacy, strzelcy i chłopci wioskowi!
- »Kiedy szczęście chybnęło na szlacheckiej szali,
- »Twardą pierś, bratnią rękę patrzcie jak podali;
- »Przytulili rodziny i dobytki nasze,
- »Wzięli grunta w opiekę, a trzody na paszę;

- »Oni idą do miasta narażając siebie,
- »Kupują proch i kule ku naszej potrzebie.
- »Panie Wrzosek, wszak smaczna twoja pieczeń sarnia?
- »Panie Walenty! słodki sen, co cię ogarnia?
- »Panie Proście, dziś w boju usłużyłać kulka?
- »Panie Kapota, pysznie dymi twoja lulka?
- »Panie Kurdesz, aż miło po szklance gorzały?
- »Ucałuj chłopską rękę! bo to chłop zuchwały
- »Przekradł się przez kozackie pikiety i czaty,
- »Nie lękał się niewoli lub życia utraty,
- »Kupił ci twoje zbytki, przeniósł po zdradziecku,
- »I rozkazał swej córce, bezsilnemu dziecku,
- »Nieść przez błota, przoz lasy ciężar nad jej siły,
- »Byś miał nabój do strzelby, by twe usta piły.
- »A gdy ty z jego łaski chylish czarękę do dna,
- »Może w tej samej chwili twoja żona głodna,
- »Z czarnej ręki wieśniaczej czarny chleb zajada.
- »Ani głód, ani zimno, ani żadna zdrada,
- »Nie zagraża ni tobie, ni twojej rodzinie.
- »Zobaczymy, szlachcicu, kiedy groza minie,
- »Czy potrafisz chłopowi wywdzięczyć się szczerze!«

Wszyscy godzą się chętnie na zdanie Jana, wszyscy wielbią poczciwość Ułasa i jego towarzyszy, tylko ekonom Kapota nie chce wierzyć, aby pod siermięgą chłopca mogło bić zacne serce; jemu się zdaje, że poza tymi dowodami życzliwości, jakiej doznają od wieśniaków, musi się kryć zdrada, i przysięga, że zdrajców ukarze surowo. Jego zdaniem pan Jan dlatego tak mówi i myśli, bo polubił córkę Ułasa, ale on, Baltazar Kapota, nigdy nie będzie rachował na chłopskie uczucie.

Pan Jan nie odpowiedział na to, bo właśnie zaszeleściały gałęzie i z pomiędzy nich wychyliła się głowa Okseny. Pobiegl więc szybko w tę stronę.

Oksena była przestraszona złą wieścią, którą przyniosła: oto żyd arendarz śledzi za nimi, udaje, że chce kupić stogi siana, stojące w lesie, wypytuje się o ukrytą szlachtę, a ma jakiś niedobry, chytry uśmiech. Oprócz tego jest jeszcze drugie niebezpieczeństwo, bo Rosyanie rozesłali kozaków na wszystkie strony lasu i ci w każdej chwili mogą się tu zjawić, a wtedy jej ukochany zginąłby z pewnością. Panicz pocieszał płaczącą dziewczynę, uspokajał i prosił, aby modliła się za nich, bo jej szczerych modłów Pan Bóg pewnie wysłucha.

Nadzieje te nie miały się ziścić, bo już straszne nieszczęście zawisło nad tą całą gromadą ludzi, miało się zaś rozpocząć od Ułasa. Posłuchajmy, jak poeta rozpoczyna ostatnią, czwartą pieśń swego utworu:

Ciężkim jest biczem Bożym obłożna choroba —
Gdy się Bogu doświadczyć człowieka spodoba,
I mędrca, co brał niebo myślami śmiałemi,
I rycerza, co władzę rozciągał po ziemi,
Złoży w pościel niemocy — i nad głową rzecze:
»Tyś przed obliczem Mojem garść prochu, człowiecze!
Lecz gdy bohater świata boleje bezwładnie,
Kiedy miecz albo pióro z ręki mu wypadnie,
Tłoczy się u wezglowia lekarzów gromada,
Każdy o jego zdrowie niespokojnie bada;
A co tylko natura albo ludzka sztuka
Na ulgę cierpiącemu stworzy lub wyszuka,
Niczego mu troskliwość usługna nie szczędzi,
By do walki ze śmiercią więcej miał narzędzi.

Kiedy na twardej ławie, u swej czarnej ściany,
Legnie łazarz wioskowy boleścią złamany,
Niema dla jego głowy pieszczot ni wygody,
Niema dla ust spragnionych nic krom szklanki wody,

Nic, krom garsteczki ziela, które dla nędzarzy
Stara wioskowa wróżka zbierze i uwarzy.
Nauka się nie troszczy, czy choremu lepiej,
Litość lepszym pokarmem sił mu nie pokrzepi,
A jęk, który wywodzi żona nieszczęśliwa,
Jeszcze nową boleścią serce mu przeszywa.
Więc swą duszę i ciało polecając Bogu,
Kuli się biedny łazarz w słomianym barłogu;
Nawet jękom nie daje szerzyć się dowoli,
Aby drudzy nie zgadli, że go bardzo boli;
Zahartowawszy siły w cierpienia kielichu,
Toczy walkę ze śmiercią mężnie i pocichu.

Takim był los Ułasa. Od dawna już był on ciężko chorym, od dawna trawiły go suchoty, ale on bał się sam przed sobą przyznać do słabości, bo czuł, że jest potrzebny tej garstce wygnańców, która bez jego pomocy mogłaby zginąć marnie w głębi dziukiego lasu. Wreszcie siły opuściły go zupełnie a silny duch nie mógł już słabego ciała zmusić do posłuszeństwa: Ułas leżał umierający. Że Oksena była w rozpacz, o tem nie potrzeba nawet wspominać, ale równie dotkliwie odczuli brak pocziwego leśnego ukryci w lesie wygnańcy. Nikt im już teraz nie dostarczał kul i prochu, nikt ich nie uwiadamił o tem, którędy i dokąd wyruszają oddziały nieprzyjaciół, bo Oksena przynosiła im co najwyżej trochę żywności. Wszyscy żalowali więc biednego Ułasa, tylko Bartłomiej Kapota, kręcił głową i starał się przekonać towarzyszy, że ta choroba jest tylko udaną, że chytry leśny zobaczył, iż z pomagania im nie będzie miał żadnego zysku, więc opuścił ich, a kto wie, czy

nie zdradził. Nikt mu naturalnie nie wierzył, ale on trwał uporczywie przy swoim zdaniu.

Tymczasem do dogorywającego Ułasa przyszedł żyd arendarz i zaczął go kusić, wypytyując o powstańców. Z początku nie mówił otwarcie, o co mu chodzi, ale gdy leśny udawał, że go nie rozumie, zmienił sposób rozmowy i zaczął być szczerym. — »Wszak ja wiem — mówił — że ty kupowałeś proch i kule, drogi tytoń i stare wino a przecież chłopu tego wszystkiego nie potrzeba. Ty wiesz, gdzie się szlachta ukrywa, więc pokaż mi drogę, a ja cię za to wynagrodzę. Rząd przeznaczył za głowę każdego szlachcica dukata nagrody — jeżeli mi wskażesz drogę do »Czartowego Ostrowu«, podzielę się z tobą nagrodą i w ten sposób zarobisz kilkanaście dukatów«. Poczciwy Ułasiak tak był oburzony nieszczernością żyda, że pomimo choroby zerwał się z łóżka, schwył kij i tak długo okładał nim niegodziwego arendarza, dopóki ten, jęcząc z bólu nie uciekł z chaty.

Żyd postanowił się zemścić i sprowadził kozaków do chatki leśnego, powiadając, że on jest współnikiem zbuntowanej szlachty. Urzędnik moskiewski przystąpił z przekleństwem do łóżka chorego, ale wnet odstąpił, mówiąc: »Ten człowiek już kona!« Ale konający zebrał resztki sił i zapytał kozaków, czego chcą od niego, a gdy żądano, aby zdradził swych panów, bo inaczej czekają go straszne męczarnie, on odrzekł spokojnie:

- »I bez tego za chwilę Bóg życie mi przetnie,
- »A tam dla grzesznej duszy sąd będzie łaskawszy,

- »Jeśli umrę przysięgi mojej nie złamawszy.
- »Jam przysiągł moim panom na Chrystusa rany,
- »Że tu wiecznie ich sekret będzie dochowany,
- »Że nie wydam nikomu i za nic na świecie...
- »Czyż wy dla mojej duszy potępienia chcecie?
- »Nie! chociażby przyplacić życiem albo zdrowiem,
- »Ja wiem kryjówkę szlachty... ale wam nie powiem!...«

I nic już nie mogło go skłonić do złamania przysięgi — ani obietnice, ani groźby; przez zaciśnięte zęby powtarzał tylko: »nie powiem, nie powiem« i z temi słowami na ustach skonał.

Żydowi, patrzącemu na rozpaczającą Oksenę, przyszła do głowy piekielna myśl; odwiódł urzędnika na stronę i tak rzekł do niego:

- »Pan widzi tę dziewczynę? jaka krasawica!...
- »Ona kocha w tej bandzie jednego szlacheica.
- »Już to ja wiem dokładnie, mnie bajka nie złudzi —
- »Mnie mówił jeden żydek, co słyszał od ludzi...
- »Otóż tak... kiedy kocha... tak daj Boże zdrowie,
- »Ona pójdzie do lasu ostrzedz tych panowie:
- »Że tutaj był przypadek taki i owaki,
- »Że chatę otoczyli wielmożne kozaki,
- »Że jej ojciec nie żyje, że gwałt co się dzieje...
- »Otóż ja pocichutku zakradnę się w knieje,
- »A kiedy ona wyjdzie i ja ruszyć mogę,
- »Przez błota, przez manowce, jak Pan Bóg da drogę.
- »To ona kiedy sobie ani się spodziewa,
- »Ja mam kredkę w kieszeni... ponaznaczam drzewa;
- »Wtedy państwo kozaki niech całą gromadą,
- »Pocichu i zdaleka za nami pojadą,
- »Tylko niechaj nie krzyczą dla miłości Boga,
- »A gdzie znaczek na drzewie, tam już pewna droga.
- »Po kredce, jak po nitce, niech kierują jazdą,
- »A tak trafim powoli na szlacheckie gniazdo;

- »A wtedy, jasny panie, już wedle umowy
- »Zapłacisz mi czerwońca od szlacheckiej głowy!
- »Dwadzieścia jedna głowa u samej hołoty!
- »A za głowę Cześnika — jeszcze dukat złoty!

Urzędnik zgodził się chętnie na ten plan i zaraz przygotowano się do wyprawy.

W Czartowym Ostrowie zebrała się właśnie szlachta na naradę, co mają dalej począć, gdy nagle przybiegła do nich zrozpaczona Oksena, opowiadając z płaczem o śmierci ojca i prosząc, ażeby czempredziej uciekali, bo żyd zdrajca może im lada chwila sprowadzić kozaków. Ale już nie czas był na ucieczkę, bo oto wokoło zahuczały kopyta końskie, błysnęły szable i gromada kozaków rzuciła się na nieprzygotowaną do walki szlachtę. Obrona była krótka, a bezskuteczna; jednych zabito na miejscu, innych skrępowano i tylko pan Baltazar Kapota, chwyciwszy strzelbę, wymknął się w krzaki. Nie myślał on uciekać, ale z daleka chciał dopomóc towarzyszom; wtem ujrzał Oksenę, klęczącą pod drzewem w odrętwieniu i spoglądającą z przerażeniem, jak Rosyanie krępowali sznurami jej ukochanego Jasia. Ekonom był teraz już pewnym, że to ona sprowadziła tu kozaków na rozkaz Ulasa i postanowił ukarać ją za zdradę: wymierzył ze swojej strzelby, pociągnął za cyngiel i biedna dziewczyna padła martwa — kula przeszła jej piersi. »Kłeska pomszczona« — zawołał uradowany ekonom, lecz w tej samej chwili pika kozacka przebiła mu piersi i pozbawiła życia.

Tak smutnie i krwawo skończyło się powstanie garstki szlachty; krew szlachecka i chłopska popły-

nęła jedną strugą, brocząc Czartowy Ostrów, ale do dziś dnia opowiadają sobie na Litwie o dzielnym i wiernym Ułasie i jego córce.

Warto zwrócić uwagę na to, jak Syrokomla, który przecież pochodził ze szlacheckiej rodziny, pięknie i serdecznie odmalował w tej »sielance bojowej« wieśniaków. Tyle osób tu występuje, a przecież najpiękniejszymi są Ułas i jego córka, i czytelnik bardziej nawet przywiązuje się do tych chłopków, którzy czarnym swym chlebem karmili pańskie rodziny, niż do szlachty, poświęcającej mężnie swe życie za sprawę narodową. Ile to trzeba było mieć serca, żeby nietylko tak pięknie określić tych bohaterów w chłopskich siermięgach, ale i sprawić, aby czytelnik także ich podziwiał i, co ważniejsze, pokochał. A trzeba kochać tych ludzi, dochowujących wiernie przysięgi, ponoszących chętnie wszelkie niewygody i narażających się na największe niebezpieczeństwa, byleby tylko dopomódz panom w nieszczęściu i choć trochę przysłużyć się krajowi.

Lecz pisząc »Ułasa« miał Syrokomla jeszcze coś innego na myśli. Był to właśnie czas, kiedy szlachta polska dobrowolnie chciała zrzec się pańszczyzny i wieśniakom przydzielić grunta na własność. Narady w tej sprawie toczyły się w Wilnie i jak w każdej sprawie, tak i w tej, znaleźli się tacy, którzy przeciw temu występowali. Syrokomlę oburzyło to do najwyższego stopnia: szlachetna jego dusza nie mogła pojąć, aby ktoś ośmielił się zaprzeczać drugim praw ludzkich, aby koniecznie chciał w swych braciach mieć niewolników. Napisał wówczas wierszyk

niezwykle ostry, w którym zgromił surowo przeciwników uwłaszczenia włościan — wtedy też zapewne umyślił napisać utwór przedstawiający stosunek dworu do ludu wiejskiego w barwach pięknych i jasnych. Chciał on w »Ulasie« tak przemówić do współbraci: »Wy, którzy pragniecie dobra i szczęścia ludu, którzy go kochacie, macie słusność, bo, patrzcie, jaki ten lud jest poczciwy — a wy, którzyście chcieli wiecznie trzymać go w niewoli, wstydzicie się, żeście nie potrafili zrozumieć, jak szlachetne i poczciwe serca biją w piersiach chłopskich!«

Tę samą myśl, którą widzimy w »Ulasie«, wyraził Syrokomla w komedyi »Wiejscy politycy«, przedstawionej w teatrze wileńskim w r. 1850. Treść jej jest następująca.

Pan sędzia Nowina jest namiętным politykiem. Mieszkając w swej małej wiosce nie dba o gospodarstwo ani o włościan, bo przedewszystkiem obchodzi go to, co się dzieje w Europie: czy Francuz wyda wojnę Turkowi, co Anglicy zrobią z Egiptem i czy przypadkiem wojna nie wybuchnie. Zdaje mu się przytem, że czytając dokładnie wszystkie gazety i myśląc o politycznych stosunkach większe będzie miał zyski ze swego gospodarstwa, niż sąsiedzi, którzy zajmują się tylko rolą: bo jeżeli będzie wojna, zboże podrożeje — trzeba więc tylko przewidzieć to dokładnie, ze sprzedaniem zboża zaczekać do stosownej chwili, a wtedy z pewnością zrobi się majątek. Tymczasem długi rosna, rat w banku niema czem płacić a arendarz Szłoma gospodaruje we wsi, jak

mu się podoba, uciskając biedny lud i niszcząc majątek sędziego.

W takiej chwili przyjeżdża syn Sędziego, Stefan, ukończywszy nauki za granicą, a przyjeżdża z głową pełną najpiękniejszych planów. Kocha on nadewszystko swój kraj rodzinny i chce mu się przysłużyć przez podniesienie oświaty i dobrobytu ludu wiejskiego — ale zaraz na wstępie spotyka się z oporem nietylko ze strony sędziego, ale nawet samych wieśniaków, którzy dobrodziejstwa oświaty nie mogą odrazu zrozumieć.

Do sędziego przybywa tymczasem Szloma ze skargą na młodego młynarza Janka, który podczywszy się w szkole, przeczytał wiele książek i zaczął swoich sąsiadów nakłaniać do trzeźwości. Posłuchajmy, jak Szloma skarży się na niego:

Sam nie chodzi do karczmy, powiada, że pości,
I jeszcze całą wioskę naucza trzeźwości,
Buntuje całą wioskę, buntuje i kwita!
Czy wierzy pan dobrodziej? Nawet książki czyta!
Kiedy jeździł z transportem do pszenicy mojej,
Przywiózł książki i z Wilna — aj, gwałt co tam stoi!
No, że Żyd wkrótce chłopą do szczytu wysuszy,
No, że pijąc w niedzielę ciężki grzech dla duszy,
No, kiedy dzień powszedni, to trzeba do pracy,
No, że pijąc na kredyt, to będą żebracy!
I mało czego jeszcze? buntuje widocznie!

Stefan, usłyszawszy narzekania arendarza, zrozumiał od razu, że ten Janek to pocziwy i rozumny człowiek i zakazał Szlomie wtrącać się w te sprawy. Żyd przeląkł się i uciekł, ale postanowił się zemścić.

Sąsiadem pana Nowiny był podkomorzy Leszczyca, człowiek bardzo chciwy i dbający tylko o majątek; miał on córkę Annę, którą Stefan poznał i pokochał za granicą i która jemu również serdecznie była przychylna. Podkomorzy nie wiedział nic o tej miłości, ale poznawszy Stefana polubił go, bo widział, że to człowiek czynny i pracowity, więc postanowił oddać mu swoją córkę i zarząd całego majątku, który po jego śmierci miał przejść na własność młodej pary. Jak z tego postanowienia zadowoleni byli młodzi o tem nie potrzeba chyba wiele mówić.

Nim jednak przyszło do zaręczyn, sędzia oddał zarząd wioski synowi, sam zaś zajął się tylko ulubioną swą polityką. Teraz mógł już Stefan spełnić swoje zamiary i wprowadzić do wsi te wszystkie ulepszenia, o których zawsze marzył; ale szło z tem ciężko, powoli, bo wieśniacy nie mogli pojąć, że te wszystkie zmiany wyjdą im rzeczywiście na dobre. Ale gdy Stefan założył szkółkę wiejską, gdy zaczął osuszać moczary i nieużyteczne dotychczas przestrzenie zamienił w ten sposób na piękne, bujne łąki, gdy wieśniacy zobaczyli, że dba o nich i że z nimi dobrze się obchodzi, przywiązali się do niego całym sercem i w niczem już nie sprzeciwiali się jego planom.

Ale nadchodziła zima i trzeba było w banku zapłacić kilka tysięcy zlr. raty; Stefan nie miał pieniędzy a Szłoma odmówił pożyczki i nawet zaskarżył dług, jaki sędzia przedtem u niego zaciągnął. Wskutek tego rozpisano licytację i miano sprzedać wioskę

Stefana w drodze przymusowej, aby z otrzymanych w ten sposób pieniędzy pokryć długi. W tem nieszczęściu udał się sędzia do podkomorzego i prosił go o pożyczanie potrzebnej mu sumy — lecz sąsiad nie tylko odmówił pożyczki, ale nadto nie chciał już oddać swej córki Stefanowi. «To nędzarz — mówił — a ja mogę przecież wydać Annę za kogoś bogatego. A gdybym im pożyczył, to nie tylko nie dostałbym żadnych procentów, ale mógłbym nawet stracić całą sumę». Wskutek odmowy ze strony mściwego żyda i niepoczciwego sąsiada groziło już rodzinie Stefana zupełne wydziedziczenie — gdy wtem zjawia się niespodziewana pomoc. Oto do zrozpaczonego sędziego przychodzi wójt i kilku z gromady i nieśmiało ofiarowują mu taką sumę pieniędzy, jakiej właśnie było potrzeba na zapłacenie długów. Zdziwiony sędzia nie wierzył sam sobie, nie chciał przyjąć pieniędzy, pytając, skąd je wzięli, a na to odzywa się jeden z wieśniaków:

Skąd my mamy pieniądze? Powiem, jak to było:
Zeszliśmy się w niedzielę — trochę się podpilo,
Aż wtem powiada Szloma, jak rzecz cała ma się,
Że jegomość dobrodziej w wielkim ambarasie¹⁾
Że majątek sprzedają... zginienie otwarte;
Więc postawiłem kwartę — wójt postawił kwartę,
I dalej rada w radę.

A wójt przerywa mu i kończy sam w ten sposób:

Tu niedługa rada,
Ratować nas i panów w tej chwili wypada.
Spojrzeli więc po sobie co bogatsi kniecie,

¹⁾ W kłopotcie.

Jeden z nich kilka groszy przysporzył w kalecie,
Drugi miał niepotrzebną dobrą sochę wołów,
Młynarzowi na rybie poszcęcił się połów,
Franciszek Szwed, co zda się na oko biedota,
Miał jeszcze po Francuzach małą skrzynkę złota,
Każdy złożył potrosze, czy wielki, czy mały,
Kobiety niepotrzebnych kilka kur sprzedały,
Tak się grosz i zgromadził zebrany wśród braci.
Bierzcie go z dobrem sercem — a dług niech się spłaci.

Słyszając takie pocziwe słowa i widząc zacne serca wieśniaków, sędzia przyjął wreszcie ich ofiarę, Stefan zaś w nagrodę za ich przywiązanie uwalnia ich od pańszczyzny. Teraz już i podkomorzy nie opiera się małżeństwu Stefana z Anną, bo widzi jasno, że przywiązanie wieśniaków więcej jest warte, niż majątek.

Tak wywdzięczyli się włościanie Stefanowi za dobre serce, jakie im zawsze okazywał — my zaś zastanówmy się teraz, dlaczego i po co Syrokomla napisał ten dramat? Oto chciał on znowu — jak w «Ułasie» — przekonać swoich współbraci, że ludem naszym trzeba się zająć, trzeba jego być polepszyć, i że ten pocziwy lud z pewnością za starania potrafi się wywdzięczyć. Chciał on za pomocą tych dwóch utworów w ten sposób przemówić do szlachty litewskiej: «Tak, jak Ułas i jego bracia wiernie aż do śmierci służyli swym panom, jak ci wieśniacy uwolnili sędziego od żebraczego kija i pomogli mu do wydobywania się z nieszczęścia, tak i wasi poddani chętnie pomogą wam w biedzie, tylko bądźcie dla nich dobrzy, starajcie się o nich i uwolnijcie ich od tej

haniebnej niewoli poddaństwa, w jakiej dotychczas żyją. Będziecie może ubożsi w pieniądze, ale za to bogatsi w miłość ludzką — stracie trochę majątku, ale zyskacie serca ludu, a wszakże te serca, to także majątek, którym pogardzać nie można». I rzeczywiście, głos Syrokomli nie przebrzmiał bezskutecznie, bo w znacznej części jego zasługą było, że szlachta litewska postanowiła rzec się poddaństwa i przyznać włościanom grunta na wieczną własność. Powrócimy jeszcze do tego później, a tymczasem przypatrzmy się innym jeszcze utworom dramatycznym naszego poety.

Zdawaćby się mogło, że Syrokomla chciał w swoich dramatach nauczyć współbraci, jak powinni postępować, co czcić i kochać, a czem pogardzać i co lekceważyć, bo wszystkie te utwory układają się, a przynajmniej dadzą się ułożyć, w szereg podobnych dowodów czy też lekcji. Kiedy w «Wiejskich Politykach» dowodził, jak pocziwym jest nasz lud i jak powinniśmy go kochać, pokazał zaraz w następnym całą śmieszność dumi szlacheckiej, która na niczem innem się nie opiera, jak tylko na dawności i świetności herbu lub starożytności rodziny. «Hrabia na Wątorach» jest właśnie takim człowiekiem, któremu sławni niegdyś przodkowie nie zostawili nic, oprócz nazwiska i ruin starego zamku, on sam zaś posiada tylko dosyć wiele długów i bardzo piękną i rozumną córkę Hannę. Córkę tę chce poślubić młody, dzielny rycerz, Stanisław Pacholowiecki i Hanna całem sercem sprzyja tej myśli — lecz Wątorski odpycha dumnie Stanisława, bo on pochodzi z szlacheckiego

wprawdzie, ale niskiego, nie nie znaczącego rodu. Ale łatwo unieść się dumą — trudniej się tą dumą nakarmić i wyżyć z niej, a Wątorskiemu nic już oprócz dumy nie pozostało; nie dość bowiem, że głodem przymierał, że sam pokryjomu najcięższe prace wykonywał, ale jeszcze żyd lichwiarz zabrał mu ostatnie pamiątki rodzinne, jedyne prawie dowody znakomitości jego rodu i groził nawet, że zabierze stare ruiny zamkowe. Wątorski był więc w rozpacz. W tem przyjeżdża odepchnięty przedtem Pacholowiecki, a przyjeżdża okryty sławą wojenną, obdarzony za zasługi nowym herbem, z listem królewskim, w którym sam Stefan Batory prosi Wątorskiego o rękę Hanny dla dzielnego swego wojownika. Rzecz naturalna, że uradowany tym niezwykłym zaszczytem hrabia zezwala chętnie na związek młodej pary, za co Stanisław obiecuje nie tylko zapłacić jego długi, ale nawet stary zamek odbudować.

Nie będę z tego dramatu przytaczał żadnych wyjątków, bo myślę, że czytelnik uwierzy mi na słowo, iż biedny «pan na Wątorach» został tu wyszydzony i wysmiany bez miary, a młody Stanisław, który własną zasługą zdobył sobie chlubę łaski królewskiej, przedstawiony jest w barwach jak najpiękniejszych. Ale nie dosyć kochać wszystkich braci swoich, jak to czyni Stefan w «Wiejskich Politykach», nie dosyć drwić sobie z zaszczytów, a cenić tylko własną zasługę, jak Stanisław w «Hrabi na Wątorach» — są czasem chwile, kiedy tę szlachetność serca trzeba udowodnić czynem, kiedy trzeba się poświęcić dla dobra współobywateli. Taki wzór

poświęcenia przedstawił nam Syrokomla w «Kasprze Karlińskim». Dramat ten, najlepszy ze wszystkich, jakie Kondratowicz napisał, zjednał mu wielką sławę i miał dosyć duże znaczenie we współczesnych stosunkach, więc zajmiemy się nim trochę bliżej.

Opowiadanie to sięga czasów dawnych, bo jeszcze XVI-go wieku, kiedy po śmierci dzielnego króla Stefana Batorego jedna, większa część narodu obrała swym monarchą królewicza szwedzkiego Zygmunta, druga zaś, mniej liczna, Maksymiliana, arcyksięcia austriackiego. Wskutek tego rozdzielenia wybuchła wojna, w której ważną rolę odegrał Kasper Karliński, dowódca niewielkiego zamku Olsztyna.

Karliński był już starszym człowiekiem, już siwizna przypruszyła mu włosy, kiedy ożenił się po raz wtóry z Dorotą, biedną sierotą, prześladowaną przez możnego Stanisława Stadnickiego, starostę zygulskiego, dla swej dzikości i gwałtowności zwanego zwykle «dyablem». Życie płynęło im spokojnie, a największem ich szczęściem był synek Zygmunt, młodziutkie jeszcze chłopię, a już niezwykle pojętne i dzielne. Miał ledwie dziesiąty rok, a już największą jego przyjemnością było wziąć szabelkę do ręki lub pohasać na koniku i marzyć o tem, jak to on kiedyś będzie walczył z nieprzyjaciółmi Ojczyzny, jak z ich ręki polegnie i jak dusza jego przyszedłszy przed tron Zbawiciela wymodli dla rodaków zwycięstwo. Matka dręczyła się temi przecuciami synka i drżała na myśl o tem, że one mogą się sprawdzić.

Tymczasem nadeszła wojna i Karliński, pozostawiwszy żonę w małym wiejskim dworku, objął

dowództwo nad załogą zamku Olsztyna, postanowiwszy zginać raczej, niż poddać się nieprzyjaciolom. Ale wróg jego, Stadnicki, nie próżnował: pod nieobecność dzielnego rycerza wpadł ze zbrojną czeredą służalców do jego dworku, kazał uprowadzić małego Zygmunta i porwać Dorotę. Nadbiegła wprawdzie pomoc, odparła bandę niegodziwego starosty i wyswobodziła Dorotę, ale nie zdołała już uwolnić Zygmunta, którego odprowadzono tymczasem do wojsk Maksymiliana. Wojska te oblegały wówczas Olsztyn, kusząc się daremnie o zdobycie tej niewielkiej fortecy, Karliński bowiem odpierał wszystkie szturmowanie z nieustraszoną odwagą. To też schwytanie małego Zygmunta ucieszyło stronników Maksymiliana niezmiernie: zdawało im się, że stary wódz, usłyszawszy o niebezpieczeństwie, w jakim się jego ukochany synek znajduje, odda im zamek, byleby tylko jedyne swe dziecko ocalić. Wysłano zatem do niego posła i zażądano wydania twierdzy, grożąc w przeciwnym razie zabiciem Zygmunta. Łatwo pojąć, jak straszna rozpacz ogarnęła biednych rodziców; pani Dorota myślała tylko o jednym: o uratowaniu swego dziecka. wszystko inne przestało dla niej istnieć — Karliński zaś, dotknięty równie głęboko i boleśnie, nie zapomniał ani na chwilę o swych obowiązkach jako wodza i obywatela. Posłuchajmy, jak biedna matka przedstawia sprawę mężowi:

 Nie sądz, mój mężu, abym zapomniała,
 Żem córka kraju, który dał mi życie.
 Nie zapomniałam, żem winna do zgonu
 Mieć dla ojczyzny miłość niezachwianą,

Miłość dla kraju i wierność dla tronu
Śmiercią zaświadczyć, jeśliby kazano.
Umrę dla kraju, jeśli Bóg przeznaczy,
Pójdę ochoczo na stos i na miecze...
Lecz syna oddać na pastwę siepaczy,
Ofiara wyższa nad siły człowiecze!
Bóg i ojczyzna nie mogą zbyt srodze
Chcieć takich ofiar od duszy niewieściej.

Wzruszony Karliński stara się ją uspokoić i mówi:

Patrz na Maryę na krzyżowej drodze,
Kiedy ją przeszył miecz siedmiu boleści,
Gdy syn jej konał wśród urągowiska
Z przebitem sercem, z cierniami na głowie,
Przeżyła jednak...

Lecz i to nie zdołało pocieszyć Doroty — bo
wszakże jej chodzi o uratowanie syna, dla niego tylko
prosi o łaskę, nie dla siebie, więc mówi dalej:

«Cóż kraj na tem zyska,
Jeśli Zygmunta zamęczą wrogowie?
Ratuj go, mężu! Do siepaczów napisz,
Oddaj im mury olsztyńskiego grodu.
Król ci przebaczy — daremnie się trapisz,
Wszak król jest ojcem swojego narodu!
On twe ojcowskie uczucia oceni,
Przebaczy sercu, które się rozczuła!...

Taka myśl oburza jednak dzielnego Karlińskiego,
więc woła do żony:

«Błuźnisz niewiasto! Czyż ludzie spodleni
Mogą mieć prawo do litości króla?
Me obowiązki zdradziwszy na wojnie,
Czyżbym już zdołał wznieść oczy do góry?

Czyż ja noc jedną zasnąłbym spokojnie,
Wolny od srogiej sumienia tortury?
Małżonko moja! matko nieszczęśliwa,
Czuję boleści, co twe serce gniołą;
Lecz czyż powinna moja głowa siwa
Nad samym grobem okryć się sromotą?

Nieszczęsna matka przeprasza go za podsuwanie podobnych myśli i podaje inną radę: uderzyć na nieprzyjaciół i odebrać im Zygmunta przemocą. Niestety, i to niemożliwe, bo oto właśnie nadeszły wrogom posiłki i wojsko ich jest tak liczne, że taki napad byłby tylko narażeniem się na niechybną zgubę. Trzeba więc czekać na sposobność — tymczasem zaś Karliński odmawia wydania twierdzy.

Ale nieprzyjaciele nie pozwalają namyślać się długo, wkrótce bowiem całe ich wojsko zaczyna się posuwać pod zamek. Karliński każe wymierzyć na nich armaty i już ma wydać rozkaz strzelania, gdy nagle uderza go straszny widok: oto przed wojskami nieprzyjacielskimi, tuż naprzeciw działa, przy którym stoi, postępuje związany syn jego, jego najukochańszy Zygmunt. Strzelać na własne swe dziecko i w ten sposób ocalić zamek — czy też nie strzelać wcale i pozwolić wrogom zająć twierdzę, powierzoną jego opiece? Oto pytanie, jakie sobie nieszczęśliwy ojciec zadaje.

Odwaga, odwaga!

Panie! zbyt ciężką dotknąłeś mnie próbą!
Łzy płyną z oczu... drży serce... drży ręka...
Mróz lodowaty przebiega me kości...
W obliczu wrogów Karliński się lęka,
Lęka spełnienia swojej powinności!...

Tam król, tam hetman... krew dziecka, płacz żony...
Tego zanadto... o, poddać się raczej!

Tak mówiąc bierze do ręki białą chorągiew, której wywieszenie jest znakiem poddania się, lecz po chwili wstrzymuje się i tak znowu myśli:

Kasprze Karliński! zhańbiony! zhańbiony!
Chciałeś się podle poniżyć w rozpacz!
Krew mego syna upadnie na wroga:
Nie ja zabójca, ale on zabójca...
Ziemio rodzinna, matko moja droga,
Przebacz, że chwilę miałem serce ojca!...
Synu mój drogi! starą moją głowę
Któż tu przytuli? Kto do trumny złoży?
Ty miałeś wskrzesić wspomnienie ojcowe,
W tobie rycerstwa widny był duch boży!...
Lecz musisz umrzeć...

Z załamanymi rękami spogląda Karliński na ową białą chorągiew, poczem rzuca ją na ziemię, wołając:

Przebaczcie mi, Nieba,
Żem się zawahał w tak stanowczej sprawie!
Synu! czas przyszedł — wylać krew potrzeba!
Na drogę śmierci ja ci błogosławię!
Żegnaj mi synu, cześć młodej twej głowie,
Że krew przelałeś w krajowej potrzebie!
Kocham cię więcej, niżli własne zdrowie,
Ale powinność droższa mi od ciebie.
Ziemio mych ojców, bierz dar prawowierny
Z krwi pacholecia i z ojca katuszy!
Boże najwyższy! Ojcze miłosierny,
Bądź tam miłościw jego czystej duszy!

Po takiej strasznej walce wewnętrznej chwytając dzielny wódz lont zapalony, przyklada go do armaty

i strzela; gdy dym się rozszedł, zobaczyli obecni trupa młodego Zygmunta, leżącego na polu, rozciągającym się pod murami zamku i Niemców, uciekających w największym popłochu. Olsztyn był ocalony!

Zdarzenie, które Syrokomla w tym dramacie przedstawił, zaszło w rzeczywistości w r. 1587, z tą tylko różnicą, że Zygmunt był jeszcze niemowlęciem i że Niemcy kazali mamce nieść go przed swemi wojskami na rękę — zresztą prawie wszystko odpowiada rzeczywistości. Już przedtem była mowa o tem, jak publiczność wileńska była zachwycona tym dramatem i w jaki sposób ten zachwyty okazywano poecie. Ale co było powodem niezwykłego zapалу publiczności?

Aby to zrozumieć, trzeba przypomnieć sobie, że «Kasper Karliński» powstał w czasie wielkiego ucisku narodowego, że wtedy pod rządem rosyjskim nie wolno było nawet mówić o Polsce i o sposobach odrodzenia jej. Ale właśnie wskutek zakazu mówienia poprostu i otwarcie tego, co leżało na sercu, publiczność i poeci zaczęli się porozumiewać ze sobą inaczej; jedni pisali w formie obrazowej, nibyto o rzeczach obojętnych, drudzy zaś domyślali się w lot, co ten poeta chciał powiedzieć, czego mu nie pozwolono wyrazić jasno i otwarcie i jak te jego słowa należy rozumieć. Powstało w ten sposób tajemnicze porozumiewanie się za pomocą domyślników, niedomówionych słówek i obrazów, przedstawiających jakieś dawne, na pozór obojętne wypadki, a jednak odnoszących się bardzo wyraźnie do tego, co każdemu leżało na sercu i tkwilo w pamięci.

Takim utworem, odnoszącym się do przeszłości,

a jednak bardzo wyraźnie mówiącym o ówczesnych stosunkach, był właśnie «Kasper Karliński». Rząd rosyjski nie mógł znaleźć w nim nic zdroźnego, bo było to tylko opowiadanie z dawnych czasów, publiczność zaś wiedziała doskonale, że ten dzielny człowiek, który własne swe dziecko wolał ofiarować, niż zdradzić ojczystą sprawę, to wzór do naśladowania dla widzów, to ciche, ale dobitne napomnienie: «Takimi jak Karliński powinien być każdy z was, tak jak on powinniście bronić swej ziemi rodzinnej, a wtedy i tę ziemię ocalicie i imię swe okryjecie sławą po wieczne czasy». A jako dowód, że zrozumiano dobrze te słowa poety, znoszono mu kwiaty i oklaskiwano gorąco zarówno utwór, jak i tego, który go napisał.

A Syrokomla uradowany, że tak dobrze utrafił w potrzeby i upodobania ziomków, postanowił iść dalej tą samą drogą i pisać znowu dramaty z taką samą myślą przewodnią, jak «Kasper Karliński». Tak powstał «Wyrok Jana Kazimierza», w którym stary, dzielny rycerz Gnoiński przebija własnego syna za to, że zdradził ojczyznę i walczył po stronie Szwedów — taki był także powód do napisania dramatu «Możnowładcy i Sierota», w którym Zofia, księżniczka słucka, oddaje rękę znieuawidzonemu wrogowi, aby w ten sposób położyć kres bratobójczej walce. Ale oba te utwory nie dorównywują «Karlińskiemu», nie ma w nich ani tego uczucia, ani tej prostoty, jaką tamten dramat tak wybitnie się odznaczał.

Nie można się temu dziwić. Życie poety było w tym czasie tak przykrem, tyle w niem było cierni, że głębokie, prawdziwe i szczere uczucie zaczęło

w piersiach Syrokomli powoli zamierać. Wyobraźmy sobie człowieka bardzo chorego, którego chwile były już policzone, zmuszonego troszczyć się o chleb powszedni dla siebie i dla swojej rodziny. A chleba tego trzeba było dużo, bo rodzina była liczna: trzeba było przygarnąć nie mającą środków do życia siostrę wraz z dziećmi, a w ten sposób wynosiła liczba osób, żyjących z pracy poety, prawie dwadzieścia! Trzeba więc było pisać ciągle, pisać wiele, bardzo wiele, aby za te wierszyki otrzymać pieniądze — stąd pochodziło ustawiczne natężanie umysłu, które naturalnie było bardzo nużące, stąd także pochodziło coś o wiele gorszego: oto nie można było czekać na natchnienie, nie można było nawet długo się zastanawiać nad żadnym utworem, ale trzeba było iść za snującymi się w schorowanej głowie myślami i pisać wszystko, co one poddawały, byleby tylko prędko a wiele. Dla przykładu przytaczam, że jeden z najobszerniejszych swoich utworów dramatycznych p. t. «Możnowładcy i Sierota» napisał Syrokomla w przeciągu dziesięciu dni, kiedy w zwykłych warunkach praca taka wymaga przynajmniej kilku miesięcy czasu. Nie można więc chyba wymagać, aby wszystko, co w takich warunkach «lirnik litewski» napisał, było bez zarzutu, żeby było skończonem arcydziełem — owszem, trzeba podziwiać jego ogromne zdolności, które pomimo to wszystko stwarzały dzieła piękne, a nieraz nawet tak piękne, że należą do ozdób naszej literatury.

Oprócz choroby i kłopotów pieniężnych były jednak jeszcze innego rodzaju przykrości w życiu naszego poety, a przede wszystkim rozgorczenie iniechęć

do ludzi. Do Syrokomli możnaby w tym wypadku zastosować nasze znane przysłowie, które powiada, że «kto się raz sparzył, ten i na zimne dmucha» — z tą tylko różnicą, że on już nie raz zawiódł się na ludziach. On tak im był oddany, tak życzliwy, tak chętnie byłby się nawet dla nich poświęcił — a za to wszystko nie tylko nie doznał wdzięczności, nie tylko nie odplacono mu za jego miłość wzajemną miłością, ale zaczęto go obmawiać, najlepsze jego chęci tłómaczyć fałszywie na jego niekorzyść i za chleb odplacać kamieniem. Że taki zawód jest przykry i bolesny, to rzecz jasna, a dla Syrokomli był on tem przykrzejszy, że trafiał się nie po raz pierwszy i że dotyczył człowieka chorego. Cóż więc dziwnego, że to uczucie serdecznej miłości ku wszystkim bez wyjątku ludziom, jakie widzieliśmy w pierwszych jego utworach, zaczyna znikać, a miejsce jego zajmuje gorycz wypływająca z przekonania, że poświęcanie się dla drugich jest tylko brakiem rozumu. Myśl tę wyraził on w wierszyku pod tytułem «Sen i kabała».

Poeta zwraca się do Morfeusza, którego starożytni Grecy i Rzymianie uważali za bożka snu, i prosi go o jakieś przyjemne widzenie senne:

Morfeuszu! sklej mi oczy,
Niechaj jaki sen uroczy
Zobaczę!

Morfeusz spełnia to żądanie, poeta zasypia i we śnie zdaje mu się, że jest w Egipcie, nad brzegami rzeki Nilu i że widzi następujące zdarzenie:

Siedzi sobie ponad Nilem
Ptaszek, zwany krokodylem
I płacze.

Bieży sobie ciche jagnię,
Co się wody napić pragnie,

I pyta:

— «Krokodylku! co to znaczy?
«Na twym dzióbku łza rozpaczy
«Tak świta?»

— «Synu owcy i barana!
«Twemu sercu litość znana,
«Daj uszko,
«W mej boleści ulżę może,
«Gdy do głębi ci otworzę
«Serduszko!»

I baranek dał skok chyży,
Ze współczuciem doń się zbliży

I rzecze:

— «Ulżyj sercu, co pod głazem,
«Pozwól, niechaj z tobą razem
«Zabeczę».

I poufnie uszko schyla,
Aż się paszcza krokodyla

Zaśmieje:

Klapnął paszczą — bez zachodu
Pożarł baraniego rodu
Nadzieje!

II.

Stara babka sny tłumaczy:

— «Powiedz, babko, co się znaczy
«Sen taki?»

Babka na stół kładzie karty
I zażywa po raz czwarty
Tabaki.

— «Dzwonka!... czerwień!... sens się splata,
«Że nie z sercem idź do świata,
«Lecz z wiedzą;
«Zamknij serce, niech się studzi,
«A unikaj czułych ludzi,
«Bo zjedzą.

«Tuz... król... kralka... dama... walet...
«Kto chciał szukać z serca zalet,
«Był skaran!
«Krew serdeczną wyssał tobie,
«I napiszą na twym grobie:
«Żeś baran!»

Znaczenie tego wierszyka jest jasne: ludzie, to straszny potwór, który udaje lzy, a gdy ktoś naiwny zbliży się do niego i chce go pocieszyć, on otwiera swą olbrzymią paszczę i pożera go z radosnym śmiechem. Więc nie ze sercem, ale z rozumem trzeba do tego potwora się zbliżać, bo inaczej on «wyssie krew serdeczną» temu, który mu lekkomyślnie uwierzy i jeszcze okrzyczy go za głupiego barana.

Tak zapatrując się na ludzi nie mógł biedny poeta czuć się szczęśliwym w ich otoczeniu — zaczął więc tęsknić za cichą wioską, w której tak miło i swobodnie płynęło mu niegdyś życie, bo choć i wtedy było w niem niemało przykrości, to czemże jednak były one w porównaniu z tymi wszystkimi ciosami, które teraz spadały na jego głowę? Zdawało mu się, że los jego jest takim, jakim musi być los ptaszka

schwytanego w lesie i zamkniętego w klatce — i na tej myśli osnuł prześliczny wierszyk, pod tytułem «Śmierć słowika». Przytaczam go w całości zwracając uwagę na to, że ten słowik, zamknięty w klatce i zagłuszony głosem przechodniów i turkotem przejeżdżających wozów, to sam Syrokomla i jego życie w zgiełku wielkiego miasta.

ŚMIERĆ SŁOWIKA

W drucianem więzieniu, gdzie kipi gwar miasta
Zamknęli słowika;
Lecz chętka śpiewania tak wzrasta, tak wzrasta,
Że pierś mu przenika.
Och! nie masz tu cienia w olszniaku, w leszczynie,
Co głowę osłoni!
Och! nie masz tu wtóru, bo strumyk nie płynie
Ze szmerem po błoni!
Och! nie masz tu lubej, dla którejby warto
Choć skonać wśród pieśni!
Nie można wylecieć na przestrzeń otwartą
Bo klatka lot cieśni.
Tu zamiast wietrzyka o bruk koła grzmiocą,
Aż trzęsą się ściany,
Tu kurzem osypie jadący karocą
Pan w złoto przybrany.
Tu zamiast strumyka tłum płynąc jak woda
I tętni, i wrzeszczy;
Gdzie tutaj zaciszę? gdzie tutaj swoboda,
By wydać głos wieszczy?
Aż chwieje się główka, aż pęka mu łono,
Kurzawa aż dusi;
Lecz kogo na świecie słowikiem stworzono,
Ten śpiewać już musi.
Poczyna piosenkę, w tonach się rozpada,
Wygłasza swe żądze,

Gdy głuszy go ciągle przechodniów gromada,
Co liczy pieniądze.
Lecz silne, strzeliste śpiewanie słowicze
Przemagać poczyna.
Wóz tętni bo bruku... «O, ja go przekrzyczę!»
Tak myśli ptaszyna.
I nutą wciąż wyżej a wyżej wystrzela,
Góruje głos młody!
Przypomniawszy swe chwile dawniejsze wesela,
Swe chwile swobody.
Przypomniawszy swój gaik i lube wieczory
Pod gęstą kaliną;
Przypomniawszy serdeczne, długie rozhowy
Ze swoją jedyną, —
Jak budząc się ze snu, przed jutrznią, przed słońcem,
W mgle rannej lał trele,
I głosem królując nad ptactwa tysiącem,
Był zawsze na czele!
«Przekrzyczę, prześpiewam niesforne te gwary,
Pomimo hałasu!
«Do wyższej, do wyższej nastroję się miary!»
Tak myślał syn lasu.
Lecz bardziej a bardziej łoskotów grzmią krocie,
Bruk miejski wciąż dudni;
A jakby na przekór, w ulicznej ciasnocie
I ludniej, i ludniej.
Ów, drugi przechodzień swe kroki zatrzyma
I słucha pieśniarza;
Pochwała tem bardziej pierś jego rozdyma
I zapal rozżarza
Niebaczny! twój tryumf oplacasz zbyt drogo
Cóż ciżby brukowe?
Zdobędziesz ich oklask, lecz płakać nie mogę
Ich oczy matowe.
Słuchaczów, co płaczą łezkami rozkoszy,
Potrzeba ci właśnie;

Tys nie znał oklasków, bywało cię spłoszy
Kto w dłonie zakłaśnie.
Już ból wysilenia rwie piersi ptaszące,
Skrzydółka omdlały...
On tego nie czuje! bo w swojej piosence
Utopił się cały!
Całego słowika ogarnął szal pieśni,
Aż echem drga klatka;
Tem śpiewa donośniej, im cierpi boleśniej
Z sił swoich ostatka.
A wozy wciąż huczą, a ciżba wciąż krzyczy:
Ci sobie, on sobie,
Aż pęknął od pienia gardziołek słowicy
W ostatniej swej próbie.
Daremnie w drobnouchne skrzydółka szeleszcze,
Chwieje się i ślania;
Gorące serduszko zadrgało raz jeszcze,
Lecz taktem skonania.
I ten, co pieśniami górował nad knieją,
Tu zerwał swe siły;
A koła po bruku szydereo się śmieją
Że ptaszka zabiły!

Gdyby ktoś nie chciał dowierzać, że Syrokomla pisząc o słowiku miał na myśli siebie samego, przekonałby go zapewne ustęp z listu, pisanego do Kraśzewskiego, gdzie poeta nasz tak opisuje swoje życie w Wilnie: «Mieszkając w środku miasta w gwarnej, brudnej ulicy czułem od nocy do świtu, jak mi mózg kipi od gwaru dorożek i napędza do głowy ból niewypowiedziany». A wszakże ten gwar ludzi i dorożek to także główna przyczyna śmierci biednego słowika, bo właśnie chęć zagłuszenia tego stuku i wrzasku spowodowała zbytne natężenie, a następnie śmiertelną ranę w małym gardziółku leśnego śpiewaka.

Czytelnik może zauważyć, że Syrokomla wspomina o swoim mieszkaniu w środku miasta, na gwarnej i ludnej ulicy, a powyżej była mowa, że wynajął sobie ładny dworek na przedmieściu. Nastąpiła zatem zmiana mieszkania, spowodowana nieszczęsnym brakiem pieniędzy — dworek był za drogi, nie było czem opłacać czynszu, trzeba więc było przenieść się do innego domu, tańszego. Była to stara jakaś kamienica, brudna, niechlujna; mieszkanie przypominało raczej jaskinię, niż dom przeznaczony dla ludzi — ale było tanie! Gdy zaś choroba się zwiększyła i gdy lekarze kazali Syrokomli przenieść się do innego domu, okazało się to znowu niemożliwym, bo poeta winien był gospodarzowi, staremu jakiemś lichwiarzowi, za czynsz, a ten nie chciał wypuścić go pierwej, aż mu dług nie zapłaci. Wreszcie wystarał się biedny autor «Kaspra Karlińskiego» o trochę pieniędzy, zapłacił dług i wynalazł sobie nowe mieszkanie, także w środku miasta, naprzeciw katedry, ale już o wiele przyjemniejsze i zdrowsze.

Zdrowie poety było jednak tak bardzo nadwreżone, że mu zmiana pomieszkania nie mogła już pomóc. Ażeby go trochę oświeżyć i ożywić, kazali mu lekarze wyjechać do jakiegoś miejsca kąpielowego; zajaśniała jakaś lepsza chwilka, znalazło się trochę pieniędzy i rzeczywiście Syrokomla wyjechał na lato do zakładu kąpielowego w Druskienikach, położonego nad niewielką rzeczką Wilejką. Nie odbywał tutaj stałej, przepisanej kuracyi, lecz można powiedzieć, że leczył się swobodą, świeżem powietrzem i tą samą myślą, że zgiełk i gwar miejski już mu nie dokucza.

Ale o stałym, prawdziwym odpoczynku nie można było nawet myśleć, bo przecież trzeba było pracować pisaniem wierszy na utrzymanie własne i rodziny. Więc wychodził w pole, siadał pod starą, olbrzymią wierzbą, wciągał w siebie świeże powietrze, śpiewał, rozmawiał sam ze sobą — i pisał; kiedy zaś znużył się bardzo, wracał do domu, posilał się czemkolwiek i znowu szedł do lasu, rozkoszował się pięknosciami przyrody, ciągle składając rymy i przenosząc je olówkiem na papier. W ten sposób przechodził dzień po dniu, a za każdym razem przynosił Syrokomla z takiej wycieczki przynajmniej setkę wierszy, czyli mniej więcej tyle, ile się na czterech stronicach takiej jak ta książeczki zmieści.

Pisał więc wówczas Syrokomla bardzo wiele, ale były to przeważnie utwory drobne, niewielkie. Brakło mu czasu na obmyślenie większych opowiadań, więc chwycił tylko każdą myśl, jaka mu się nasunęła, każdy szczegół z życia potocznego, z tego co widział i słyszał i opracowywał to wierszami. Było to nawet z korzyścią dla jego utworów, bo w ten sposób nie potrzebował się przymuszać i mógł czerpać wprost z serca — a wiemy, że takie rzeczy najlepiej mu się zawsze udawały. Tem też można wytłómaczyć tę dziwną i na pozór niezrozumiałą okoliczność, że pomiędzy utworami z ostatnich chwil życia poety, pisanymi w warunkach tak nieprzychylnych wszelkiemu tworzeniu, znajdują się takie, które należą do najlepszych, jakie kiedykolwiek wyszły z pod jego pióra.

Przypatrzmy się im choćby pobieżnie, bo jest

ich tak wiele i taka w nich panuje rozmaitość, że nawet najważniejszych przytaczać lub streszczać nie podobna. Wiersz pod łacińskim tytułem «Cupio dissolvi», co na polskie znaczy: «Pragnę umrzeć» i kilka innych, objętych wspólnym tytułem «Melodye z domu obłąkanych» należą do najpoważniejszych utworów «lirnika litewskiego», a noszą na sobie wyraźne ślady cierpień duchowych, jakie on w ostatnich latach przechodził. Wyraża się w nich bezmierna rozpacz szlachetnej duszy poety, który musi patrzeć na tyle niegodziwości, jakie się na tym świecie dzieją, a nie może im w żaden sposób zaradzić, powstrzymać ich lub choćby tylko zmniejszyć — a więc po co żyć w takim razie? po co obnosić słabe ciało po skalanej ziemi? czyż nie lepiej zostawić je tutaj a duszą wlecieć tam, gdzie niema występków i gdzie tylko cnota króluje — aż przed tron Boga? Więc też prosi Stwórcę o śmierć jak najrychlejszą, dodając zaraz, że i ta śmierć nie zdoła mu już zapewnić spokoju, bo i na drugim świecie «przygniatać go będzie pamięć grzechu i cierpień» ziemskich, na które tak długo musiał patrzeć.

Nie wszystkie jednak wierszyki z ostatnich lat życia Syrokomli są tak smutne, tak rozpaczliwe, jak powyższe — owszem, jest tu niemało tak swobodnych i wesółych, jakby je pisał człowiek najszcześliwszy pod słońcem. Wesolość nie opuszczała go nawet na kilka dni przed śmiercią, bo już dogorywając prawie napisał do swej sąsiadki, która go niepokoila ciągłą grą na fortepianie, następujący wierszyk:

Sąsiadeczko, nie bij w klawisz,
Bo tem chłopców nie zabawisz
A chorego i sąsiada
Różnić po uszach nie wypada.

Ale choć na najrozmaitsze tony spiewa nasz lirnik i o najrozmaitszych rzeczach, to jednak najczęściej odzywa się w jego poezjach sprawa ludu, jego dola i niedola i myśl o jego przyszłości. Nie w tem dziwnego. Wiemy, że Syrokomla przez całe swe życie okazywał gorącą miłość dla ludu zarówno w czynach jak i piosenkach swoich, że przedstawiał jego biedę i nawoływał braci, aby jej zapobiegli, aby przez zniesienie pańszczyzny przyznali ludzkie prawa biednym włościanom i podali im swe dłonie jako równym sobie synom jednej matki — Ojczyzny. Otóż w tym właśnie czasie marzenia naszego poety zaczęły się spełniać. Szlachta polska i litewska podała do cara prośbę, aby wolno jej było znieść poddaństwo, a kiedy rząd rosyjski, choć z niechęcią, pozwolił na pewne zmiany, zaczęto się zbierać na narady i częściami, w jednej okolicy za drugą, uwalniano wieśniaków od pańszczyzny, przyznając im ziemię na własność. Wtedy, a było to w r. 1861, napisał Kondratowicz radosny wierszyk, witając nowe czasy, lepsze i szczęśliwsze, bo w nich już nie będzie «starej nędzy», «starej niewoli», poczem tak mówi:

Kmiotek litewski, co orząc lany,
Żył i umierał na cudzej grzędzie,
Dziś uroczyste został wezwany
Zająć swe miejsce w społecznym rzędzie.

Aż poświetlało w ubogiej chacie,
Poweselało na polu zboże,
Gdy mu rzeczono: «Rolniku, bracie,
«Ziemia twych ojców twoją być może».

Szlachcic ją zdobył krwią swego przodka,
Ty ją zdobyłeś trudem mozolnym;
Jeszcze zdrój potu... nagroda słodka...
Rzeczysz do syna: «Ty jesteś wolnym!»...

A jak niegdyś prosił szlachtę, aby pozbyła się
uprzedzeń do ludu, tak teraz odzywa się do wieśniaków z prośbą, aby pokochali szlachtę i zapomnieli o tem, co było dawniej:

Starą nienawiść do starszej braci
Niech zapomnienie wieczne przygniecie,
Trzeba przebaczyć, że są bogaci...
Dziś bogatymi zostać możecie!

A w jaki sposób można dojść do tego?

Promienie światła, nauk mozoly,
To tajemnica bogactwa cała:
Do szkoły działwę, szlejcie do szkoły!
Już dziś ciemnota wam nie przystała.

Dziady szlacheckie z dziady waszymi
Przeżyli wieki doli, niedoli;
Wnuki z wnukami na tejże ziemi
Obywalelska miłość zespoli.

W rozszerzaniu się oświaty, w zakładaniu szkół wiejskich upatrywał Syrokomla jedyny sposób podniesienia stanu włościańskiego z niedoli i zapewnienia mu szczęścia — to też wszystkim i ciągle przy-

pominał ten obowiązek i zachęcał do zakładania szkólek, tak dalece wszystkim, że nie pominał nawet dzieci. W «Nowem abecadle» tak się do nich odzywa:

Kto ziarnko nauki pochwyci,
Niech zaraz tem ziarnkiem wzbogaci
Wioskowe siostrzyczki i braci.
Ich ojciec, co z sochą we dworze,
Nauczyć swych dziątek nie może,
A matka, robotą zajęta,
Zaledwie *Ojciec nasz* pamięta
A szkoła daleko od wioski,
A szczupły jest grosik ojcowski.
Więc, dziatwo, choć iskrę oświaty
Zanieście do ciemnej ich chaty,
Nauczcie wieśniaków czytania,
I czego katechizm zabrania,
I kiedy duszyczka szczęśliwa,
I jak się ta ziemia nazywa,
I jacy tu byli królowie,
Niech każde co umie, rozpowie.

Po takim wezwaniu do pracy nad oświecaniem ludu tak dalej przemawia do młodzieży:

Pod brzozą cienistą i gruszą
Podzielcie się sercem i duszą;
A gdy im rozjaśnia się oczy,
Nauka was z kmiotkiem zjednoczy.
Już wtedy w niebiańskim zachwycie
Na waszą książeczkę spojrzycie,
A widząc raj ziemski otwarty,
Całować będziecie jej karty,
Bo anioł wam w sercu zagości,
Za wasze zasługi w ludzkości.

A będzie i nagroda za taką pocziwą pracę, bo:

...kiedy ziemica rodzona
Was wszystkich powoła do grona,
Czyż dusza nie będzie ci rada,
Gdy obok zobaczysz sąsiada?
Gdy blaskiem talentu zaświeci
Wyuczony przez ciebie syn kmieci,
Przypomnisz książeczkę twą młodą,
Siądziecie z braterską swobodą.

A więc oświata nie tylko zapewni ludowi szczęście i dostatki, ale doprowadzi do skutku to, co już od tak dawna było największem marzeniem wielu zacnych i rozumnych ludzi: połączy wszystkie warstwy, zarówno wieśniaków, jak szlachtę i mieszczan w jeden wspólny i zgodny, miłujący się nawzajem naród.

Te dobrodziejstwa nauki przedstawił Syrokomla w osobnej gawędzie, dłuższej nieco, ale bardzo ładnej, pod tytułem: «Szkoła wiejska». Utwór ten przytaczamy tutaj w całości, bo warto się z nim zapoznać.

SZKOŁA WIEJSKA.

(Gawęda).

I.

Na końcu naszej wioski stała się nowina
Starzy nie wiedzą: płakać czy śmiać się należy?
Pobudowano chatę, jeszcze bez komina,
Jeszcze bierwion sosnowych nie przykrył tynk świeży,
Jeszcze okna nie wbite złożono pod ścianę,
A już wniesiono ławki, coś nakształt kościoła,
Jak świat światem, tych dziwów u nas nie slysmano:
Tu będzie szkoła!...

II.

A może to i dobra, może zła nowina:
Każą chłopców posyłać do tego tam czarta;
Kazał pan, kazał pleban, kazał pan starszyna,
To niech sobie i chodzą — rzecz kłótni nie warta.

III.

Sprowadzili jakiegoś jegomości z miasta,
Broda mu jak miotelka żółtawa wyrasta,
Chodzi w krótkim kożuchu, kapeluszu dużym,
Pali krótkie papierki, jak my lulkę kurzym,
Pan... nie pan, bo nie hardy : chłop... nie chłop, bo czyta,
Nie ekonom, bo dziewcząt w objęcia nie chwytą;
Pójdzie czasem do księdza, a czasem do dwora,
A z ludźmiby gawędził z rana do wieczora.
Najął chatę u chłopą, je, co Pan Bóg zdarzy,
I pędza do roboty mularzy i szklarzy.
Sam pomaga w robocie, choć mało co zna się:
Chce szkołę w jak najprędszym pobudować czasie.

IV.

Pobudowano szkołę, — ksiądz w komżę ubrany
Przyszedł do niej z kropidłem, poświęcił jej ściany,
Ponapędzano chłopców, z nimi starsi przyszli,
I ksiądz mowę powiedział bardzo pięknej myśli:
O jutrzni, która kiedyś nad ziemią zaświeci,
O świętym Kalasantym, co sam uczył dzieci.
Dobrze nie zrozumiała wszystkiego gromada,
A baby to aż płaczą, że tak pięknie gada.
Lecz samo zakończenie już spamiętać łatwo:
«Przyjdź Duchu Przenajświętszy! A ty ucz się dziatwo!»

V.

Ot i szkoła!... aż dziwo!... czysto jak w miasteczku.
Na ganku spory dzwonek przybili na ćwieczku,

Dzieciom rozdali książki, tablice, seksterna¹⁾
Patrzym... co z tego będzie... Matko miłosierna!
A co z miasta przyjechał ten jegomość nowy,
Dzieciom przykazał myć się i poczesać głowy,
Czyste skończenie świata! szaleją panowie!
Ksiądz pleban z katechizmem, daj mu Boże zdrowie!
A tamten różne rzeczy prawi na przemiany,
Czytają, piszą, krzyczą, aż trzęsą się ściany.
Szkoła jak targowisko o wieczornej dobie,
Kiedy to naród Boży podchmiela się sobie.

VI.

Ot, od czego rozpoczął swe światu przysługi
Tysiączny, osiemsetny, sześćdziesiąty drugi.
Wielki Twórco świata! w jakież dalsze pole
Pchniesz jego dołę?...

Tak rozmyślał stary wieśniak patrząc, jak w rodzinnej jego wiosce zaczęto budować szkołę i uczyć dziatwę. Teraz przedstawia nam Syrokomla młodego chłopaka, który ukończył już jedną lub dwie klasy i rozmyśla, co też on ze sobą pocznie i jak wyzyska najlepiej nauki, których mu w szkole udzielano.

VII.

Wraca pacholę wiejskie ze szkoły:
Musiał się uczyć, bo jest wesoly,
Musiał za pilność pochwałę dostać
Bo zuchowato najeżył postać,
I tak sam w sobie odwagę nieci:
— «Mówił ksiądz pleban: «Chłopskie wy dzieci,
«Chłopskie wy dzieci, ale przez księgę

¹⁾ Zeszyty.

«Rozwielmożnicie waszą potęgę».
Jeśli to prawda!... mocny mój Boże,
To ja do książki tak się przyłożę,
I w dzień i w nocy, w wieczór i rano,
Aż zgłębię wszystko, co napisano,
I wyrozumiem dwa a dwa cztery,
I będę pisał jak sztych litery;
Bylebym zechciał, dotrwam w zamiarze,
I być wielmożnym sam sobie każę.
Lecz czemuż będę na Bożym świecie?
Pozostać chłopem nie można przecie,
Tylko nauka poszłaby marnie,
Te, co mój ojciec, znosić męczarnie,
Wypasać woły nago i boso,
Chodzić z toporem, sochą i kosą,
Żyć łusą chleba czarną i twardą,
I nierozumnych ludzi pogardą!
Tego nie warto...

VIII.

«Ot tak na zmianę

Ja ekonomem sobie zostanę;
Będę bił ludzi... brzydko bić ludzi!
Będę za bracię znał ich kochaną,
Jak w katechizmie wydrukowano;
Będę miał dla nich i miód i piwo,
Jak to śpiewają w pieśniach we źniwo;
Zapuszczę wąsy jak miotły duże,
Sprawię czapeczkę z kutasem w górze,
I tabakierkę ze srebrnej cyny,
I cztery konie, tłuste mierzyny,
I kupię brykę, i wezmę żonę,
Co nosić będzie suknie czerwone,
Bogaty czepiec z białych koronek,
I łajać męża przez cały dzionek.
Pan łaje sobie, a żona sobie,

Trudno przenosić jednej osobie...
Nie... ekonomstwo dla mnie nie w porę,
Inne rzemiosło sobie obiorę...

IX.

Będę malarzem, jak ten pan Jerzy,
Co do kościoła robił żołnierzy,
Tacy wążacze! przy Pańskich grobie
Stoją z mieczami i drzemią sobie.
Mają kaftany robotą cudną,
Z płótna, czy z blachy, odgadnąć trudno;
Lecz za to pióra, co zdobią głowę,
Jedno błękitne, drugie różowe.
Malarz im za to dał nogi krzywe,
Że mieli serca Nielitościwe,
Pana Jezusa męczyli srodze,
Za to dziś stoją na jednej nodze.
Dobrze im za to... Będę malarzem,
I co umiemy, wtedy pokażem.
Nakupię pędzli i farb niemało:
Czerwoną, żółtą, błękitną, białą,
I odmaluję wiosieczkę naszą,
Z chatami, z groblą, z rzeczka i paszą,
Będzie kościółek, będą mogiły,
I organisty domek pochyły,
Gołąbki latać będą nad wieżą,
A brzołka wonią oddychać świeżą,
Rzeczka szczebiotać swoje paciorki
I szumieć będą jodłowe wzgórkki.
I będzie słychać z mojego płótna,
Starej żebraczki piosenka smutna,
Szczekają kundle, klóca się baby,
I stęka idąc dziadulko słaby.
A nad tem wszystkim oblok poranny,
I widać postać Najświętszej Panny:
Pana Jezusa mając na łonie,

Ku naszej wiosce wyciąga dłonie,
 I błogosławi te nasze ściany,
 I nasz kościółek stary, drewniany,
 I naszą szkółkę i nasze żyto,
 I naszą łąkę kwiatem pokrytą,
 I błogosławi każdego człeka,
 Czy który z blizka albo z daleka.

X.

«Bo tam z za góry ledwie widzianej
 Z chorągiewkami jadą hulany,
 Boże mój, Boże! co za koniska!
 Każdemu z nozdrzy ogień wypryska...
 Sam będę zuchem, rada nie służy,
 Już ja malarzem nie będą dłużej!
 Jak tylko obraz namalowany,
 Siadam na konia i marsz w hulany!
 Strój będzie złoty, — lecz mniejsza o to,
 Tu mi nie idzie o jasne złoto;
 Wąs będzie duży, co mi wąsiska!
 Lecz żołnierz, mówią, sławę pozyska;
 Jak wróci z krzyżem ku swojej strzesze,
 Toż to rodzicom radość przyniesie,
 Ojciec się splacze, a matka powie:
 — «Toż to jest syn mój! to moje zdrowie!»
 Zbierze sąsiadki i gospodarzy,
 I mnie uścisną dziadowie starzy;
 Wartoż dać życie za taką chwilę...
 A jak się czasem w mustrze pomylę,
 Albo mi szablą zgruchoczą ramię,
 Albo mi kula głowę odłamie,
 Albo co gorsza, nie dopuść Boże,
 Na bojowisku strach mię przemoże,
 I szarpnę z placu gdzieś w gęste jodły,
 A ludzie krzykną: — «Podłyż ty, podły!»
 Toż dla rodziców z piasku przykrycie,

A dla mnie hańba na całe życie.
Nie!... choć w hulanach dobrze się zdawa,
I piękny mundur i głośna sława,
Ale tymczasem to blask zwodniczy,
Jeśli sam siebie kto nie obliczy.

XI.

«Gdzież mi obliczać? nie z moim wiekiem!
A mnie tak pilno zostać człowiekiem!
Człowiekiem trudno... trudno hulanem,
A więc... cóż robić? zostanę panem.
Naprzód sprowadzę gromadę chłopią,
Niech mi na pałac gliny nakopią,
Za to odpiszę wszystkie szarwarki,
I dam każdemu wódki dwie czarki.
Potem przyjedzie architekt biegły,
Każe nawozić czerwonej cegły,
I pobuduje pałac wysoki,
Co będzie wieżą straszyl obłoki,
Jako straszydło, co na wsi chlopi
Straszą w ogrodach wróble z konopi.
Gdy matka pańskie młóciła zboże,
Niosąc jej obiad, byłem we dworze;
Jak dziś pamiętam, obiad był taki:
Wodna polewka i trzy ziemniaki.
Pan, co pilnował młocków w stodole,
Jakoś polubił biedne pachole,
Wziął mię za rękę, popieścił, gładził,
I do palacu swego prowadził.
Cóż tam za rozkosz! jak miękkie lawy!
Na każdej błyszczy tyftyk złotawy,
Jakie zwierciadła! coś jakby w niebie!
Zdaje się, człowiek drażni sam siebie,
A na obrazie, co aż mur łamie,
Panny w kąpieli w złocistej ramie.
A jakie okna!... jaka podłoga!

Co to za przepych na miłość Boga!...
 Tak samo wszystko u mnie urzędę,
 Będą i sługi, będą pieniądze,
 Będą i konie, będą powozy,
 I lulka długa jak gałąź brzozy,
 I będę gadał po europejsku,
 Ani po polsku, ani po chłopsku,
 Będę pił wino, co strzela korkiem,
 Jeść marcypany z kwaśnym ogórkiem,
 A jak mi matka w starej siermiedze
 Przyjdzie żałośnie płakać na nędzę,
 Albo brat młodszy wejdzie mi w drogę,
 — «Daj mi panonoczku, daj zapomogę!»
 Mnie zarumienią ich smutne twarze,
 To z mego domu wypchnąć ich każę.

XII.

«Och, co ja bluźnię!... Jezusie Chryste!
 Oddal odemnie myśli nieczyste!
 Matko i bracie! Dziwne narowy!
 Myśl nieczłowiecza przyszła do głowy,
 Grzesznik przed wami na klęczki pada,
 Niech mię ksiądz pleban jutro spowiada;
 Jam grzech mój ciężki, pogardę wami,
 Gotów oplakać krwawemi łzami.
 Niech równiennicy a swawolnicy
 Blotem obrzucają mnie na ulicy!
 Na tę myśl ciężką lichu mnie wniosło.
 Ej grzeszne, grzeszne dumne rzemiosło,
 Jeszczeby w piekle śpiewać wśród płaczu
 Pieśń o Łazarzu i o bogaczu...
 I przez nauki wzięte korzystnie,
 Toż to się silniej bracie uściśnie!
 Toż to nakupię elementarzy,
 Toż mnie uściskiem pleban obdarzy!
 A nie otarłszy łzy jeszcze z powiek,

Rzeczce: — «Mój mały, widać żeś człowiek!
•Idź ucłowieczać rodzinną wioskę!
•Idź gładko orać skibę ojcowską!
•Idź z ciężkim rydlem, choć mędrzec taki,
•Ze starą matką sadzić buraki,
•A wśród buraków rzuć jej nieznacznie
•Nasienie słońca, co rodzić zacznie.
•Ja cię przeżegnam, niech Bóg wysłucha:
•Idź w imię Ojca, Syna i Ducha!»

•Otóż polecę, toż będą radzi!
Nasienie słońca proboszcz sprowadzi,
Ja siał je będę na naszej niwie,
Gdy Bóg pozwoli, wzrosną szczęśliwie,
Nie zbędzie deszczu, nie zbędzie rosy,
Wyrosną kłosa aż pod niebiosy,
A Pan Bóg niwę tutejszej włości,
Nakarmi chlebem aż do sytości!
Mnie to zawdzięczy cała gromadka.
Splacze się ojciec, splacze się matka;
Taka łza w sercu perlą powraca...
Toż moja książka!... toż moja praca!

•Chciało mnie zrobić zachcienie wieszce
Panem, hulaniem i czemś tam jeszcze;
Ja, choć bić będę głową o ścianę,
Chłopem zostanę!»

Widzimy, że w tej gawędzie przedstawił nam Syrokomla, jak pojmuje cel nauki, której tak bardzo pragnął dla włościan: oto nie na to powinni się oni uczyć, żeby wyszukiwać sobie nie wiedzieć jakie zawody, lecz na to, żeby siedząc na swej niwie i uprawiając ją byli dalej wieśniakami, ale wieśniakami rozumnymi, wykształconymi i żeby z tej wiedzy korzy-

stali dla poprawienia swego bytu i uprzyjemnienia życia. A ile w tej jego radzie było prawdziwej szczerości i głębokiego przekonania, że tak będzie najlepiej, to łatwo zrozumie każdy, kto wie, jak Syrokomla gorąco kochał zawód włościanina i jak na nie nie byłby zamienił kawałka roli, którą uprawiał, gdyby mu tylko ta rola pozwoliła wyżywić liczną rodzinę.

Tak więc radował się nasz poeta, że przecież nastają lepsze czasy, że lud będzie wreszcie wolnym, swobodnym i że dostępne mu będzie światło nauki. Ale radość nie była niezamącona, bo było jeszcze wielu takich, którzy trwali w dawnych przesądach i nie chcieli zrozumieć, że te wszystkie zmiany będą korzystne dla społeczeństwa — owszem, widzieli w nich niebezpieczeństwo groźne na przyszłość. Takich nazywa Syrokomla głuchymi, którzy nie chcą słyszeć i rozumieć głosu rozumu i marzy o «dzwonach», któreby tę ich głuchotę mogły uleczyć i rozwiać nie-szczęśne przesady:

Dzwony na głuchych dzwoniły i dzwonią,
A przecież ludzkiej nie budzą głuchoty;
Czy kapłan świętą porusza je dłonią,
Czy siwy mędrzec pobudza do cnoty,
Głos ich marnieje, bo ciżba zbłąkana
Nie słucha głosu mędrca i kapłana.

Lecz Bóg troskliwy o poprawę ludzi,
Nim za występki ich plemię zatraci,
Jeszcze proroki w społeczności budzi,
By głosem bratnim wolali na braci;
Mędrzec ich lęka, lecz braterskie słowo
Pilniej porusza ich dekę piersiową.

Dzwony na głuchych!... O! błogosławiony,
Komu Pan zostać swem echem pozwoli
Dzwonić na sennych, budzić czyn uśpiony,
Na samolubów, na ludzi złej woli,
Rozbić w przestrzeni siłą kolatania
Chmurę przesądów, co słońce zasłania.

Były jednak chwile przykrzejsze, niż myśl o samych tylko przesądach. Oto w stolicy Litwy, w ulubionem Syrokomi Wilnie, zebrała się wielka liczba okolicznych właścicieli ziemskich na naradę w sprawie włościańskiej. Jak w każdej gromadzie ludzi, tak i tam byli zarówno szlachetni, jak i niepoczciwi — ale nieszczęśliwym jakimś wypadkiem przeciwnicy wszelkich zmian zebrali się liczniej, niż ci zacni obywatele, którzy grunta swe pragnęli oddać wieśniakom. Ci więc, liczniej zebrani, nie chcieli się w żaden sposób zgodzić na zupełne wyzwolenie włościan. Napróżno przypomniano im, że już dawno, bo jeszcze w r. 1818, ta sama szlachta wileńska postanowiła na zjeździe przyznanie włościanom gruntów na własność i zniesienie pańszczyzny, że ich obowiązkiem jest wprowadzić teraz te żądania w życie, że wreszcie w innych okolicach Litwy już uchwalono uwłaszczenie — oni uparli się i przeprowadzili tylko ustawę o pewnych zmianach w stosunku ludu wiejskiego do dworu. Skutkiem tej nieszczęsnej uchwały było ogólne oburzenie ludności na tę garstkę samolubów, która dla swoich własnych korzyści przeszkodziła urzeczywistnieniu tak długo oczekiwanej i upragnionej myśli. Jak zaś bardzo odczuł ten wypadek nasz poczciwy poeta, świadczy wiersz, który poniżej przytaczamy.

Posuwa się Syrokomla tak daleko w swem bolesnem uniesieniu, że nie chce nawet przyznawać się do tego, iż jest szlachcicem, bo jego zdaniem ci ludzie niegodziwi zhańbili godność szlachecką i podali ją swym postępkom w powszechną pogardę. Oto jak się wyraża o tem zgromadzeniu i jego uchwale:

Wróżąc urodzaj tego roku rzadki,
Piękne dożynki społecznego żniwa,
Chodziłem codzień patrzeć za rogatki,
Czy wielu szlachty do miasta przybywa.
Gdy mnie obrzucił pył pańskiej kolaski,
Gdym ujrział postać znajomą w przeźroczu,
Łzy biegły z oka — czy to gryzły piaski?
Czy coś z pod serca płynęło do oczu?
Ja nie wiem, nie wiem, skąd ta łza się kręci,
Skąd moje czoło hardziej wawrzynem;
Że mój prapradziad był szczerym Litwinem,
Że jestem szlachcic, że mam herb w pieczęci.

Myślałem sobie: — Napróżno krzykacze
Rzucali błotem na szlacheckie miano!
Jutro, pojutrze na oczy zobaczę,
Że nas niedarmo szlachetnymi zwano;
Jutro, pojutrze z uniesieniem powie
Moskwa i Polska, cała Europa,
Żeśmy Litwini w dobrowolnej znowie
Jarzmo i łańcuch rozwiązali z chłopą;
I że najpierwsze odbiorą oklaski,
I kartę w dziejach, jako przykład światu,
Ci, którzy dzierżą marszałkowskie laski,
Którzy są głową i sercem powiatu;
Jak Zygmunt August, oni z własnej chęci
Zrzekną się bicia, nie słowem lecz czynem...
I byłem chlubny, że jestem Litwinem,
Że jestem szlachcic, że mam herb w pieczęci.

Ze szlachtą w Kownie pilem przed miesiącem
Radosny toast wyzwolenia włości;
Czytałem z Grodna, jak inkaustem¹⁾ wrzącym
Brat swemu bratu dawał wiadomości:
«Choć tutaj piaski, choć tu grunt nieżyzny,
«Choć do Druskienik pieniądze mieć muszę;
«Winszuj mi, bracie, zrzekłem się pańszczyzny!
«Bom ja nie szatan, by posiadać dusze».
Myślałem sobie: — O wy fanfarony!
Co mi tam w Kownie? i co mi tam w Grodnie?
W Wilnie jest serce mej Litwy rodzonej,
Wilno tę sprawę rozwiąże nam godnie
Tam wszyscy dobrem ogólnem przejęci,
Wodę chrztu Litwy przemieszczają z winem
I byłem chlubny, że jestem Litwinem,
Że jestem szlachcic, że mam herb w pieczęci.

Ze starej Lidy, ze starej Oszmiany,
Z Trok Kiejstutowych, z Wilejki i z Dżisny,
Kwiat naszej szlachty dokoła wezwany,
Wyrok dla ludu podpisze korzystny.
Z takim oklaskiem, w tak niedawnej chwili
Wybrani świetni powiatów ojcowie,
Czyżby się Wilnu wstydzicie dozwolili,
Odjąć koronę Palemońskiej głowie?...
Przecież się stało... Kraju mój rodzony,
Wieniec twej części odarty w tej chwili,
Ojcowie twoi własnymi imiony
Kajdany ludu pismem utwierdzili!
Podali dziejów ohydnej pamięci
Swoją praktyczną opiekę nad gminem!
O! wstyd mi Wilna! nie chcę być Litwinem!
I hańba mojej herbowej pieczęci!

Z tych kilku ustępów można dosyć dokładnie
poznać, jak serdecznie przywiązany był Syrokomla

¹⁾ Atramentem.

do ludu i jak bardzo gorliwie zajmował się jego sprawą — przejdźmy więc teraz do innych wierszyków, pisanych w ostatnich latach życia:

Jest pomiędzy nimi jeden bardzo ciekawy i ładny, w którym opisuje dzieje i powstanie «szklanicy miodu»; rozważa tam każdy kwiatek, każde ziółko, które złożyło się na wytworzenie tego prawdziwie polskiego napoju choćby w ten sposób, że pszczołki pracowite soki z nich czerpały, a z tego soku powstał miód. Ale Syrokomla sięga w przeszłość bardzo daleką i opisuje dawniejsze zwyczaje i obyczaje, jacy to ludzie żyli niegdyś na naszej ziemi.

Przed latami, przed wiekami,
Na tej samej co my ziemi,
Żyli ludzie tacy sami,
Tylko z pierśmi gorętszemi;
Na wojaczce męże chobrzy,
Między swymi bracia dobrzy,
A choć jeszcze bałwochwalce,
Żywszą wiarę mieli w łonie,
I w ołtarzy swych obronie
Byli radzi umrzeć w walce.
Grunt, co dzisiaj sochą orzem,
Grobowcami ich usiany;
W górach, lasach, ponad morzem,
Wszędzie znajdziesz ich kurhany;
A z ich piersi to snop żyta,
To wzorzysty kwiat w kwita.
Bo za życia ludzie czyści
Wciąż na myślach mieli plony:
Jak najwięcej dać korzyści?
Jak ozdobić kraj rodzony?
I nieplonno męże prawi
Byli myślą tą zajęci:

Bo im Pan Bóg takie chęci
I za grobem błogosławi,
Gdy ich czyny, słowa, pieśni
Na pożytek szły współcześnie,
Toć i z grobów, znad ich ciała
Nie pokrzywa wyrastała.
Gdy potomek kwiaty zżyna,
Ani sobie przypomina,
Że to z kości pra-pra-dziada.
Ani zgadną ludzie ślepi,
Co im nowych sił udziela,
Że w tym chlebie, co ich krzepi
Wigor z piersi rodziciela.
A dziewczyna ani marzy,
Gdy się w kwiaty ozdobiła,
Czemu chłopcom taka miła?
Czemu kwiatek tak do twarzy?
Och! bo w skromny polny kwiatek
Czarodziejstwo nieba wlały:
On wyrasta z serca matek,
Co swą dziatwę tak kochały,
Co z niebiosów wysokości
Patrzą na nią pieśczeniwie!
Tak ku starej swojej niwie
Przeszłość dyszy w potomności,
Żyje zawždy między swemi,
Jest w powietrzu, w wodzie, w ziemi.

W innym wierszyku podaje znowu, co właściwie oznacza to słowo, które tak często jest na ustach wszystkich, za które nasi przodkowie krew swą przelewali, ale którego nie każdy zrozumie i nie każdy umie objaśnić. «Co to jest ojczyzna?» zapytuje i pomiedzy innymi taką daje odpowiedź:

A też krzyżyki u wiejskich cmentarzy
Które na jesień mchem zielonym kwitną,

A też świątynie, co wznosili starzy,
Pozapleśniałe pleśnią starożytną,
A łąy, co święta obudza starzyzna,
Jakże to nazwać?... To wszystko ojczyzna!

I kwiat borowy i kość trupiej głowy,
I kije starców, i zabawki dzieci,
I z czasów szwedzkich skrwawione okowy,
Co znajdziesz w sklepie żelaznych rupieci,
Woda ze źródła, stary miód z puhara,
I lutnia wieszczów i gruchot gołębi,
I ksiąga dziejów nieczytelna, stara,
Dym, co u dachów ściele się i kłębi,
Nawet sny nasze uroczyściej śnione
I kamień z bruku i zielone darnie,
I to co święte, niewytlómaczone,
Co czasem duszę rzewnością ogarnie,
Ból tajemniczy, i życie, i zdrowie,
To wszystko, wszystko, ojczyzną się zowie.

W innym znowu utworze tak mówi o krzyżu:

Krzyż na swej niwie stawi kmieć ubogi,
Krzyżem swe imię niepiśmienny znaczy,
Krzyżem rozstajne rozchodzą się drogi,
W krzyż idą sakwy na piersi żebraczej,
Jęczy przybici na krzyż naszej doli,
Krzyżem nas żegna, krzyżem Bóg wyzwoli,
Krzyże stawimy, by uczynić zadość
Pamiętce zmarłych, drogich sercu braci,
W krzyżu nadzieja, łąy i krew i radość,
Krzyż nas podniesie i krzyż nas zatraci,
Przed krzyżem serce strapione się modli,
Jeden się zaci, a drugi upodli.

Czy na rozstajnej, czy na życia drodze,
Krzyżu Chrystusów, wszędzie cię znachodzę.

Tyś zawsze godłem, tyś życia obrazem!
Czy cierpi serce, czy szczęście nam służy,
Zawsze i wszędzie tyś jest drogowskazem,
Ażebym pielgrzym nie błądził w podróży.

A jeśli pielgrzym w obłądu godzinie
Krzyż Chrystusowy niebacznie pominie,
I zamiast drogi, manowce obierze,
I straszną przepaść znajdzie na uboczy;
To byle sercem pożałował szczerze,
Znow, krzyżu Pański, staniesz mu przed oczy,
I ojcowskiemi twojemi ramiony
Wskażesz błędnemu gościniec stracony.

Wielcy i mądrzy zapomnieli może,
Lub na krzyż Pański dziś patrzą inaczej;
Lecz prosty wieśniak każde swe rozdroże,
Każdą pamiątkę krzyżykami znaczy,
Każdą pamiątkę, choć tysiąc lat mija
Krzyżem, jak gwoździem, do serca przybija.
Dziwne te krzyże, dziwne te mogiły,
Po naszej ziemi rozrzucone wszędzie!
Plemiona zmarły, wieki się zmieniły,
Lecz pamięć żyje i długo żyć będzie.

I jeszcze jeden wierszyk przytaczamy tutaj;
jest to porównanie pająka z poetą:

Pająk jestem, pająk,
Snuję sobie nici,
Puszczam je w powietrze,
Każda gdzieś się chwyci.
Śpiewak jestem, śpiewak
I piosenki snuję,
Puszczam je po świecie,
Każdą ktoś odczuje.

Nitka jedna, druga,
W poprzek, wzdłuż, przeleci,
Tak sobie powoli
Zasnowiąwam sieci.

Piosnka jedna, druga,
Z wsi do wsi przeskoczy,
Rozwiązuje serca,
Porozwidnia oczy.

Jak z tysiąca nitek,
Tak z tysiąca pieśni
Coraz lepsza siatka
Zawężli się cieśniej,

A pająk bezpieczen
Pod siatką swych nici,
I z wichrów żartuje
I muszkę pochwyti.

Pod siatką piosenek
My żywi i zdrowi,
I złego człowieka
Ta siatka ułowi.

Poprzestańmy na tym pobieżnym przeglądzie utworów Syrokomli, a wróćmy teraz do jego życia.

Zc zdrowiem było coraz gorzej, zwyczajnie jak w chorobie nieuleczalnej, z którą nie walczy nikt, bo taka walka kosztuje wiele, a pieniędzy niema. A objawy choroby były przykre bardzo: czasem zupełna bezsilność, nie pozwalająca nawet podźwignąć się z łóżka, to znowu uczucie ogromnego zimna, które nie ustępowało nawet przy silnie ogrzanym piecu i to w lecie, wreszcie jakieś niezmierne ciężenie nóg, najgorszą zaś była bezsenność, trwająca ciągle, bo ona wycieńczała go najwięcej.

A przy tem wszystkim panowała w domu bieda taka, że czasem do ust nie było co włożyć, synek poety leżał również chory, żona zaś była wycieńczona ustawicznym czuwaniem, doglądaniem chorych i kłopotami domowymi, troską o jutro. Wśród takich warunków nie można było nawet spokojnie chorować: więc poeta chwytając ostatkiem sił za pióro i w łóżku pisał, posyłał utwory do gazet, aby coś za nie dostać i zaradzić niedostatkowi. A nikt nie przyszedł mu z pomocą! Kiedy zgnębiony, zrozpaczony Syrokomla umieścił w jakimś dzienniku wileńskim swój wiersz «Cupio dissolvi» («Pragnę umrzeć»), o którym mówiliśmy powyżej, natychmiast ze wszystkich stron kraju zaczęto nadsyłać listy i wiersze z życzeniami jak najdłuższego życia i prośbą, aby porzucił myśl o śmierci. Było to dowodem, że «lirnika litewskiego» kochano serdecznie, ale nikomu nie przyszło do głowy, żeby tę miłość okazać czynem, żeby uwielbianemu poecie pomódz w jego nieszczęściu. Dopiero w chwili najokropniejszej biedy napisał ktoś ze znajomych do Kraszewskiego o położeniu Syrokomli i ten postanowił przyjść mu z pomocą. Udał, że do wydawanej przez siebie gazety potrzebuje jakiegoś wiersza i zamówił go sobie, przysyłając jako zadatek dosyć znaczną sumę pieniędzy. Przyszły one w sam czas, bo w domu autora «Dęboroga» nie było już poprostu co do ust włożyć.

Syrokomlę tak rozczulił i tak ucieszył ten nowy dowód zacności Kraszewskiego, że prawie cudem jakimś dodał mu nowych sił i podźwignął na czas jakiś z łoża. Tak już zwątpił o ludziach, tak zraził się

do nich, że nie chciał już z nikim żyć i nikogo widywać — teraz zaś zdawało mu się, że tam, w Warszawie, gdzie przebywał Kraszewski, są ludzie lepsi, że pomiędzy nimi mógłby odetchnąć trochę i zaczerpnąć otuchy na dalsze życie.

Jak pomyślał, tak też uczynił. Skoro tylko choroba złagodniała, wybrał się Syrokomla w podróż do Warszawy, dla zobaczenia się z Kraszewskim. Wyobraźmy sobie, jak nużącym musiało być dla tak ciężko chorego człowieka odbywanie drogi długiej i ciężkiej, bo z Wilna do Warszawy jest około sto mil; a całą tę drogę trzeba było odbywać kołową jazdą, bo kolej nie łączyła jeszcze tych miast. To też kiedy Syrokomla przybył wreszcie do Warszawy, był tak znużony i tak osłabiony, że nie mógł opuścić hotelu, do którego zajechał. Kraszewski, który o podróży przyjaciela nic nie wiedział, przybył na wezwanie natychmiast i aż się przeląkł: zobaczył przed sobą człowieka wynędzniałego i tak chorego, że zdawało się, iż za lada chwilę życie zakończy. Naprawdę jednak namawiał go, aby pozwolił zawezwać lekarzy i czas jakiś przeleżał u niego pod ich opieką: Syrokomla uparł się wracać natychmiast do Wilna i żadne prośby i przedkładania przyjaciela nie mogły go odwieść od wykonania tego zamiaru; odjechał więc równie nagle i prędko, jak przyjechał.

Po powrocie do Wilna stan zdrowia «lirnika litewskiego», z wyjątkiem niewielu dni, nie polepszał się wcale. Znowu więc nie mógł podźwignąć się z łóżka, ale też znowu, nawet w czasie najgorszym, nie przestawał pracować; w kostniejących już prawie

palcach trzymał pióro, a gdy mu wypadalo z ręki, dyktował wiersze komuś z obecnych. Ale było to praca gorzka, bo nagle teraz, w ostatnich chwilach życia spostrzegł, że nie wszystkie jego minione czyny były dobre i rozumne, że wiele należałoby zmienić. Chwilami ogarniała go nadzieja, że zdrowie wróci, że ta ciężka choroba ustąpi i cieszył się już naprzód, że on teraz inaczej sobie życie urządzi. Jeszcze 15 września 1862 r. zaczął dyktować list do Kraszewskiego i wyrażał w nim nadzieję, że «w pełnem zdrowiu rozwinię znowu sztandar pracy» i to pracy innej, rozumniejszej niż dotychczasowa — ale jeszcze podczas dalszego dyktowania tego listu myśli zaczęły mu się plątać, przytomność go opuściła i zaczęło się konanie. W dwie godziny później zakończył życie...

Wiść o śmierci ukochanego «lirnika litewskiego» rozeszła się szybko po mieście i wywołała powszechny żal i przygnębienie. Najlepszym dowodem tego był pogrzeb, na który zgromadziło się kilkanaście tysięcy ludzi: każdy chciał oddać ostatnią usługę poecie, którego jedyną myślą i jedynem pragnieniem było zapewnienie jak największego szczęścia nie sobie, lecz drugim.

Po śmierci Syrokomli znaleźli się zacni ludzie, którzy postanowili zająć się losem wdowy i sierot. Zebrano znaczną sumę, którą miał powiększyć dochód ze zbiorowego wydania dzieł poety. Zaczęto się prawie ubiegać o możność wzięcia udziału w tem zacnem przedsięwzięciu: jeden z uczonych podjął się bezinteresownie ułożyć i uporządkować wszystkie poezye zmarłego i napisać do nich objaśnienia, dru-

karz oświadczył gotowość wydrukowania ich po niższej cenie, księgarnie zaś rozsprzedawały je bez żadnego wynagrodzenia. A była to praca nie mała, bo same poezye Syrokomli zajęły dziesięć dużych tomów — tego, co pisał prozą, byłoby przeszło dwa razy tyle. Publiczność także nie pozostała w tyle i przyczyniła się tem, czem mogła: kupowała te dzieła tak chętnie, że dochód ze sprzedaży wynosił po obračunku przeszło dwadzieścia tysięcy złr. Los sierot po zacnym poecie był więc zabezpieczony.

Zakończenie.

Po tem, co się już powiedziało w tej książeczce, nie wiele nam pozostaje do powiedzenia o Syrokomli lub jego utworach — ale warto może raz jeszcze rzucić okiem na jego działalność i krótko ją streścić.

Nie było prawie rodzaju poezyi, w którymby Kondratowicz nie pracował: pisał dramaty, powieści poetyczne, gawędy i wiersze liryczne, a w każdym rodzaju stworzył dzieła dobre, niekiedy nawet znakomite. «Jan Dęboróg», «Janko Cmentarnik», «Ułas», «Kęs chleba» — to wszystko są prawdziwe ozdoby naszej gawędy, tak, jak znowu np. «Śmierć słowika» można zaliczyć do najpiękniejszych utworów naszej liryki. Nawet dramaty Syrokomli, choć z jego wszystkich dzieł najsłabsze, miały na owe czasy wielkie znaczenie i niemałą wartość. Ale gdybyśmy tylko na tej podstawie chcieli sądzić o jego zdolnościach, moglibyśmy bardzo łatwo wydać sąd niesprawiedliwy, bo trzebaby jeszcze uwzględnić warunki, w jakich swe dzieła pisał.

Przypomnijmy sobie, że Syrokomla nie ukończył żadnego wyższego zakładu naukowego, że wszystko,

co umiał, zdobył sobie sam ciężką pracą, że wszystkie prawie swe wiadomości zawdzięczał tylko sobie. O ileż więcej mógłby się rozwinąć, gdyby był mógł jak inni ukończyć wszystkie szkoły, zaczerpnąć wiedzy z pełnego jakiegos i zdrowego źródła i nie dorywczo tylko, ale stale, gdyby pracą jego kierowała jakaś wprawna ręka! Można śmiało przypuszczać, że byłby wyrósł na jednego z największych naszych poetów, że dzieła jego należałyby do największych ozdób naszej literatury. Ale i te zdolności i wiadomości, jakie posiadał, nie mogły w żadnem prawie jego dziele okazać się i zajaśnieć w całej pełni, bo warunki życia nie pozwoliły mu na pracę dla sztuki, lecz kazały pracować dla chleba. W przeciągu nie całych trzydziestu dziewięciu lat życia, z których zaledwie piętnaście przypada na pracę poetycką, napisał prawie trzy razy tyle samych poezyj, co Mickiewicz — a jakaż ogromna ich część była tylko koniecznym środkiem zdobycia chleba dla głodnej rodziny! I znowu mimowoli przychodzi na myśl, jak piękne rzeczy mógłby stworzyć, gdyby był miał zapewniony byt i gdyby mógł pisać tylko to, co mu płynęło z serca i wtedy tylko, kiedy nim owładnęło natchnienie.

Jeżeli zatem pomimo to wszystko są utwory Syrokomli tak piękne, to jest to dowodem jego ogromnych zdolności — ale gdyby nawet nie było w nich tej pięknej szaty, Syrokomla należałby zawsze do najmilszych poetów, jakich Polska wydała. We wszystkim, co pisał, nie znajdzie się nigdy ani jednego pochlebstwa, ani jednej myśli fałszywej, obłudnej, a co wię-

cej, nie było wypadku, żeby ze względu na kogokolwiek już nie: powiedział coś takiego, czego nie myślał, ale, żeby przynajmniej nie powiedział tego, co myślał, żeby się wstrzymał od wypowiedzenia tego, co było jego przekonaniem. On uważał poezję za święty zawód szerzenia prawdy, prowadzenia ludzi do cnoty, a przede wszystkim bronięcia nieszczęśliwych i uciskanych — on chciał, aby w poezje jego łowili się źli ludzie, jak muchy w siatkę pająka i aby nie mogli więcej szkodzić drugim, aby te pieśni jego były dla nieszczęśliwych osłoda, pociechą i pomocą. I dlatego on, szlachcic, oddaje się cały na usługi ludowi, dlatego opisuje życie włościan, ich biedę, ich poczciwość, dlatego przeklina swoje szlachectwo wtedy, kiedy niektórzy z jego rodaków nie chcieli się poświęcić dla ludu, nie chcieli go uwolnić od pańszczyzny. A czy myślicie, że potrzebowałby tak walczyć z niedostatkiem, gdyby był chciał wychwalać tych, na których tak boleśnie narzekał w swych poeziach, albo gdyby przynajmniej chciał przestać narzekać? Ale on nie uchylił nigdy swej głowy przed nikim i niczem, oprócz cnoty i zasługi, a jego serce oddane było raz na zawsze tylko niedoli.

Syrokomla sam określił doskonale całe swe życie w następujących ośmiu wierszach:

Po obłokach się kołysał,
 Wiersze pisał,
 Czytał w księgach w noc i we dnie
 Jakieś brednie,
 Dał każdemu wieść się w pole
 Jak pachole,

A jeżeli rzec nawiasem,
Płakał czasem.

To ostatnie zdarzało się może najczęściej: płakał nad niedolą ludu, płakał nad ciemnotą i niegodziwością tych, co go uciskali, płakał nad biedą rodziny i swoją własną — i trudnoby może stanowczo powiedzieć, które lzy były bardziej gorzkie i które bolały go najbardziej...

Czyż więc może nieprawdę powiedziałem na początku tej książeczki, czy tego człowieka nie trzeba kochać? Nie za to, że pisał tak pięknie, tak prosto i tak serdecznie, ale za to, że sam był tak nieszczęśliwym, a jednak całe swe życie poświęcił ocieraniu łez innym, jeszcze biedniejszym, i wywalczeniu im lepszej doli.



SPIS RZECZY.

	Str.
I. Pierwsze lata młodości	7
II. W Nieświeżu	20
III. W Załuczu	28
IV. Pierwszy pobyt w Wilnie i jego skutki	81
VI. W Borejkwoszczyźnie	110
VII. W Wilnie	168
Zakończenie	244

NIE POŻYCZA SIĘ
DO DOMU

Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka
w Gdańsku

26909



26909